

Pater:
Nie boimy się wyzwania

Tabor:
Zacznijmy się cenić

Bartosz:
Jak tytułować?

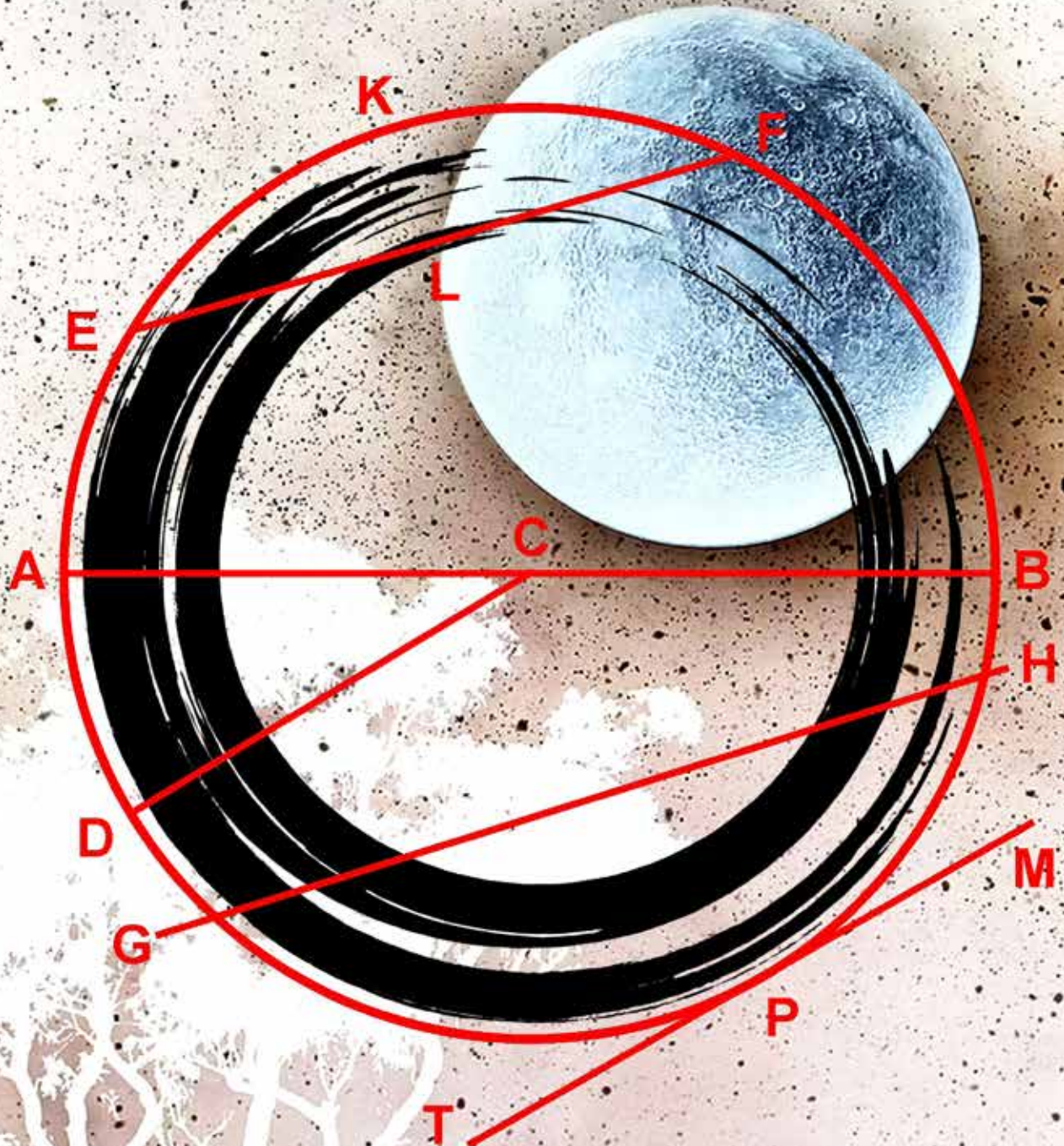
FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 6/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Studenckie wyprawy naukowe

Str. 29-36

Bednarczyk:
Odczarować sztukę

Sucharski:
Rosja w literaturze polskiej

Grupa:
Co wiemy o stroju polskim?



70 lat **POLITECHNIKI LUBELSKIEJ**



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Będzie „lubelska” lista czasopism?	6
Trójmorze z potencjałem naukowym – Agnieszka Orzelska-Stączek	7
Zalążki centrów doskonałości – Maciej Żylicz	8
Z naukowca administrator – Tomasz Dietl	9
Najważniejsze jest zaufanie – Agnieszka Chacińska	10
Emocje do samego końca – materiał sponsorowany	11
Ze źródeł natury ku kompetencjom przyszłości	12
PKA – prezentacje i sąd – Marcin Chałupka	14
Tańcz, śpiewaj, poznawaj – Aneta Zawadzka	16
100 najzdolniejszych młodych naukowców – materiał sponsorowany	45
Nowi profesorowie	72

ROZMOWA FORUM

Taki mamy charakter – rozmowa z prof. Zbigniewem Paterem, rektorem PL	19
Rolniczy atut – rozmowa z dr. hab. inż. Sylwestrem Taborem, prof. URK, rektorem URK	24

KOŁA NAUKOWE

Młodzi geolodzy na szlaku – Wojciech Ozimkowski	29
Palmyra'90 – Dobroslawa Węzowicz-Ziółkowska	33

ŻYCIE NAUKOWE

Cytowalność w świecie – Wit Grzesik	37
--	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (199)

Plagiatowe dopowiedzenia – Marek Wroński	40
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	18
Meandry tytułomanii – Grzegorz Bartosz	43
Uczony i przyjaciele – Zbigniew Drozdowicz	49
Artysta nieogoolgwalny – rozmowa z prof. Andrzejem Bednarczykiem, rektorem ASP w Krakowie	52

Publikuj lub giń

Check... check... check... – Marek Misiak	57
--	----

Z LABORATORIÓW

Inna perspektywa – Jan Lichtarski	60
Od Parandowskiego do Stasiuka – Tadeusz Sucharski	63
Czas żupanów, czas czechmanów – Małgorzata Grupa	67

Materiał sponsorowany

Jeśli nie uniwersytet, to co? – Agnieszka Anielska	70
---	----

W STRONĘ HISTORII

Pro publico bono (9)

Likwiduję poprzednią epokę – Piotr Hübner	73
--	----

OKOLICE NAUKI

Baloniarstwo w Polsce – Marcelina Smużewska	77
--	----

Książki

Książki nadesłane	66
O szlachetnej sztuce rektorstwa (i nie tylko) – Dariusz Rott	77
Deszcz, który kiedyś był śniegiem – Aneta Zawadzka	77
Chodzi i słucha – Grzegorz Filip	78
Odzyskiwanie pozytywizmu – Tomasz Klusek	78
Nie taki szary PRL – Zofia Jakóbczak	79
Więcej niż postmodernizm – Marek Misiak	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Koło naukowe prawie jak ratunkowe – Piotr Müldner-Nieckowski	80
---	----

Na marginesach nauki

Znów o czytaniu – Leszek Szaruga	80
---	----

Projekt okładki – Sławomir Makal

Rekordzista w grantach ERC

WARSZAWA Dr hab. Piotr Sankowski z Instytutu Informatyki Uniwersytetu Warszawskiego, prezes IDEAS NCBR, otrzymał czwarty już w swojej karierze grant European Research Council. Jest pierwszym Polakiem, który tego dokonał. Po Starting Grant (2010), Proof of Concept



Fot. Arch. prywatne

Grant (2015) i Consolidator Grant (2017) teraz sięgnął ponownie po PoC. Dostał 150 tys. euro na badania podstawowe z obszaru Explainable AI, czyli objaśniania, w jaki sposób algorytmy podejmują decyzje. Powstałe w wyniku prac biblioteki danych pomogą innym twórcom budować rozwiązania AI oraz algorytmy optymalizacyjne lepiej zrozumiałe dla użytkowników. Projekt EXALT wszedł z listy rezerwowej, dlatego o jego finansowaniu poinformowano dopiero pod koniec maja, a nie wraz z ogłoszeniem wyników tegorocznego konkursu, które miało miejsce już miesiąc wcześniej (wówczas laureatką została prof. Katarzyna Marciniak, również z UW, dla której to drugi grant ERC w karierze, po CoG w 2015). W ręce polskich naukowców trafiło już 6 grantów PoC, a ponadto 43 StG, 14 CoG, 9 AdG i 1 SyG.

Buduje markę Polski

WARSZAWA Dr inż. Piotr Kuwałek, adiunkt w Zakładzie Metrologii, Elektroniki i Techniki Światłowej na Politechnice Poznańskiej, został laureatem tegorocznej edycji konkursu „Młody Promotor Polski”. W ub.r. ukończył



Fot. Grzegorz Jakubowski

przedterminowo studia doktoranckie na Wydziale Automatyki, Robotyki i Elektrotechniki PP. Jest absolwentem dwóch kierunków na tej uczelni: elektrotechniki oraz matematyki. Zajmuje się tematyką przetwarzania sygnałów, m.in. biologicznych, akustycznych, elektrycznych. Na szczególne podkreślenie zasługują jego prace w zakresie lokalizacji źródeł wahań napięcia w sieciach elektroenergetycznych. Konkurs, któremu patronuje Pierwsza Dama Agata Kornhauser-Duda, ma na celu uhonorowanie i wyróżnienie młodych Polaków, którzy swoją postawą, działalnością i osiągnięciami przyczyniają się do budowania silnej marki Polski oraz promowania naszego kraju za granicą.

Doktoraty honoris causa

GLIWICE/KRAKÓW/LUBLIN/POZNAŃ/OLSZTYN/RZESZÓW/BIAŁYSTOK/WARSZAWA Prof. **Brian Kobilka** (na fot.), współautor nagrodzonego Noblem (2012) przełomowego odkrycia dotyczącego budowy receptorów GPCR, został doktorem honoris causa Politechniki Śląskiej. To pierwszy noblista w gronie wyróżnionych najwyższą godnością akademicką przez gliwicką uczelnię. Prof. **Ada Yonath**, która za pionierskie prace nad strukturą i funkcją rybosomów otrzymała Nobla w 2009 roku, została uhonorowana doktoratem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nowego doktora honorowego ma też Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II – to prof. **Peter Trudgill**, jeden z najwybitniejszych na



Fot. JS

świecie socjolingwistów i dialektologów. Prof. **Andrzej Legocki**, biochemik i biolog molekularny roślin, twórca Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, były prezes Polskiej Akademii Nauk, został doktorem honoris causa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Podobny tytuł Uniwersytet Warmińsko-Mazurski nadał prof. **Marii Siemionow**, która w 2008 roku dokonała pierwszej w USA udanej operacji przeszczepienia twarzy. Prof. **Mansur Rahnema-Hezavah**, specjalista w dziedzinie chirurgii twarzowo-szczękowej z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, otrzymał najwyższą godność akademicką od Uniwersytetu Rzeszowskiego. Za „niezłomność w głoszeniu idei humanizmu, tolerancji i dialogu oraz za współtworzenie naukowej szkoły pedagogiki, opartej na misji służby społecznej” Uniwersytet w Białymstoku uhonorował doktoratem honorowym znakomitego pedagoga prof. **Tadeusza Andrzeja Pilcha**. Specjalizujący się w procesie technologicznego wytwarzania płyt drewnopochodnych prof. Leszek Żukowski został doktorem honoris causa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Prof. **Marek Świtowski**, wybitny specjalista w zakresie genetyki zwierząt domowych, otrzymał taką godność na Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie. Jest pierwszym uczonym z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu z tytułem doktora honoris causa.

Zmiana na czele NZS

WARSZAWA Natalia Stachura z Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie została nową przewodniczącą Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Zastąpiła na tym stanowisku Karolinę Grzesiak. To trzydziesta osoba w historii NZS, która pokieruje organizacją i druga wywodząca się z krakowskiej uczelni pedagogicznej, po Jacku Zielińskim w kadencji 1998–1999 (z ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej). Jest studentką II roku administracji publicznej (studia magisterskie) i III roku filologii romańskiej (studia licencjackie). Wcześniej ukończyła także licencjat z zarządzania na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z NZS związana jest od czterech lat. W ostatniej kadencji była wiceprzewodniczącą ds. rozwoju. W wywiadzie udzielonym FA tuż po wyborze (do przeczytania na naszej stronie internetowej) zapowiedziała m.in. starania o wprowadzenie w systemie stypendialnym zasady „złotówka za złotówkę” dla osób nieznacznie przekraczających próg dochodowy.



Fot. Arch. prywatne

Studenci nobliści

WARSZAWA Dziewięcioro studentów reprezentujących różne obszary nauki i sztuki zdobyło statuetki Studenckiego Nobla: Mateusz Krzyżiński z Politechniki Warszawskiej (nauki techniczne), Olena Matoshniuk z ASP we Wrocławiu (sztuka), Maria Lipińska z Uniwersytetu Warszawskiego (dziennikarstwo i literatura), Magdalena Trusińska ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (nauki przyrodnicze i energetyka), Mikołaj Zawadzki z UW (fizyka i astronomia), Natalia Sauer z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu (medycyna i farmacja), Andrzej Porębski z Uniwersytetu Jagiellońskiego (nauki społeczne), Jarosław Pawlik z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie (nauki ekonomiczne), Jakub



Fot. MZS

Wojtacha z Uniwersytetu Zielonogórskiego (działalność społeczna). Laureaci zostali wyłonieni spośród 840 zgłoszonych kandydatów. Otrzymali po 5 tys. zł. Nagrodę specjalną, związaną z działaniami 3W (woda-wodór-węgiel), otrzymał Michał Cichowicz z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie.

Kanadyjska nagroda dla Polki

TORUŃ Prof. Anna Branach-Kallas z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika otrzymała prestiżową nagrodę Certificate of Merit przyznaną przez International Council for Canadian Studies. Wyróżnienie trafia do wybitnych i zasłużonych badaczek i badaczy zajmujących się studiami nad Kanadą. ICCS doceniło osiągnięcia naukowe prof. Branach-Kallas, jej międzynarodową działalność badawczą oraz wkład w popularyzację wiedzy o Kraju Kłonowego Liścia. Laureatka pracuje w Katedrze Literatury, Kultury i Komparatystyki Anglojęzycznej w Instytucie Literaturoznawstwa na Wydziale Humanistycznym UMK. Jej monografia autorska pt.

Uraz przetrwania. Trauma i polemika z mitem pierwszej wojny światowej w powieści kanadyjskiej została wyróżniona nagrodą Pierre Savard za najlepszą monografię dotyczącą badań nad Kanadą. W latach 2016–2022 stała na czele Polskiego Towarzystwa Badań Kanadyjskich.

Jubileuszowe Uphageny

GDAŃSK Po raz 20. wręczono Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Naukowców im. Jana Uphagena. W kategorii nauk humanistycznych i społecznych laureatką została mgr Ariadna Łada-Maško (na fot. druga od lewej) z Uniwersytetu Gdańskiego. Doceniono ją za osiągnięcia



Fot. Lukasz Biebi

naukowo-badawcze w zakresie psychologii klinicznej dziecka w systemie rodziny. Stworzyła i opracowała autorski i pierwszy w Polsce, a także unikalny w skali międzynarodowej kwestionariusz do badania dojrzałości rodzicielstwa. W kategorii nauk przyrodniczych i ścisłych wyróżniono dr. inż. Marcina Wekwejtę (na fot. pierwszy z lewej) z Politechniki Gdańskiej za znaczące osiągnięcia naukowe w zakresie inżynierii biomateriałów, w tym szczególnie opracowanie innowacyjnych funkcjonalnych cementów kostnych do zastosowań terapeutycznych. Uphageny to najważniejsze na Pomorzu nagrody dla młodych badaczy. Do tej pory otrzymało je 35 uczonych.

Nagroda im. Artura Rojszczaka

WARSZAWA Dr Natalia Judzińska z Zakładu Badań Narodowościowych Instytutu Slawistyki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie została laureatką Nagrody im. Artura Rojszczaka, tragicznie zmarłego znakomitego filozofa, jednego z założycieli i głównych animatorów Klubu Stypendystów Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Nomino- wano ją za pracę naukową dotyczącą materialnego wymiaru kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej oraz za powołanie grupy „Badaczki i Badacze na Granicy” i niesienie pomocy humanitarnej w obszarze nadgranicznym. Dr Judzińska jest kulturoznawczynią, zajmuje się studiami nad mniejszościami, antysemityzmem i pamięcią oraz wykluczeniami w uczelniach międzywojennej Polski. Od 2021 roku należy do Association for Jewish Studies. Nagroda przyznawana jest młodym uczynom, którzy wyróżniają się humanistyczną postawą, uczciwością i pasją naukową, osiągnięciami w pracy badawczej, dydaktycznej lub społecznej, oraz umiejętnościami przekraczania granic swojej specjalizacji.



Fot. Arch. ppywaine

Nowe lokum dla filii

SANDOMIERZ Jedna z dwóch filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach będzie miała nową siedzibę. Obecnie mieści się w budynku przy ul. Schinzla, który wcześniej był administracyjnym zapleczem dla



Fot. UJK

szpitala. Nowy obiekt powstanie nieopodal, przy ul. Feliksa Milberta, w ciągu dwóch lat. Dzięki na ten cel, o powierzchni 70 arów, przekazał powiat. Część środków na realizację inwestycji wyłoży Ministerstwo Edukacji i Nauki. Wsparcie w wysokości ok. 20 mln zł pozwoli rozwinąć ofertę kształcenia i poszerzyć ją m.in. o nowy kierunek – pielęgniarstwo. Filia UJK powstała w 2016 roku na bazie Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Sandomierzu. Obecnie kształci 192 studentów na kierunkach: filologia angielska, mechatronika, kosmetologia, administracja i pedagogika. Przemysław Czarnek zapowiedział również, że resort przekaże środki finansowe na budowę nowej siedziby Wydziału Sztuki UJK w Kielcach.

Akademia w królewskim mieście

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI Zainaugurowała działalność Akademia Piotrkowska. Uczelnia powstała na bazie filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, która funkcjonuje w Piotrkowie Trybunalskim od 1981 roku. Jednostka ta została zastąpiona przez Akademię Piotrkowską na mocy ustawy, którą 6 kwietnia podpisał prezydent Andrzej Duda. W Akademii prowadzone będą studia na kierunkach: administracja, bezpie-



Fot. MEN

czeństwo narodowe, ekonomia, filologia, filologia angielska, finanse i rachunkowość, historia, logistyka, pedagogika, pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna, pielęgniarstwo oraz zarządzanie. Najchętniej wybieranym kierunkiem jest obecnie filologia angielska. W obecnym roku akademickim w filii kształcą się 400 studentów. Rektorem został mianowany dr hab. Dariusz Rogut, historyk, w ostatnich latach dyrektor łódzkiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Akademia Piotrowska to kolejna, po reaktywacji Akademii Zamojskiej i utworzeniu Akademii Mazowieckiej w Płocku, uczelnia o takim statusie na mapie Polski.

Weterynaria UMK z nowoczesną kliniką

TORUŃ Otwarto nową siedzibę Instytutu Medycyny Weterynaryjnej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Gmach o powierzchni użytkowej 5,6 tys. m² jest najnowocześniejszym tego typu obiektem w Polsce. W podziemiu powstała część kliniczna dla trzody chlewnej, bydła, kóz i owiec



Fot. Andrzej Romatiński

oraz parking. Na parterze zlokalizowano klinikę dla koni i bydła rogatego, izbę przyjęć i poczekalnię dla właścicieli zwierząt. Na I piętrze działa wyposażona w cztery sale operacyjne przychodnia dla małych zwierząt, m.in. psów i kotów. Wyżej umieszczono laboratoria, pomieszczenia dydaktyczne, sale seminaryjne, aulę oraz pokoje dla pracowników naukowych i administracji. Na dachu zaprojektowano otwarty taras widokowy. W nowym gmachu kształcą się studenci starszych roczników. Młodzi nadal uczęszczają na zajęcia do budynków Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych oraz Wydziału Chemii w kampusie na Bielanych. Budowa Instytutu Medycyny Weterynaryjnej wraz z podstawowym wyposażeniem oraz zakupem rezonansu magnetycznego pochłonęła 70 mln zł.

Na rzecz magazynowania energii

WARSZAWA Cztery uczelnie: Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Politechnika Warszawska, Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski znalazły się wśród sygnatariuszy listu intencyjnego dotyczącego rozwoju technologii elektrochemicznego magazynowania energii. To jeden z ważniejszych obszarów transformacji energetycznej. W znacznym stopniu przyczyni się do większego i bardziej efektywnego wykorzystania odnawialnych źródeł energii opartych na słońcu oraz wietrze. Dzięki zgromadzeniu potencjału naukowego i inwestycyjnego możliwa będzie budowa fabryki ogniw jonowych, które zostaną wykorzystane w polskich magazynach energii, zarówno prosumenckich, jak i wielkoskalowych. Współpraca zakłada m.in. wymianę wiedzy, doświadczenia i dobrych praktyk oraz budowę zaplecza naukowego i wykwalifikowanej kadry inżynierskiej. Z inicjatywą wyszło Ministerstwo Klimatu i Środowiska.



Fot. MKiŚ

Coraz mniej Ukraińców

WARSZAWA Prawie 18,3 tys. studentów i 192 doktorantów z Ukrainy kształcą się obecnie na polskich uczelniach – wynika z danych zebranych przez Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Studentów jest o ponad 2,8 tys. mniej niż na koniec ubiegłego roku (21 125). Najwięcej z nich studiuje na Mazowszu (4993), w Małopolsce (3514) i na Dolnym Śląsku (2322). Doktorantów jest najwięcej w Małopolsce (54). Przebywa u nas również 1122 pracowników akademickich, nie tylko zatrudnionych, ale także na wymianach czy w ramach różnych programów mobilności (najwięcej w woj. mazowieckim – 339, małopolskim – 145 i dolnośląskim – 122). W domach studenckich mieszka aktualnie 2839 uchodźców. Monitoring KRASP obejmuje 214 uczelni i instytutów.

Omegi w barwach UMG

GDYNIA Flota Uniwersytetu Morskiego w Gdyni wzbogaciła się o dwa nowe jachty klasy Omega Sport. To jednostki skonstruowane z myślą o regatach sportowych. Do tej pory, chcąc wystartować np. w Akademickich Mistrzostwach Polski, uczelnia musiała charterować jachty. Omegi dołączyły do innych jachtów (w tym czterech żaglowych i jednego motorowego) oraz dwóch szybkich łodzi typu RIB, będących w posiadaniu Ośrodka Żeglarstwa i Sportów Wodnych UMG. Flagowym jachtem jest pełnomorski Nest, wykorzystywany do realizacji rejsów szkoleniowych. Podobnie Almak, który służy także do celów turystycznych, przede wszystkim na akwenie Zatoki Gdańskiej. Jest jeszcze niewielki regatowy Twins oraz łódź RIB do realizacji szkoleń na patenty sternika motorowodnego i do zabezpieczenia regat i treningów na jachtach mieczowych.



Fot. UMG

Analizy w Trójkącie

LUBLIN Deklarację o utworzeniu Akademicko-Analitycznego Trójkąta Lubelskiego podpisali przedstawiciele czołowych ośrodków akademickich z Lublina, Wilna, Kowna, Kijowa oraz Lwowa, a także ukraińskich



Fot. IES

i litewskich instytucji eksperckich. To wspólna inicjatywa Instytutu Europy Środkowej i Instytutu Nauk o Polityce i Administracji UMCS. Sieć ma stanowić zaplecze intelektualno-ekspertkie rządów państw Trójkąta Lubelskiego (Litwa, Polska, Ukraina), dostarczając merytorycznych analiz na temat rozwoju sytuacji w Europie Środkowej i Wschodniej w kontekście agresji Rosji na Ukrainę oraz możliwych scenariuszy i perspektyw współpracy po jej zakończeniu. Będzie też koordynować badania z zakresu stosunków międzynarodowych w regionie, zwłaszcza w obszarze radykalnych, złożonych i trudnych do przewidzenia zmian ładu międzynarodowego i wzrastającego zapotrzebowania ośrodków politycznych Polski, Litwy i Ukrainy na wiedzę o tych przemianach.

Wał dla rolników

SIEDLCE Wał rolniczy krusząco-ugniatający, przystosowany do pracy na wszystkich typach gleb i zapewniający optymalne warunki ich przygotowania przed siewem roślin, skonstruowali naukowcy z Instytutu



Fot. UPH

Rolnictwa i Ogrodnictwa Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach. Urządzenie może być również wykorzystywane do uprawy poźniwej oraz wszelkich uproszczeń w uprawie roli. Umożliwia dobre kruszenie brył, zagęszczenie górnych warstw gleby, przy jednoczesnym spulchnieniu jej powierzchni, zapobiegające wysychaniu. Prototyp był testowany pod kątem wytrzymałości konstrukcji oraz oddziaływania na strukturę gleby m.in. na polu produkcyjnym w Rolniczej Stacji Doświadczalnej w Zawadach należącej do UPH. Testy odbywały się też w Nowej Zelandii, Australii, Portugalii, Hiszpanii, Izraelu. Z wynalazku korzystają właściciele rodzinnych gospodarstw rolnych, farmerzy specjalizujący się w produkcji roślinnej oraz prywatne podmioty prowadzące działalność rolniczą.

Precyzyjnie zobrazują mózgi żywych zwierząt

WARSZAWA System pozwalający na precyzyjne obrazowanie mózgow poruszających się zwierząt opracowali badacze z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, Łukasiewicz – Instytutu Mikroelektroniki i Fotoniki oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Nowatorski obrazówód, czyli elastyczne urządzenie umożliwiające monitorowanie aktywności neuronów, pomoże w zrozumieniu neurologicznych procesów, np. odpowiadających za formowanie się wspomnień czy uzależnień. Badania takie prowadzi się z wykorzystaniem myszy i szczurów, co wymaga korzystania ze zminiaturyzowanych urządzeń. Bardzo trudno jest za ich pomocą obserwować struktury znajdujące się w głębi mózgu. Urządzenie polskich badaczy przezwycięża tę barierę. Dzięki inżynierii genetycznej będzie można zmodyfikować neurony zwierzęcia tak, by ich aktywność była widoczna w postaci fluorescencji i obserwować te zmiany w czasie rzeczywistym. System umożliwia także obserwację aktywności genów związanych z procesami uczenia się czy neurodegeneracji, a więc gdzie i w jaki sposób tworzy się ślad pamięci w mózgu.

Politechniki w sieci

STALOWA WOLA Trzy politechniki: Lubelska, Rzeszowska i Świętokrzyska, będą współpracować na rzecz nowoczesnych technologii w zakresie obronności i bezpieczeństwa, przemysłu zbrojeniowego oraz modernizacji polskiej armii. Celem Politechnicznej Sieci Obronności i Bezpieczeństwa jest wymiana wiedzy i doświadczeń oraz współtworzenie projektów badawczo-rozwojowych, co jest szczególnie istotne ze względu na odradzanie się przemysłu zbrojeniowego i potrzebę wspomagania go



Fot. B. Morzyka

przez innowacyjne rozwiązania naukowe. – Chcemy włączyć się w szeroko rozumianą modernizację polskiej armii – zapowiada prof. Zbigniew Koruba, rektor PŚk. Wśród konkretnych rozwiązań, nad którymi będą pracować inżynierowie, są m.in. lufy do armatohaubic czy silniki do wozów bojowych.

Kredytowy bilans

WARSZAWA Blisko 409 tys. umów o udzielenie kredytu studenckiego zawarto w latach 1998–2022. W całości spłaconych zostało ok. 370 tysięcy pożyczek. Tylko w ub.r. banki przyznały kredyt 1280 studentom i doktorantom (wpłynęło 1612 wniosków). Najwięcej umów (87,3%) dotyczyło kredytu z wysokością miesięcznej transzy 1000 zł. Liczba kredytów studenckich objętych poręczeniem kapitału wraz z odsetkami od tego kredytu przez Bank Gospodarstwa Krajowego wyniosła 1014 (79,2%). Najczęściej wybieranym bankiem był PKO Bank Polski SA, z którym umowę o preferencyjny kredyt studencki podpisało ponad 82,9% kredytobiorców. Z umorzeń części lub całości kredytu w 2022 r. skorzystało 398 kredytobiorców, a od początku funkcjonowania systemu – ok. 20,2 tys. kredytobiorców. Największa liczba umorzeń wynikała ze znalezienia się w grupie od 1 do 10% najlepszych absolwentów uczelni (umorzenia od 20 do 50% kredytu).

Kobiety szturmują technologie

WARSZAWA Ponad 8 tys. osób z 50 krajów zgromadziła największa w Europie konferencja dla kobiet w technologiach. Wiodącymi tematami piątej odsłony Perspektywy Women in Tech były zagadnienia sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego, deep techu, rozwiązań chmurowych, komputerów kwantowych i cyfrowej ekologii, a także WEB 3.0 i NFT. Na czterech scenach odbywały się wystąpienia ponad 150 mów-



ców. Do tego uczestnicy mogli wziąć udział w 60 specjalistycznych warsztatach, 50 tech-talkach oraz jednej z 500 indywidualnych sesji w Mentoring Zone. Do młodych badaczek skierowano 4th Seminar for Computer Science Researchers – spotkanie poświęcone specyfice kariery zawodowej kobiet-naukowców w dziedzinie informatyki i dziedzin pokrewnych. Gościem specjalnym była Maria Klawe, rektorka Harvey Mudd College, za kadencji której liczba kobiet wśród studentów kierunków informatycznych, inżynierskich i fizyki wzrosła na uczelni z ok. 10 do 50% – to jedyny taki wynik na świecie.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Marcin Behrendt, Marcin Czyżniewski, Katarzyna Dziedzik, Maciej Dzwonnik, Damian Gębarowski, Monika Jaskowiak, Lech Kryształowicz, Agnieszka Książkiewicz, Magdalena Nieczuja-Goniszewska, Katarzyna Skatecka, Monika Stojowska, Krzysztof Szwejk, Maciej Ulita, Jadwiga Witek, Dominika Wojtyśiak-Łańska, Łukasz Wspólny

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Będzie „lubelska” lista czasopism?

Trzyście uczelni z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Jana Pawła II na czele zawiązało Sieć Uniwersytetów Trójmorza. O jej powołaniu dyskutowano już w ubiegłym roku (pisaaliśmy o tym w FA 6/2022). Od tamtego czasu koncepcja nabierała kształtów, aż w końcu 16 maja podczas Samorządowego Kongresu Trójmorza w Lublinie doszło do uroczystego podpisania memorandum o utworzeniu The Three Seas University Network (3SUN).

Sojusz, któremu patronuje minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, skupia 13 uczelni z 12 państw leżących między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym: Uniwersytet Trakia (Bułgaria), Katolicki Uniwersytet Chorwacji, Uniwersytet Talliński (Estonia), Uniwersytet Witolda Wielkiego (Litwa), Uniwersytet Mykołasa Romerisa (Litwa), Baltic International Academy (Łotwa), Uniwersytet Babeş-Bolyai (Rumunia), Uniwersytet Trnawski (Słowacja), Katolicki Uniwersytet w Rużomberku (Słowacja), Alma Mater Europea (Słowenia), Uniwersytet Inżynierii Wody i Środowiska oraz Narodowy Uniwersytet Lwowski im. Iwana Franki (Ukraina). Liderem jest KUL.

– Zgodnie z ideą otwartości nie zamierzamy ograniczać się wyłącznie do krajów Europy, ale być propozycją współpracy dla uczelni z całego świata. Inicjatywa, która integruje środowisko naukowe z krajów Trójmorza, jest z góry skazana na sukces. Każdy może skorzystać na tym przedsięwzięciu, ponieważ ułatwi ono zawieranie umów na wiele konkretnych działań w obszarze nauki – podkreślił prof. Mirosław Kalinowski, rektor KUL.

Uczelnie należące do 3SUN mają prowadzić wspólne badania, projekty i prace rozwojowe oraz podejmować inicjatywy i inwestycje służące poprawie jakości kształcenia. Zadeklarowano również działania mające na celu wdrażanie rozwiązań w zakresie wymiany informacji o zasobach kadrowych i bazie dydaktycznej poszczególnych uczelni. Jednym z priorytetów ma być wsparcie komercjalizacji wyników badań. W planach jest także stworzenie wspólnego funduszu na wzór wyszehradzkiego.

O uczelnianej współpracy mówiono podczas pierwszej z cyklu międzynarodowych konferencji zaplanowanych w ramach 3SUN. Rozpoczynając panel dyskusyjny, minister Przemysław Czarnek przypomniał, że idea Trójmorza powstała, by nadrabiać zaległości w każdym obszarze: infrastrukturalnym, bezpieczeństwa, gospodarki, finansów, ekonomii, a także w nauce. Przekonywał, że powołana sieć jest warunkiem realizacji tych celów. – Chcę zaproponować wszystkim krajom Trójmorza zakrojone na szeroką skalę badania nad istotą i przyczyną imperializmu rosyjskiego. Jeśli tego nie zbadamy, to historia zatoczy koło i wszystko, co dotąd osiągnęliśmy, legnie w gruzach.

Dr hab. Magdalena Sitek, rektor Wyższej Szkoły Gospodarki Euroregionalnej, zwróciła uwagę, że udział świata nauki w Inicjatywie Trójmorza był do tej pory marginalny, a to przecież uczeni jako najbardziej mobilna grupa zawodowa powinni być ambasadorami tej współpracy. Sieć otwiera zupełnie nowe możliwości. – Finansowanie nauki przez biznes, inaczej niż we Francji, Niemczech czy USA, jest w Trójmorzu na niewielkim poziomie. Dlatego warto stworzyć instytucję, która mogłaby w porozumieniu z przedsiębiorcami przyznawać granty na badania wdrożeniowe. Jak podkreśliła, komercjalizacja nie dotyczyłaby jedynie nauk technicznych, ale także obszaru HS, bo on bezpośrednio wiąże się z nowymi technologiami, które są wykorzystywane w biznesie.

Rewolucyjny na wskroś pomysł przedstawił dr Marcin Strzelec, były rektor Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości. Jego zdaniem nauka staje się dziś piątą władzą. Rozwój Internetu, a zwłaszcza sztucznej inteligencji, sprawił, że dostęp do wiedzy jest już powszechny, ale idzie za tym większe ryzyko nierzetelności naukowej. Należy zatem dbać, by to nauka stała się kręgosłupem rozwoju Trójmorza. W tym kontekście pojawił się postulat „lubelskiej” listy czasopism. – Konflikt w Ukrainie pokazał, że ta grupa państw, w których mieszka przeszło 120 mln ludzi, ma odmienne od Zachodu priorytety, cele, idee i kierunki rozwoju. Również w odniesieniu do nauki, która musi dostarczać to, co jest nam rzeczywiście potrzebne. Uwierzymy w naszą siłę – nawoływał.

Pomysłowi przyklasnął szef MEiN, zaznaczając, że konkurencyjna wobec zachodnich lista dałaby nam mocną kartę przetargową. – Nie chodzi o to, by rezygnować z tamtych, ale pokazać, że my tu też jesteśmy, działamy i jak chcecie, to możecie u nas publikować. Proszę zobaczyć, jak zmieniłaby się nasza pozycja względem zachodnich wydawnictw – przekonywał.

Prof. Arkadiusz Wójs, rektor Politechniki Wrocławskiej, zauważył, że w Europie dominują uczelnie spoza obszaru Trójmorza, dlatego zjednoczenie się może dać silniejszy głos w obliczu dużej konkurencji. – A rywalizujemy nie tylko o to, kto będzie miał lepsze publikacje czy pierwszy coś odkryje, ale też o zatrzymanie specjalistów. Jeśli będziemy atrakcyjnym miejscem do studiowania, to i do wykonywania pracy.

Dr hab. Elżbieta Feret, prorektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, przypomniała, że jej uczelnia już w 2018 roku uruchomiła Centrum Badań Regionalnych i Transgranicznych. Wówczas jeszcze nie myślano o obecnej inicjatywie, ale uznano, że tego typu badania są ważne z uwagi na położenie geograficzne. Obejmują politykę, nauki prawne, ekonomię, ale również pedagogikę. – Jednym z efektów jest Obserwatorium Regionu Trójmorza, które służy współpracy z naszymi partnerami, nie tylko z tego obszaru. Wydajemy czasopismo, organizujemy cykliczne konferencje dotyczące sytuacji geopolitycznej czy wyzwań społeczno-prawnych związanych z uchodźcami.

W kolejnym panelu, już z udziałem przedstawicieli uczelni założycielskich 3SUN, skupiono się na współpracy badawczej. Kluczem do niej ma być specjalizacja każdego z ośrodków. Wśród możliwych tematów wymieniano m.in. bezpieczeństwo, ochronę środowiska, polaryzację i dezinformację w mediach. Prof. Tõnu Viik, rektor Uniwersytetu Tallińskiego, zasugerował położenie nacisku na takie dziedziny, jak psychologia, socjologia czy filozofia. – Wiemy z historii, że wojny zaczynają się



nie od maszyn, lecz od słów. Do walk prowadzą procesy, które toczą się w umysłach. Potrzebny jest nam zatem nie tylko transfer wiedzy technicznej, ale zrozumienie tego, kim jesteśmy.

Do jego słów nawiązał prof. Saulius Spurga, prorektor Uniwersytetu Mykolas Romerisa: – Nauka jest ukierunkowana na punkty,

rankingi, a powinna być na wpływie na społeczeństwo. Tak powinniśmy o niej myśleć w przyszłości.

MaK

Trójmorze z potencjałem naukowym

Dr hab. Agnieszka Orzelska-Stączek, prof. ISP z Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, mówi o Inicjatywie Trójmorza jako przedmiocie interdyscyplinarnych badań możliwych do realizowania we współpracy ośrodków naukowych 12 państw leżących między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym.

Kilka lat temu, kiedy do jednego z polskich czasopism składałam artykuł naukowy o Inicjatywie Trójmorza (Three Seas Initiative, 3SI) poruszyłam w nim m.in. aspekty bezpieczeństwa i polityki międzynarodowej. Otrzymałam negatywną ocenę recenzenta z uwagą, że to temat *stricte* ekonomiczny i nie powinien być wiązany z innymi zagadnieniami. Myślę, że dzisiaj nikt już by takiego zarzutu nie sformułował. Po pierwsze, sam temat cieszy się coraz większym zainteresowaniem, a ponadto jest podejmowany z perspektywy różnych dyscyplin akademickich. W tej chwili badacze koncentrują się na trzech obszarach: polityce, ekonomii oraz historii. Ale potencjał jest zdecydowanie większy: to także stosunki międzynarodowe w szerokim ujęciu, socjologia czy nauki o kulturze i sztuce. Obecnie w tym kontekście dominują dwie kwestie: bezpieczeństwo, nie tylko w wymiarze militarnym, ale także energetycznym czy ekonomicznym, oraz Ukraina i możliwości współpracy w odbudowie tego kraju po wojnie. Kluczowe dla tej formuły współpracy między państwami są trzy sektory dotyczące infrastruktury: energetyka, transport, cyfryzacja, i one też są przedmiotem naukowych analiz.

Widać sporą asymetrię w podejściu do badań dotyczących Inicjatywy Trójmorza u nas i w pozostałych 11 krajach. Z najmniejszym odzewem spotykamy się jak dotąd ze strony austriackiego środowiska naukowego. Generalnie zagraniczni akademicy rzadko piszą o 3SI. Dr Mihai Sebe z Rumuńskiego Instytutu Europejskiego mówił podczas panelu w Lublinie, że ten temat jest „niedojrzały”. Wskazał kilka obszarów współpracy regionalnej, które cieszą się zainteresowaniem środowisk naukowych w jego kraju, ale nie wspominał ani o Trójmorzu, ani nawet o Bukaresztańskiej Dziewiątce. Na pierwszym miejscu stawia się trójstronną kooperację Rumunii, Mołdawii i Ukrainy. Z węgierskiego punktu widzenia, o czym wspominał dr Miklós Mitrovits z Instytutu Historii Węgierskiej Akademii Nauk, kluczowa jest z kolei Grupa Wyszehradzka, która stanowi jeden z najbardziej rozpoznawalnych formatów współpracy w Europie Środkowej. Natomiast na Słowacji pod względem rangi Trójmorze ustępuje nie tylko V4, ale nawet Trójkątomu Sławkowskiemu (Czechy, Słowacja, Austria).

Z kolei prof. Andrzej Pukšto z Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie zwrócił w pierwszej kolejności uwagę na Nordycko-Bałtycką Ósemkę (Dania, Estonia, Islandia, Łotwa, Litwa, Norwegia, Finlandia, Szwecja). Jego zdaniem, inicjatywy współpracy regionalnej w kierunku północnym nie muszą stać w sprzeczności ze współpracą z krajami środkowoeuropejskimi, a niekiedy mogą się nawet dopełniać. Wspominał także o aktywnym udziale Litwy w formule B9 i jej zaangażowaniu w powstanie i rozwój Trójkąta Lubelskiego (Litwa, Polska, Ukraina). W Czechach nie znaleźliśmy ani jednej publikacji

naukowej, w której pojawiłaby się jakakolwiek wzmianka o Inicjatywie Trójmorza.

Na szczęście są pojedynczy badacze, którzy nie pozostają obojętni na tę kwestię, a i w instytucjach coraz częściej dostrzegamy otwartość, chęć i gotowość do dyskusji. Duże nadzieje wiąże z utworzoną Siecią Uniwersytetów Trójmorza. Do ośrodków w niej skupionych skierujemy propozycję współpracy, to będzie nasza baza.

Nie mam wątpliwości, że Polska już teraz zajmuje ważne miejsce na mapie ośrodków badawczych koncentrujących się wokół tego tematu. Nie chcę nadużywać słowa „lider”, bo w tym kontekście może ono zostać źle odebrane – jako zapowiedź dążenia do dominacji, a tak nie jest. Nie chcemy promować określonego sposobu widzenia tej międzynarodowej formuły. Naszym zamiarem jest zachęta do dyskusji i zwrócenie uwagi, że współpraca naukowa wcale nie musi być oparta jedynie na osi Wschód-Zachód. Na Litwie czy w Estonii, ale też i u innych partnerów, często słyszymy, że chcą nawiązać kontakty, ale by nie pomijać ich głosu w tej debacie. Obciążeniem jest nastawienie do Inicjatywy Trójmorza części środowisk w Polsce, co jest w pewien sposób powiązane z polaryzacją i dostrzegane przez naszych partnerów.

W kraju mamy kilka ośrodków podejmujących tematykę Trójmorza: Instytut Europy Środkowej, Ośrodek Studiów Wschodnich, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Instytut Nowej Europy. Niestety, problemy kadrowe i finansowe ograniczały dotąd rozwój tych badań. Dlatego w ub. roku w Instytucie Studiów Politycznych PAN ruszyliśmy z projektem Centrum Badawczego Inicjatywy Trójmorza. Ma on na celu popularyzację i rozwój wiedzy naukowej i badań dotyczących tego zagadnienia oraz stanowić fundament międzynarodowej sieci łączącej podmioty badawcze działające w regionie Trójmorza. Dzięki środkom z Ministerstwa Edukacji i Nauki organizujemy wyjazdy studyjne, seminaria, mamy ambicję poprowadzić panel naukowy przy tegorocznym szczycie Inicjatywy Trójmorza w Bukareszcie. Przygotowujemy prace naukowe (monografie i artykuły). W planach mamy też udostępnienie Archiwum Dokumentacyjnego, które obejmie materiały poświęcone rozwojowi Inicjatywy Trójmorza. Chodzi o to, by naukowcy mieli ułatwiony dostęp do źródeł, które będą uporządkowane. Zakończyliśmy już m.in. kwerendę programów partii politycznych w Polsce w okresie 2014–2022 oraz materiałów z kampanii prezydenckich 2015 i 2020. Uruchomiliśmy również fundusz dofinansowania do wyjazdów naukowych dla badaczy z zagranicy zajmujących się tym obszarem. Pozwolił on na zaproszenie prelegentów na marcowe seminarium w siedzibie ISP PAN.

Notował MK

Załączki centrów doskonałości

Idea centrów doskonałości naukowej nie jest nowa, jako kraj jesteśmy spóźnieni o jakieś 20 lat. Powstawanie takich centrów w Polsce ma ogromne znaczenie. Większość funduszy unijnych jest przeznaczona na współpracę międzynarodową, która sama w sobie jest niezwykle ważna i cenna, ale ma efekt uboczny – emigrację z Polski wielu świetnie wykształconych młodych ludzi. Mobilność kadry naukowej jest pozytywnym elementem budowania umiejętności przyszłych naukowców. Każdy, kto po doktoracie zamierza kontynuować karierę naukową, powinien zdobyć doświadczenie pracy badawczej za granicą. Chcielibyśmy jednak, aby najlepsi z nich wracali do Polski i pomagali nam zmieniać rzeczywistość. Wracając, muszą mieć warunki do uprawiania nauki przynajmniej na porównywalnym poziomie do tego, z jakim zetknęli się podczas zagranicznego stażu. Miejsc, które oferują takie warunki, jest w Polsce bardzo mało. Właśnie dlatego musimy budować załączki centrów doskonałości naukowej, które przyciągną do Polski talenty z całego świata, w tym naszych rodaków obecnie pracujących naukowo za granicą. Od wejścia Polski do UE z kraju wyjechało przeszło 2 mln osób, z czego jedna czwarta z wyższym wykształceniem.

Dzięki wsparciu Funduszy Europejskich dla Nowoczesnej Gospodarki (FENG) w latach 2023–2029 Fundacja na rzecz Nauki Polskiej będzie finansować Międzynarodowe Agendy Badawcze (MAB). W ramach projektów MAB wspierane będzie tworzenie (lub rozwój już istniejących) wyspecjalizowanych, wiodących w skali światowej centrów doskonałości naukowej, w których możliwe będzie osiągnięcie międzynarodowej konkurencyjności badań. Jednostki te powinny być zlokalizowane w jednym miejscu (aby osiągnąć masę krytyczną i synergę działania), mogą być to ośrodki samodzielne lub wydzielone w strukturze już istniejących instytucji. Nad rozwojem każdego centrum ma czuwać międzynarodowe gremium doradcze oraz partner (lub partnerzy) instytucjonalny z zagranicy. Wsparcie programu FENG ma służyć wdrożeniu w Polsce najlepszych światowych praktyk w zakresie prowadzenia badań naukowych na najwyższym światowym poziomie, identyfikowania programów i tematów badawczych, polityki personalnej, zarządzania pracami B+R i komercjalizacji ich wyników. Ponadto, w działaniu tym można uzyskać komplementarne wsparcie projektów wyłonionych w konkursach Horyzont Europa w obszarze Widening participation – teaming for excellence (ToE).

W maju br. ogłosiliśmy dwa pierwsze konkursy MAB: zarówno dla laureatów programu ToE, jak też ogólnodostępny, w tym dla już istniejących MAB-ów. Nabór wniosków rozpoczął się 31 maja br. i będzie trwał do 30 czerwca. Kolejne konkursy będą ogłaszane w przyszłych latach,

aż do wyczerpania alokacji przewidzianej w FENG, czyli ok. 445 mln zł. Planujemy sfinansowanie ok. 12 centrów MAB w latach 2023–2029.

W poprzedniej unijnej perspektywie finansowej ze środków Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój powstało 14 centrów MAB. Już dziś można powiedzieć, że wyniki naukowe osiągnięte przez niektóre z nich są imponujące i zmieniają reguły gry w swojej dziedzinie, a ich ważnym aspektem jest możliwość komercjalizacji z perspektywą uzyskania przewagi na globalnym rynku (można się o nich dowiedzieć więcej m.in. z cyklu wywiadów opublikowanych kilka tygodni temu w tygodniku „Polityka”).

Niewątpliwym osiągnięciem programu MAB jest zwiększenie międzynarodowej widoczności Polski. Świadczą o tym nawiązane przez ośrodki MAB partnerstwa naukowe z prestiżowymi instytucjami z zagranicy, takimi jak np. Uniwersytet Oxfordzki, Uniwersytet Princeton, Królewski Instytut Technologiczny w Sztokholmie i wiele innych. Wśród badaczy pracujących w MAB pięć osób to laureaci grantów ERC. Prof. Wojciech Knap, kierownik ośrodka CENTERA, zdobył niedawno, na podstawie wyników uzyskanych w projekcie MAB, ERC Advanced grant. Warto wspomnieć także o wyjątkowych sukcesach naukowych osiągniętych w wyniku realizacji projektów MAB. Badacze z ośrodka BRAINCITY, kierowanego przez prof. Leszka Kaczmarka i prof. Ewelinę Knapską, opracowali założenia do celowanej

terapii autyzmu. Prof. Tomasz Dietl, kierownik jednostki MagTop niedawno rozwiązał zagadkę kwantowego spinowego zjawiska Halla. Prof. Maciej Wojtkowski wraz z zespołem (MAB ICTER) opracował innowacyjną metodę obrazowania siatkówki za pomocą tzw. fluorescencji ze wzbudzeniem dwufotonowym, która pozwala sprawdzić w mikroskali, czy komórki odpowiedzialne za proces widzenia działają prawidłowo. Naukowcy z Centrum Optycznych Technologii Kwantowych MAB, kierowanego przez prof. Konrada Banaszka, zbudowali procesor kwantowy, który można wykorzystać do rozwiązywania skomplikowanych praktycznych problemów z zakresu spektroskopii i przetwarzania danych zapisanych w fotonach (więcej informacji: www.mab.fnp.org.pl).

Na podstawie doświadczeń realizacji programu MAB w POIR wprowadzamy w działaniu MAB FENG kilka ważnych zmian w obszarze zarządzania tworzonymi ośrodkami. W zależności od statusu jednostek MAB finansowanych z POIR otrzymały one od 35 do 45 mln zł do wydatkowania do końca 2023 r. W polskich warunkach są to ogromne pieniądze. Okazało się, że nie jesteśmy administracyjnie przygotowani do realizacji tak dużych budżetów, w których obowiązują procedury zamówień publicznych. W przypadku centrów finansowanych z programu FENG budżety będą mniejsze, tj. do ok. 30 mln zł w przypadku klasycznych jednostek MAB oraz do 8 mln euro dla MAB-ów realizujących również pro-



Maciej Żyłicz

Program MAB w liczbach

Program Międzynarodowe Agendy Badawcze został zainicjowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej w 2015 roku. Jest realizowany ze środków funduszy strukturalnych w ramach PO IR 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowe Agendy Badawcze. Jego budżet wynosi 126 mln euro. W wyniku konkursu powstało 14 centrów doskonałości: 6 w instytutach Polskiej Akademii Nauk; 5 na uczelniach; 1 w Narodowym Centrum Badań Jądrowych (NCBJ); 1 w spółce należącej do Sieci Łukasiewicz oraz 1 w fundacji badawczej. Każdy MAB otrzymał dofinansowanie w wysokości 35 – 45 mln zł.

Tematyka badawcza centrów doskonałości dotyczy: fizyki i nowych materiałów (7 centrów); biologii i medycyny (4 centra); chemii i biochemii (1 centrum); informatyki w medycynie (1 centrum); astrofizyki i nowych technologii kosmicznych (1 centrum).

W MABach działa 71 grup badawczych. Charakterystyczną cechą nowych ośrodków jest wysokie umiędzynarodowienie: powyżej 50% naukowców jest z zagranicy (255 os.) i 59% młodych doktorów spoza kraju. Badacze z MABów opublikowali dotychczas 557 artykułów.

(dw)

gram Teaming. To właśnie strona administracyjna realizacji projektów okazała się największym wyzwaniem. Większość MAB-ów jest „przyklejonych” do dużych instytucji naukowych i często rodzi to poważne problemy, także dotyczące relacji międzyludzkich (wyższe pensje w centrach MAB, status pracowników administracyjnych instytucji finansowanych z kosztów ryczałtowych MAB, zdarzające się czasem u dyrektorów centrów braki umiejętności zarządczych, mimo doskonałego poziomu naukowego itp.). Niektórzy dyrektorzy traktują przyznane finansowanie jak kolejny grant na projekt badawczy, tracąc z oczu cel programu MAB, jakim jest tworzenie centrów doskonałości, w których zespoły naukowe ściśle i synergicznie ze sobą współpracują. Szefowie MAB-ów powinni też zapewnić funkcjonowanie powstałej jednostki na podobnych zasadach przez 5 lat po zakończeniu finansowania POIR.

W nowym konkursie rekrutacja dyrektorów będzie prowadzona nie tylko na podstawie kryterium jakości nauki uprawianej przez kandydatów,

ale także ich osiągnięci i kompetencji w obszarze zarządzania dużymi zespołami naukowymi oraz w zakresie komercjalizacji wyników badań. Kandydaci, którzy już wcześniej byli zaangażowani w tworzenie i zarządzanie istniejącymi ośrodkami, poza przedstawieniem nowej oryginalnej agendy badawczej dotyczącej ważnych dla społeczeństwa i gospodarki wyzwań i mającej stanowić misję centrów, będą musieli się wykazać kompetencjami umożliwiającymi kierowanie centrum doskonałości. Ocenie podlegać będzie także stopień zaawansowania komercjalizacji wyników naukowych i skuteczność istniejącego w jednostce systemu wdrażania wyników do gospodarki.

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej tworzy centra naukowe, dążąc do tego, aby w sposób trwały zaistniały one na mapie Polski i stały się zalążkiem centrów doskonałości, które realizują ambitne programy naukowe i wdrożeniowe prowadzące do rozwiązywania ważnych dla społeczeństwa i gospodarki wyzwań.

Maciej Żylicz, prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

Z naukowca administrator

Prof. Tomasz Dietl, fizyk, pierwszy laureat – wraz z prof. Tomaszem Wójtowiczem – konkursu Międzynarodowe Agendy Badawcze (MAB) Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, szef projektu „Międzynarodowe Centrum Sprzężenia Magnetyzmu i Nadprzewodnictwa z Materią Topologiczną – MagTop” w Instytucie Fizyki PAN.

Sadzę, że twórcy idei programu MAB odnieśli pełen sukces, w trzech częściach programu, które mają na celu unowocześnienie jednostek naukowych w Polsce.

Po pierwsze, rekrutację liderów grup naukowych prowadzi międzynarodowy komitet naukowy, co ma na celu ograniczeniu „chowu wsobnego”, który jest ciągle problemem w Polsce.

Druga rewolucyjna zmiana to umiędzynarodowienie. Ono się w Polsce poprawia, ale liczba zagranicznych naukowców wciąż jest w polskich grupach badawczych niewielka, choć już zaczyna kompensować konsekwencje nizu demograficznego oraz emigracji Polaków. W programie MAB jest wymóg, aby połowa zatrudnionych była z zagranicy i w MagTopie pojawili się młodzi naukowcy z trzynastu krajów i czterech kontynentów, co stanowiło jakościową zmianę także w Instytucie Fizyki PAN – w zeszłym roku nagrody dyrektora instytutu za najlepszą pracę doktorską i habilitację otrzymali Wietnamczyk i Grek, a za artykuł naukowy Niemiec, Fin i Włoch.

Trzecia rzecz wymagana w programie MAB-ów, to współpraca z otoczeniem gospodarczym oraz budzenie ducha przedsiębiorczości, który zaowocowałby innowacjami technicznymi i społecznymi. To jest wyzwanie wszędzie na świecie, nawet w Stanach Zjednoczonych. Programy europejskie wymuszają takie współprace, program MAB też tego wymaga. Podpisaliśmy umowy z sześcioma firmami. To nie była fikcyjna współpraca. Mamy wspólne publikacje, patenty i produkt.

Widzę też jednak pewne wyzwania. Daje się dwóm osobom, które ex definitione są niezwykle aktywne naukowo, około 40 milionów złotych. One muszą tymi środkami gospodarować, podpisywać umowy i sprawozdania, organizować zespoły naukowe, badania, zakupy sprzętu. W Japonii jest program ERATO. Ale tam mówią laureatowi: masz 20 milionów euro i zdobądź Nobla. Z tymi pieniędzmi przychodzi do zdobywcy grantu grupa osób, które wynajmują pomieszczenia niedaleko uniwersytetu, gdzie zatrudniony jest laureat, zajmują się organizacją

konkursów na stanowiska naukowe, zatrudnianiem badaczy z zagranicy, przetargami na aparaturę, urządzaniem laboratoriów, wszystkim, czego zespół naukowy potrzebuje do sprawnego działania. Obsługują cały ten grant od strony administracyjnej, finansowej i prawnej. Być może u nas też byłoby taniej i lepiej, gdyby organizator konkursu mógł zapewnić obsługę techniczną projektów. Teraz zatrudniamy nowe osoby, które

niekoniecznie znają tajniki organizacji i finansowania danego typu projektu i, wspólnie z laureatami, uczą się obsługi administracyjnej grantu metodą prób i błędów, a grant nie trwa latami. Być może wraz z pieniędzmi należałoby przydzielać MAB-om kompetentną obsługę administracyjno-finansową, a nie tylko środki na tę obsługę.

Oczywiście najważniejsza jest nauka. Koncentracja naukowców z całego świata o różnych specjalnościach daje znakomite efekty. W naszym przypadku to jest obecnie m.in. 240 publikacji i 187 referatów zaproszonych na konferencjach. Do oceny jakości wyników naukowych zapraszam na stronę internetową MagTopu, gdzie opisujemy nasze osiągnięcia.

A czy program MAB pozwala na założenie nowych jednostek R&D? Gdy chcemy powołać nową instytucję naukową, to przed ewaluacją zakończoną odpowiednią kategorią i wpisaniem do ustawy, nie przysługują jej żadne prawa jednostki naukowej. To ma duże konsekwencje. Np. jednostki naukowe mają dostęp do bibliotek cyfrowych, do baz danych, ale gdy w świetle ustawy instytucja nią nie jest, to taki dostęp musi sobie zorganizować i opłacić sama. Podobnie z dostępem do sieci komputerowej, komputerów dużej mocy obliczeniowej, zatrudnianiem obcokrajowców – zupełnie inne przepisy obowiązują jednostki naukowe, a inne przedsiębiorstwa. Przykłady można mnożyć. Nie jest więc łatwo założyć w Polsce nową instytucję naukową. Dlatego koniec końców nie założyliśmy nowej, odrębnej placówki, lecz wróciliśmy do Instytutu Fizyki PAN, gdzie znaleźliśmy odpowiednie warunki do realizacji projektu.

Notował Piotr Kieraciński



Prof. Tomasz Dietl

Najważniejsze jest zaufanie

Prof. Agnieszka Chacińska, biologka, laureatka programu MAB, pomysłodawczyni i organizatorka – wraz z prof. Magdaleną Konarską – projektu REMEDY.

Podchodząc w roku 2017 do konkursu MAB z wnioskiem o finansowanie projektu REMEDY, spodziewałam się, że uda się stworzyć nową jednostkę, centrum doskonałości, które pozyska w otwartych konkursach znakomitych naukowców, będzie prowadziła wspaniałe badania, w powiązaniu z dobrymi mechanizmami organizacyjnymi, które te badania będą wspierały. Marzyłam też o wypracowaniu takich metod działania, które będą doskonałością naukową nieustannie polepszając. Zawsze zdobywałam wystarczające fundusze, aby realizować własne ambicje naukowe. Tym razem chciałam stworzyć miejsce, nową i nowoczesną jednostkę w Polsce, która będzie się rządzić takimi zasadami i zapewniać miejsce na badania dla innych. Chciałam wprowadzić zasady, które sprawiają, że rekrutuje się do pracy najlepszych badaczy, ale także zapewniają jednostce rozwój, co jest możliwe dzięki napływowi ludzi z nowymi pomysłami, a ci, którzy już w jednostce pracują, mają znakomite warunki do prowadzenia badań.

Podstawowym warunkiem, który należy spełnić, żeby to zrealizować, jest powołanie międzynarodowej rady doradczej. Nie chodzi o radę naukową w sensie polskiego prawa, choć ta jest ważna, ale grupę złożoną z najlepszych specjalistów z całego świata, którzy sugerują kierunki badań, pomagają rekrutować w otwartych konkursach liderów grup, a później ewaluować ich osiągnięcia. Radę muszą tworzyć bardzo dobrzy naukowcy, którzy nie tylko są kompetentni, ale też chcą doradzać w kluczowych kwestiach. To zagwarantuje bardzo dobry poziom instytutu. Ona nie może być obciążona zbyt wielką ilością obowiązków, np. prowadzeniem doktoratów, jak rada naukowa. Chodzi o zewnętrzną spojrzenie na sprawę. Jestem w kilku takich radach w jednostkach międzynarodowych. Spotykamy się raz do roku lub rzadziej. To wystarczy, choć w przypadku budującej się jednostki może wymagać spotkania dwa razy w roku.

Drugi kluczowy mechanizm, który realizuje się z pomocą tej rady, to rekrutacja liderów grup badawczych w otwartych międzynarodowych konkursach. Struktura musi być otwarta na liderów grup, którzy są rekomendowani przez radę, a potem przez nią ewaluowani, żeby zobaczyć, czy poziom badań jest właściwy z perspektywy międzynarodowej. Są oni ważni dla stworzenia prostej, spłaszczonej struktury organizacyjnej, którą wspieram i lubię. Te mechanizmy wprowadziłam w REMEDY.

Napotkałam trudności. Pierwsza próba powołania MAB-a na Uniwersytecie Warszawskim zakończyła się niepowodzeniem. Jeden z członków naszej rady, prof. Witold Filipowicz pracujący w Bazylei, powiedział, że wylądowałam w środowisku, które zasadniczo nie rozumiało ani przyjętych przez mnie zasad działania, ani moich intencji. Przekonałam się o tym po stosunkowo krótkim czasie pomimo pozytywnych początkowych deklaracji ze strony rektora. Ówczesny rektor, prof. Marcin Pałys, najwyraźniej zapomniał, z jakimi myślami startowałam w UW i co było dla mnie najważniejsze. Brak zrozumienia w tym środowisku i wsparcia ze strony władz UW spowodował wyjście REMEDY z uniwersytetu. Współpraca zaczęła się lepiej układać po przejściu funkcji rektora przez prof. Alojzego Nowaka, ale wtedy już nasze przejście do Polskiej Akademii Nauk było przesądzone i rozpoczęte. Cały ten proces przebiegł w przyjaznej atmosferze.

Sytuacja pewnie wyglądałaby od początku inaczej, gdyby kto inny był rektorem, gdy zaczynałam pracę na UW, tworząc MAB-a. Dobry szef jednostki raczej aktywnie szukałby drogi wyjścia, a nie promował utratę naukowców o całkiem niezłej reputacji międzynarodowej, a wraz z nimi wielomilionowych finansowań z FNP, NCN i od fundatorów zagranicznych.

Gdy okazało się, że na UW nie można zrealizować mojego wymarzonego centrum doskonałości, przy pomocy ówczesnego prezesa PAN, prof. Jerzego Duszyńskiego i prezesa Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, prof. Macieja Żylicza (głównego fundatora ReMedy) oraz przy „braku sprzeciwu” do tego pomysłu ze strony ówczesnego rektora UW prof. Marcina Pałysa, udało się stworzyć nowy instytut w Akademii. Po przejściu trudnej drogi administracyjnej, przy olbrzymim wsparciu Fundacji, zwłaszcza pani Kingi Słonimskiej, udało się przenieść REMEDY do nowego instytutu. Po pół roku funkcjonowania byliśmy gotowi też na przeniesienie wszystkich grantów, w tym także NCN i EMBO, oraz naukowców zatrudnionych w tych projektach do IMol-u, czyli Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN. We wrześniu 2021 roku



Fot. Jarek Jaworski

mieliśmy to za sobą. Ostatnie półtora roku MAB-a wykonywaliśmy już w IMol-u. Ta praca przyniosła dużą satysfakcję, mimo jednak nieciekawych dla naukowca działań administracyjnych. Chcę podkreślić, że to nie była tylko moja praca, ale także pani prof. Magdaleny Konarskiej, która jest i drugą laureatką MABA, i zastępcą dyrektora ds. nauki w IMol. Chcę też podkreślić wkład zatrudnionych przez nas liderów grup badawczych, którzy dobrze zrozumieli naturę zmian, jakie wprowadzaliśmy. Po pierwszych trudnych chwilach ta próba zakończyła się bardzo dobrze. Mamy nowy instytut, unikalny w skali kraju. Zdobywamy granty, rekrutujemy nowych liderów grup badawczych; jedni odchodzą, inni przychodzą do rady, do zespołów naukowych. Zaczynamy żyć własnym życiem według dobrych standardów.

Żeby stworzyć nową instytucję, nie wystarczy być super menedżerem. Tutaj miałam i mam wielkie wsparcie ze strony mojego zastępcy ds. administracji Radosława Jodzisa. Trzeba być też dobrym naukowcem, a przede wszystkim liderem naukowym, który zna standardy światowej nauki i jej organizacji, i rozumie, w czym rzecz na poziomie międzynarodowym. Gdy już wybierze się lidera, czyli osobę, której władza czy fundator powierza zadanie, to należy jej zaufać, dać dużo wolności, a po jakimś czasie sprawdzić rezultaty. W nauce wolność badań jest czynnikiem krytycznym. Z nią musi się łączyć odpowiedzialność za realizowanie celów w tym szerokim kontekście. To zdaje się być oczywistością i działa tam, gdzie nauka jest przodująca. Wymaga to zaufania ze strony władz czy instytucji, które dają pieniądze, bo nie da się zaprojektować wyników badań, przewidzieć ich przebiegu na pięć lat do przodu; czasami trzeba w trakcie pracy radykalnie zmienić kierunek, bo otwiera się nowy, obiecujący obszar badań. Nauka to nie budowanie autostrad.

Notował Piotr Kieraciński

Emocje do samego końca

Niezwykle zacięta rywalizacja towarzyszyła zmaganiom studentów w tegorocznym cyklu Akademickich Mistrzostw Polski. Jeszcze przed rozegranie ostatnich zawodów: w siatkówce plażowej i piłce nożnej nie było pewne, czy Politechnice Gdańskiej uda się zdobyć tytuł po raz czwarty z rzędu. Nadmorska uczelnia wyszła na prowadzenie w klasyfikacji generalnej w połowie maja i do końca robiła wszystko, by obronić tę pozycję. Ostatni raz tak długa seria zwycięstw w AMP była udziałem Uniwersytetu Warszawskiego, który zdominował rywalizację w latach 2007–2012. Teraz też „stołeczni” stanowili największe zagrożenie dla liderów.

W tym roku wprowadzono kilka zmian, m.in. zwiększono dopuszczalny wiek uczestników z 28 do 30 lat. Ponadto w pływaniu dodano wyścigi na 200 m stylem dowolnym i 200 m stylem zmiennym, w kolarstwie górskim połączono punktację drużynową kobiet i mężczyzn, a w lekkiej atletyce wprowadzono zapis o konieczności ukończenia danej konkurencji przez minimum 20 zawodników/zawodniczek reprezentujących uczelnię, by punkty liczyły się do klasyfikacji drużynowej. Wzrost zainteresowania ینihokejem spowodował, że do wyłonienia finalistów trzeba było rozegrać dwa turnieje półfinałowe.

W sumie zaplanowano rozegranie zawodów w 34 dyscyplinach (w porównaniu z ub.r. wypadło strzelectwo sportowe). Zmagania tradycyjnie już rozpoczęły pod koniec stycznia futsalistki. Złoto padło łupem ekipy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, z której część zawodniczek cztery miesiące później sięgnęła po kolejny triumf – w piłce nożnej. Podobny dublet ustrzeliły koszykarki Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, które wygrały zarówno w tradycyjnej odmianie tej dyscypliny, jak i w grze 3 × 3. Największą frekwencją cieszyły się konkurencje lekkoatletyczne, w których wzięło udział ponad 1150 zawodników z 93 uczelni. Nie zabrakło medalistów ostatnich igrzysk olimpijskich w Tokio. Duże było też zainteresowanie zawodami pływackimi (960 osób) i biegami przełajowymi (630). Ogółem na arenach AMP wystąpili reprezentanci ponad 120 uczelni.

Broniący tytułu studenci i studentki Politechniki Gdańskiej, podobnie jak w poprzednich złotych latach, wystartowali we wszystkich imprezach zaliczanych do cyklu. Warte odnotowania, że przedłużyli do dziesięciu serię kolejnych zwycięstw w żeglarskim. Wygrywali też w koszykówce mężczyzn, badmintonie i trójboju siłowym. Indywidu-

alnie sięgnęli po 8 złotych, 8 srebrnych i 5 brązowych krążków. Na najwyższym stopniu podium stawali m.in.: Krzysztof Żygenda w przełajowym biegu na 9 km, Kamil Linstedt, dla którego był to czwarty z rzędu tytuł w trójboju siłowym, Wiktor Mertka w rzucie oszczepem oraz Anna Khlibenko i Jan Aleksandrowicz w ergometrze wioślarskim. Ten ostatni wraz z Szymonem Stankiewiczem triumfował także w wioślarskiej dwójce podwójnej wagi lekkiej.

Do końcowej punktacji liczyły się wyniki osiągnięte w: **aerobiku sportowym** (Gdański Uniwersytet Medyczny), **badmintonie** (Politechnika Gdańska), **biegach przełajowych** (k: Uniwersytet Warszawski, m: Politechnika Świętokrzyska), **brydżu** (Politechnika Łódzka), **ergometrze wioślarskim** (k: Uniwersytet Gdański, m: Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy), **futsalu** (k: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, m: WSG), **jeździectwie** (UW), judo (AWF Warszawa), **karate** (Politechnika Łódzka), **kolarstwie górskim** (UW), **koszykówce** (k: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni, m: PG), **koszykówce 3 × 3** (k: AMW w Gdyni, m: AWF Katowice), **lekkoatletyce** (k: UG, m: UMCS), **narciarskim alpejskim** (k: AWF Katowice, m: Politechnika Krakowska), **piłce nożnej** (k: UAM), **piłce ręcznej** (k: UG, m: Politechnika Opolska), **pływaniu** (k: UW, m: AWF Katowice), **siatkówce** (k: Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Krośnie, m: Akademia Górniczo-Hutnicza), **snowboardzie** (k: AGH, m: UW), **szachach** (ALK), szermierze (AWF Katowice), **tenisie** (k: ALK, m: Akademia Kaliska), **tenisie stołowym** (k: Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, m: Akademia Zamojska), **trójboju siłowym** (k: Uniwersytet Jagielloński, m: PG), **ynihokeju** (AGH), **wioślarskim** (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy), **wspinaczce** (k: Politechnika Śląska, m: AGH), **żeglarskim** (PG).

O ile w „generalce” kolejność na podium pozostawała niewiadomą do końca, o tyle w klasyfikacji medalowej, z ponad pół setką krążków, bezkonkurencyjna po raz kolejny okazała się Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach.

Dla wielu uczestników Akademickich Mistrzostw Polski to jeszcze nie koniec sezonu. Na przełomie lipca i sierpnia czeka ich Uniwersjada w chińskim Chengdu, która pierwotnie miała się odbyć dwa lata temu, jednak ze względu na epidemię COVID-19 została przełożona o rok, a później o kolejny.

MK



Złoci koszykarze Politechniki Gdańskiej

Fot. Politechnika Gdańska

Ze źródeł natury ku kompetencjom przyszłości

70 lat Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie

Historia kształcenia rolniczego w Krakowie sięga XVIII wieku. Ks. Hugo Kołłątaj, autor reformy Akademii Krakowskiej w 1776 roku zaproponował, aby w Szkole Głównej Koronnej utworzyć Katedrę Rolnictwa. Faktycznie Katedra Gospodarstwa Wiejskiego została powołana w 1806 r., lecz istniała tylko trzy lata. Dopiero w 1890 r. przy Wydziale Filozoficznym UJ powstało 3-letnie Studium Rolnicze, przekształcone w 1923 r. w Wydział Rolniczy. Po II wojnie światowej został on przekształcony w Wydział Rolniczo-Leśny, a w 1949 r. powołano odrębny Wydział Leśny, na który już po dwóch latach wstrzymano nabór studentów.

W 1953 roku na bazie wyodrębnionego z Uniwersytetu Jagiellońskiego Wydziału Rolniczego utworzono Wyższą Szkołę Rolniczą w Krakowie. W 1972 roku WSR uzyskała prawo do nadawania stopni naukowych i stała się Akademią Rolniczą w Krakowie, której w 1978 r. nadano imię Hugona Kołłątaja, prekursora nauk rolniczych w Polsce. W roku 2008 uczelnia uzyskała status Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie. Sukcesywnie rozbudowywano strukturę uczelni. Już w 1953 r. powstał Wydział Zootechniczny (obecnie Hodowli i Biologii Zwierząt). W 1955 roku w WSR powołano Wydział Melioracji Wodnych (obecnie Inżynierii Środowiska i Geodezji). W 1963 roku reaktywowano Wydział Leśny, a w 1968 r. utworzono Wydział Ogrodniczy. W 1973 roku powstał Zamiejscowy Wydział Ekonomiki i Obrotu Rolnego w Rzeszowie – stanowiący w pewnym momencie 20% potencjału AR – który w 2001 r. został włączony w struktury tworzonego wówczas Uniwersytetu Rzeszowskiego. Przez krótki czas działała też filia w Zamościu. W 1977 r. powołano Wydział Techniki i Energetyki Rolnictwa (później Agrotechnologii, a obecnie Inżynierii Produkcji i Energetyki), a w 1994 Wydział Technologii Żywności. Już w XXI wieku utworzono Międzywydziałowe Studium Biotechnologii, które w 2014 r. po połączeniu z Wydziałem Ogrodnictwa przekształciło się w Wydział Biotechnologii i Ogrodnictwa. Z kolei powołane w 2009 r. Studia Międzywydziałowe Architektura Krajobrazu zostały w roku 2014 włączone w strukturę Wydziału Inżynierii Środowiska i Geodezji. W roku 2010 powstało Uniwersyteckie Centrum Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Rolniczego. Wkrótce ma stać się pełnoprawną jednostką URK.

Obecnie podstawową strukturę naukowo-dydaktyczną URK tworzy 7 wydziałów: Rolniczo-Ekonomiczny, Leśny, Hodowli i Biologii Zwierząt, Inżynierii Środowiska i Geodezji, Biotechnologii i Ogrodnictwa, Inżynierii Produkcji i Energetyki, Technologii Żywności oraz Uniwersyteckie Centrum, Medycyny Weterynaryjnej. Ważną jej częścią są zakłady doświadczalne i stacje naukowe. Uniwersytet ma nieco ponad 400 hektarów gruntów rolnych i 28 ha stawów hodowlanych, zlokalizowanych w obrębie lub w pobliżu Krakowa; są to: Rolnicze Gospodarstwo Doświadczalne w Prusach i Garlicy Murowanej oraz stacje doświadczalne w Bielanych, Mydlnikach, Rzęsce i Przegorzalach. Oprócz tego uczelnia ma potężny Leśny Zakład Doświadczalny w Krynicy Zdroju, dysponujący 6,5 tys. hektarów lasów.

Obiekty naukowo-dydaktyczne zgrupowane są w 3 kampusach: po obu stronach al. Mickiewicza – 9 budynków, przy al. 29 Listopada – 12 obiektów oraz na ul. Balickiej – 22 budynki. Łącznie uniwersytet dysponuje ponad 130 tys. m² powierzchni dydaktycznej. Bratniak, Oaza, Młodość i Czwórka to nazwy domów studenckich URK, w których jest ponad 1,5 tys. miejsc noclegowych.

W ciągu 70 lat istnienia mury uczelni opuściło 94 282 absolwentów, w tym ponad 6,5 tys. to absolwenci filii URK w Rzeszowie i Zamościu. Prawie 54 tys. absolwentów uzyskało tytuł magistra inżyniera, a 35 tys. inżyniera. Nadano stopień doktora 1773 osobom, habilitowano 674 naukowców, a 247 osób uzyskało profesury.

Obecnie URK zatrudnia 1494 pracowników w tym 734 nauczycieli akademickich i 760 pozostałych pracowników. Kadre akademicką tworzy 82 profesorów tytularnych, 257 doktorów habilitowanych, 333 doktorów i 62 magistrów. W pozostałej grupie jest 279 pracowników administracji, 214 technicznych, 204 obsługi, 25 bibliotecznych oraz 38 pracowników LZD w Krynicy.

Uczelnia oferuje na studiach stacjonarnych I stopnia i jednolitych magisterskich 25 kierunków inżynierskich i 3 licencjackie (w 24 specjalnościach inżynierskich i 2 licencjackich) oraz jeden kierunek jednolity. Studia niestacjonarne I stopnia prowadzi na 17 kierunkach inżynierskich i 2 licencjackich (w 14 specjalnościach inżynierskich, 2 licencjackich). Studia stacjonarne II stopnia realizowane są na 25 kierunkach i 40 specjalnościach, a niestacjonarne na 19 kierunkach i 27 specjalnościach. Na URK na wszystkich typach i stopniach studiów



kształci się 7005 studentów. Na studiach stacjonarnych jest 5461, w tym 144 cudzoziemców, a na niestacjonarnych 1544 studentów, w tym 6 obcokrajowców. Dodatkowo w 14 kursach podyplomowych uczestniczy 324 słuchaczy. Na studiach doktoranckich jest 50 osób, a w szkole doktorskiej 95 osób, w tym 26 obcokrajowców.

Studenci URK w większości pochodzą z samego Krakowa oraz okolicznych małych i średnich miasteczek. – W tej chwili mamy głównie mieszkańców województw małopolskiego, śląskiego i świętokrzyskiego. Znacznie mniej jest studentów z podkarpackiego, które wypadło z naszej strefy wpływów, choć np. dietetyka i weterynaria ściągają wciąż ludzi z tego regionu – mówi rektor URK, dr hab. inż. Sylwester Tabor, prof. URK.

W wyniku ewaluacji działalności naukowej za lata 2017-2021 uczelnia uzyskała w 4 dziedzinach jedną kategorię A+, 3 kat. A i 8 B+. To w znacznie trudniejszej sytuacji – ocena dwunastu dyscyplin w porównaniu do siedmiu jednostek – znacznie lepsze wyniki niż w poprzedniej ewaluacji (2 A, 3 B, 2 C). URK spełnia z nadmiarem wymogi uniwersytetu klasycznego. Dzięki uzyskanym kategoriom naukowym uczelnia ma uprawnienia do nadawania stopni naukowych w 12 dyscyplinach. W 2023 r. planowany jest nabór kandydatów do szkoły doktorskiej w dyscyplinie nauki biologiczne, natomiast w 2024 r. prawdopodobnie także w dyscyplinie weterynaria. Przewiduje się również realizację doktoratów wspólnych z innymi instytucjami naukowymi, w tym zagranicznymi (joint degree).

W ciągu ostatnich 10 lat pracownicy URK opublikowali 11 124 artykułów naukowych, 460 monografii i 9 podręczników akademickich. Ich prace były cytowane prawie 59 tys. razy (Scopus). Uzyskali ochronę patentową na 122 wynalazków. Zrealizowali 312 krajowych projektów badawczych o wartości 129,88 mln zł oraz 26 projektów międzynarodowych o wartości 61,5 mln zł. W badaniach krajowych jest 215 grantów Narodowego Centrum Nauki o wartości 71 mln zł. Przeprowadzili też 597 badań zamawianych o wartości 70,6 mln zł.

Warto zwrócić uwagę na duży projekt „Odtworzenie oraz zachowanie obszarów bagiennych, torfowisk i terenów podmokłych na obszarach Natura 2000 i Zielonej Infrastruktury” (Wetlands Green Life), finansowany z unijnego programu LIFE. Jego wartość to 36 mln euro, z czego UE pokrywa 21,6 euro; pozostałe środki pochodzą z funduszy krajowych. Do URK, jako jednego z trzech wykonawców projektu, przez 10 lat trafi niemal 57 mln zł.

Biblioteka Główna mieści się w tzw. Budyńku Jubileuszowym przy al. Mickiewicza 24/28, gdzie znajdują się: Czytelnia Główna (z zasobem ponad 7 tys. książek i czasopism), Wypożyczalnia, Wypożyczalnia Międzybiblioteczna, Oddział Informacji Naukowej oraz Muzeum. Działają również czytelnie zewnętrzne przy wydziałach: Technologii Żywności, Leśnym oraz Biotechnologii i Ogrodnictwa. Księgo-

zbiór liczy 354 tys. woluminów książek i czasopism, 9 tys. jednostek zbiorów specjalnych (norm, kartografii, materiałów elektronicznych) z zakresu badań i kształcenia na URK. Rocznie do Biblioteki wpływa ok. 300 tytułów czasopism polskich i zagranicznych. W katalogu on-line jest ponad 130 tys. książek. Użytkownicy mają dostęp do prounumeryowanych przez Bibliotekę pełnotekstowych lub abstraktowych baz o zasięgu krajowym i międzynarodowym (m.in. Ebsco, Elsevier, JSTOR, Scopus, Springer, Wiley, iBUK Libra, czasopisma polskie wydawnictw SIGMA–NOT i Elamed).

Obecnie na uczelni działa 16 kół naukowych i 89 sekcji tematycznych. W kampusach URK działają dwa kluby studenckie: legendarna „Buda” (skąd wywodzi się zespół Pod Budą) oraz „Arka”. Studencki Zespół Góralski „Skalni” od 1952 roku skupia młodzież góralską, studiującą na uczelniach krakowskich. Przedstawia folklor Podhala w formie tradycyjnej. Zespół Sygnalistów Myśliwskich „Hagard” powstał w 2001 roku. Ma na swoim koncie szereg sukcesów. W 2003 roku rozpoczął działalność Chór Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. W roku 2007 roku został powołany Chór Męski „AGRICOLA” Krakowskiego Środowiska Akademickiego. Oba zespoły prowadzi dr Joanna Gutowska-Kuźmicz. W 2015 roku powołano Centrum Kultury i Kształcenia Ustawicznego, które jest organizatorem lub promotorem ponad 300 przedsięwzięć kulturalnych rocznie, m.in. Międzyuczelnianego Przeglądu Kabaretów Studenckich „KLAMKA”, Balu Beana, Międzywydziałowego Turnieju Artystycznego o Puchar Przechodni Prorektora ds. Kształcenia URK, spotkań kabaretowych Przegląd Arka, Spotkań Podróżniczych czy Wieczorów Folkowych.

Uczelnia to także sport. Na URK działa zarówno Studium Wychowania Fizycznego i Sportu, jak i Klub Uczelniany AZS. W 2013 oddano do użytku nową wielofunkcyjną halę sportową. Sekcje sportowe AZS URK odnoszą sukcesy w Akademickich Mistrzostwach Polski: koszykówka kobiet (2017 r. – I miejsce), koszykówka mężczyzn (2021 i 2022 r. – II miejsce), narciarstwo i snowboard (2020 r. – I i II miejsce w snowboardzie, 2022 r. – I miejsce w slalomie, I miejsce w gigancie, II i III miejsce w snowboardzie kobiet, I miejsce w snowboardzie mężczyzn), siatkówka kobiet (2020 r. – I miejsce), lekkoatletyka (2020 r. – I miejsce), pływanie (2022 r. – II miejsce, 2021 r. – III miejsce), trójbój siłowy (2018, 2019 i 2020 r. – II miejsce), podnoszenie ciężarów (2020 r. – II miejsce, 2019 r. – III miejsce w Akademickich Mistrzostwach Świata, 2019 i 2021 r. – I miejsce), ergometr wioślarski (2019 r. – I miejsce), wspinaczka sportowa (2014 i 2015 r. – I miejsce, 2015 r. – II miejsce w Akademickich Mistrzostwach Europy), kolarstwo (2018 r. – I i III miejsce, 2022 r. – I miejsce), judo (2018 i 2022 r. – I miejsce), tenis stołowy (2021 r. – II miejsce).

Opr. IM, PK



PKA – interpretacje i sąd

Czym są stanowiska interpretacyjne PKA i czy w ogóle istnieć powinny? Czy zbliża się sąd nad niektórymi ocenami PKA? Czy takie różnicowanie zapewni równość uczelni wobec prawa?

PKA nie podejmuje decyzji administracyjnych, a tym bardziej nie wydaje wyroków. Wyraża opinie. Stąd stanowiska interpretacyjne można postrzegać jako pogląd Prezydium PKA na dany problem prawny. Jednak pamiętać należy, że organ podejmujący decyzję w oparciu o te same regulacje (np. minister) może mieć inny niż Komisja pogląd, a tym bardziej własny pogląd może mieć sąd weryfikujący decyzję organu. PSWiN ma wiele „tajemniczych miejsc”, niedoprecyzowań, trudnych do rozstrzygnięcia interpretacyjnie dylematów, ale problemy pozostawione w ustawie, nie powinny być „rozwiązywane” na poziomie rozporządzeń, a tym bardziej stanowisk PKA. Stanowisko interpretacyjne nie jest także rozstrzygnięciem Prezydium PKA w danej sprawie, choć może być źródłem projekcji takowego. Stanowisko w sprawie praktyk analizowałem w FA 3/2023. Dziś kolejne.

Powrót domniemanego „minimum kadrowego”?

W stanowisku interpretacyjnym nr 8/2020 Prezydium Polskiej Komisji Akredytacyjnej z dnia 22 października 2020 r w sprawie obsady zajęć czytamy: „Przekazanie wiedzy adekwatnej zarówno do stopnia zawansowanego, jak i do zakresu pogłębionego w rozumieniu przepisów ustawy z dnia 22 grudnia 2015 r. o Zintegrowanym Systemie Kwalifikacji (t.j. Dz.U. z 2020 r., poz. 226), wymaga adekwatnych kompetencji, które uzyskiwane są – najczęściej – w drodze osiągnięcia kolejnych etapów rozwoju naukowego nauczyciela akademickiego. W przypadku kształcenia na profilu praktycznym, w szerszym zakresie niż w przypadku profilu ogólnoakademickiego, adekwatne kompetencje mogą być uzyskane w drodze gromadzenia doświadczenia zawodowego poza uczelnią”. Fragment ten zawiera kluczowe słowo: „najczęściej”.

Zgodnie z rozporządzeniem MNiSW z dnia 12 września 2018 r. w sprawie kryteriów oceny programowej, jej kryterium jest m.in. „poziom kompetencji i doświadczenia kadry prowadzącej kształcenie”. Szczegółowe kryterium ze Statutu PKA brzmi m.in. dla profilu ogólnoakademickiego: „Kompetencje i doświadczenie, kwalifikacje oraz liczba nauczycieli akademickich i innych osób prowadzących zajęcia ze studentami zapewniają prawidłową realizację zajęć oraz osiągnięcie przez studentów efektów uczenia się”. Nadal z tego brzmienia nie wynika, kiedy zapewniają, a kiedy nie zapewniają. Jednak w Statucie PKA dodano słowo „kwalifikacje”. Dlaczego? Jeśli kwalifikacje są częścią kompetencji lub efektem kompetencji i doświadczeń, to należałoby dodać „w tym”. Jeśli nie są, jaka jest podstawa prawna rozszerzenia? Zdaniem autorów omawianego stanowiska (pogrubienia moje): „Dla ustalenia koherencji pomiędzy treściami i efektami uczenia się przypisanymi do zajęć nie wystarczy stwierdzenie ogólnej koherencji pomiędzy dorobkiem naukowym osoby prowadzącej zajęcia, a dyscypliną, do której odnoszą się te treści i efekty. Prowadzenie zajęć, którym przypisano treści i efekty uczenia się, odnoszące się do wiedzy kluczowej w zakresie danej dyscypliny naukowej, opartej o cały dorobek tej dyscypliny, powinno być powierzone osobom, które posiadają uporządkowaną, szeroką znajomość dorobku naukowego wypracowanego w danej dyscyplinie. Kompetencje

takie nabywane są najczęściej wraz z osiągnięciem kolejnych poziomów naukowego awansu zawodowego i w ramach stałej aktualizacji wiedzy i umiejętności, realizowanej szczególnie poprzez prowadzenie własnej pracy badawczej”. Tym samym PKA wprowadziła swoiste domniemanie kompetencji powiązane ze stopniami naukowymi, choć nie poparła tego wynikami badań statystycznych. Jako źródło takiego ustalenia może służyć parasędziowskie sformułowanie, iż: „Sprzeczne z wiedzą i doświadczeniem życiowym byłoby przyjęcie, iż doświadczenie zawodowe uzyskane przez osobę nie posiadającą stopnia, lub tytułu naukowego i nie wykazującą stałej aktywności naukowej, jest – z zasady – równorzędne kompetencjom niezbędnym do prowadzenia zajęć odwołujących się w zakresie treści i efektów uczenia się do zaawansowanej wiedzy naukowej”. W tym sformułowaniu kluczowe wydaje się oczywiście słowo „z zasady”. Jednak po takim stanowisku, w praktyce każdy przypadek braku stopnia naukowego, zwłaszcza na profilu ogólnoakademickim, może wymagać ze strony uczelni dowodu, chyba że uznamy, iż to PKA musi wykazać, że w danym przypadku takiego doświadczenia i kompetencji – przy braku stopnia i dorobku – nie ma.



Fot. Barbara Budzyńska

Proszę wstać...

Powyższe rozważania być może okażą się przydatne uczelni, która ponownie podejmie ryzyko zaskarżenia ewentualnie niekorzystnej decyzji PKA. W tym zakresie warto zwrócić uwagę na orzeczenie w sprawie II SA/Wa 2671/19, w którego uzasadnieniu wskazano: „Sąd w pełni podziela ocenę prawną zawartą w wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego z dnia 7 lutego 2007 r., sygn. akt I OSK 1177/06, a także w postanowieniach z dnia 10 października 2008 r., sygn. akt I OSK 1040/08 i z dnia 26 września 2007, sygn. akt I OSK 1342/07, wydanych w analogicznych sprawach”. To orzeczenie zostało utrzymane w sprawie III OSK 5085/21, jednak oba rozstrzygnięcia opierano na uchwale PKA, do której stosowano stan prawny jeszcze z ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym. Czy na gruncie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 2018 mogłoby zapaść odmienne? Przeanalizujmy te argumenty WSA podniesione za odrzuceniem skargi, cytując je z uzasadnienia orzeczenia w sprawie II SA/Wa 2671/19, które na gruncie PSWiN mogłyby wzbudzać dyskusje.

„Komisja nie ma uprawnień do rozstrzygania we władczy sposób o prawach i obowiązkach strony. Ten charakter uchwali podejmowanych przez Polską Komisję Akredytacyjną przesądza, że nie mogą być one uznane za czynności z zakresu administracji publicznej, o którym mowa w art. 3 § 2 P.p.s.a. Z treści tego przepisu wynika, że wymienione akty i czynności muszą mieć charakter publicznoprawny. Treść wyjaśnianego przepisu wskazuje także, że akt lub czynność musi dotyczyć uprawnienia lub obowiązku wynikających z przepisów prawa. Konieczne więc jest odniesienie takiego aktu lub czynności do przepisu prawa powszechnie obowiązującego, który określa uprawnienie lub obowiązek. Oznacza to, że musi istnieć ścisły związek między przepisem prawa, który określa uprawnienie lub obowiązek, a aktem lub czynnością, która dotyczy takiego uprawnienia lub obowiązku (por. postanowienie Naczelnego Sądu Administracyjnego z dnia 16 września 2004 r., OSK 247/04). (...)

Komisja nie jest właściwa, gdyż nie posiada uprawnień do rozstrzygnięcia we władczy sposób o prawach i obowiązkach uczelni. (...) Komisja nie została wyposażona w kompetencje do stosowania środków władczych wobec podmiotów objętych zakresem jej działania lub podejmowania wobec nich rozstrzygnięć o charakterze władczym. Uchwała Komisji stanowi jedynie wynik kontroli, który wskazuje wyłącznie określone uchybienia oraz dokonuje ustaleń faktycznych, a tym samym nie dotyczy przyznania, stwierdzenia albo uznania uprawnienia bądź obowiązku, wynikających z przepisów prawa”.

Jednak w PSWiN znajdujemy przepisy, na mocy których PKA rozstrzyga ze skutkami bezpośrednio w sferze praw i obowiązków uczelni. Art. 16 ust. 1a pkt 6) uzależnia możliwość skorzystania z uprawnienia do danej nazwy od braku oceny negatywnej PKA. Art. 40 ust. 1 pkt 7) wprowadza skutek odmowy ministra wpisu do ewidencji w przypadku negatywnej opinii PKA. Art. 41 ust. 4 pkt 2) nakazuje odmówić przedłużenia ważności wpisu w przypadku danej liczby negatywnych ocen kształcenia. Wreszcie art. 246: „Jeżeli PKA wydała negatywną ocenę jakości kształcenia na kierunku studiów, uczelnia, o której mowa w art. 53 ust. 7-9, zaprzestaje prowadzenia studiów na tym kierunku z końcem semestru, w którym uchwała stała się ostateczna. Jeżeli do końca semestru pozostało mniej niż 3 miesiące, uczelnia zaprzestaje prowadzenia studiów na tym kierunku z końcem kolejnego semestru. Art. 388 ust. 1 pkt 4) przewiduje, że negatywna ocena programowa blokuje możliwość ubiegania się o status uczelni badawczej”. WSA wskazuje, iż „szczegółowy tryb postępowania przed Komisją nie został uregulowany w drodze aktu o charakterze powszechnie obowiązującym, lecz w statucie Komisji”. Ale tryb ten w zakresie innym niż szczegółowy określa jednak ustawa, np. art. 245.

...Sąd idzie?

W uzasadnieniu postanowienia NSA z 9 maja 2023 r. (III OSK 510/23) utrzymującego w mocy odrzucenie skargi w sprawie II SA/Wa 1802/22 NSA przywołał, że uchwała jaką usiłowano zaskarżyć „została podjęta w oparciu o art. 245 ust. 1 pkt 2 w zw. z art. 258 ust. 1 pkt 3 ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (Dz. U. z 2022 r., poz. 574 ze zm., dalej: «ustawa»)”. Przywołał też uzasadnienie WSA pokrywające się z wyżej analizowanym. W skardze kasacyjnej podnoszono, że PSWiN odmiennie konstruuje uprawnienia PKA, cyt. za NSA: „W uzasadnieniu skargi kasacyjnej podniesiono, że rozważania historyczne Sądu a quo dotyczące statusu prawnego PKA są prawidłowe i skarżąca zgadza się z przedstawionymi poglądami na tle wcześniejszych uregulowań prawnych”.

NSA wskazał, że „W przypadku uczelni, które nie zostały określone w art. 53 ust. 7-9 ustawy, tj. nie posiadają kategorii naukowej A+, A albo B+, wydanie przez PKA uchwały o negatywnej ocenie kierunku studiów powoduje, że minister właściwy do spraw szkolnictwa wyższego wszczyna postępowanie w sprawie cofnięcia pozwolenia na utworzenie danego kierunku studiów. W tym zakresie uchwała o negatywnej ocenie kierunku studiów ma, zgodnie z art. 258 ust. 1 pkt 2 ustawy, jedynie charakter opinii, która będzie poddana ocenie w trakcie postępowania administracyjnego prowadzonego przez ministra właściwego do spraw szkolnictwa wyższego. Postępowanie toczące się w takim zakresie przez PKA nie ma charakteru postępowania administracyjnego, a uchwała o negatywnej ocenie kierunku studiów jako nie wywodząca bezpośrednich skutków prawnych dla uczelni, nie może być uznana za decyzję lub akt podlegający, na postawie art. 3 § 2 pkt 1 lub pkt 4 P.p.s.a., kontroli sądowoadministracyjnej. PKA jest tu bowiem wyłącznie instytucją opiniodawczą dla ministra właściwego do spraw szkolnictwa wyższego, pełniącą w postępowaniu rolę swego rodzaju instytucjonalnego biegłego, oceniającego jakość kształcenia na studiach. Natomiast szkoła wyższa będzie miała możliwość kwestionowania ustaleń poczynionych przez Ministra, na podstawie oceny jakości kształcenia dokonanej przez PKA, dopiero w ramach postępowania administracyjnego w przedmiocie cofnięcia pozwolenia na utworzenie studiów”.

Czy więc w przypadku uczelni wskazanych w art. 246, a więc tych z art. 53 ust. 7-9 PSWiN (lub w innych przypadkach wyżej wskazanych, w których „negat” PKA ma charakter kształtujący uprawnienia uczelni), skarga będzie dopuszczalna? A jeśli tak, to czy takie różnicowanie uczelni w zakresie skutków i charakteru ocen PKA wobec nich jest zgodne z Konstytucją RP? Czas pokaże. Należy także pamiętać, że dosłowne interpretowanie przepisów nie zawsze znajduje poparcie w orzecznictwie. Dla przykładu w uzasadnieniu wyroku NSA w sprawie OSK 496/20 wskazano, na tle interpretacji regulacji z danej ustawy o stopniach i tytule naukowym, że „nie zawsze literalne rozumienie art. 20 ust. 6 ustawy jest wystarczające, bo mogłoby prowadzić do wadliwych rezultatów”.

Marcin Chałupka, radca prawny, specjalizuje się w prawie i instytucjach szkolnictwa wyższego i awansu naukowego. Kanclerz w Akademii Zamojskiej. Więcej na www.chalupka.pl. Decyzje w danych stanach faktycznych powinny być konsultowane z pełnomocnikami.

Prenumerata

„Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Tańcz, śpiewaj, poznawaj

Nie samą nauką student żyje. Do pełnego rozwoju potrzebuje także chwili oddechu. Doskonałym sposobem, by poczuć, jak wiele korzyści może przynieść podjęcie różnego rodzaju aktywności, jest wejście w obszary zaliczające się do świata kultury. Na Politechnice Lubelskiej wachlarz możliwości w tym zakresie jest szeroko rozpostarty. Można tańczyć lub śpiewać albo łączyć obie te pasje. Wszystko dzięki bogatej ofercie interesujących zajęć. Kto lubi brzmienia folklorystyczne może dołączyć do Zespołu Pieśni i Tańca. Dla osób zainteresowanych świadomością ciała pozostaje uczestnictwo w Grupie Tańca Współczesnego. Amatorzy rytmów latynoamerykańskich świetnie odnajdą się w Formacji Tańca Towarzyskiego GAMZA, a obdarzeni talentem wokalnym doskonale sprawdzą się w Akademickim Chórze. Niezależnie od dokonanego wyboru uczestników czeka życiowa przygoda wspomniana po latach z czułością i sentymentem. Wspólnym mianownikiem łączącym wszystkie rodzaje działalności jest bowiem tworzenie specyficznej atmosfery, w której każdy może poczuć się częścią większej wspólnoty. Bezcenną wartość stanowią międzyludzkie więzi rodzące się przy okazji spędzania ze sobą dużej ilości czasu. Jak potrafią być mocne, świadczą nie tylko wieloletnie przyjaźnie, ale także liczne związki małżeńskie. Za sprawą samej tylko GAMZY siedemdziesiąt par powiedziało sobie sakramentalne „tak”. Uczestnictwo w zajęciach wymaga od wszystkich ogromnego wkładu pracy, wytrwałości, cierpliwości i tolerancji. Bez tego trudno podtrzymać motywację niezbędną do podejmowania nieustannego wysiłku, potrzebnego w trakcie prób do spektakli. Nagrodę stanowi nie tylko uznanie publiczności i zdobyte trofea, ale także nabyte w trakcie lat zajęć unikatowe kompetencje przydatne potem w życiu prywatnym i zawodowym. Umiejętność współdziałania, zdolność do precyzyjnego wytyczania osiągalnych celów, efektywność w negocjowaniu warunków współpracy i poszukiwanie kompromisowych rozwiązań, to jedne z kluczowych sprawności, których opanowanie zwiększa szansę na osiągnięcie prawdziwego sukcesu.

Z dbałości o ochronę dziedzictwa narodowego i chęć popularyzacji wśród młodzieży piękna i bogactwa polskich tradycji wyrósł Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Lubelskiej. Istniejący od 1991 do 2002 roku, początkowo jako Akademicki Zespół Tańca Ludowego „Krajka”, został

reaktywowany dwa lata później i od tamtej pory działa pod obecną nazwą. Jest członkiem Polskiej Sekcji Międzynarodowej Organizacji Sztuki Ludowej IOV, a na swoim koncie posiada liczne nagrody i wyróżnienia. Pochwalić się może m.in. Grand Prix otrzymanym w Wojewódzkim Konkursie Artystycznym „7 Talent” oraz III miejscem wywalczonym na XV Ogólnopolskim Konkursie Tańców Polskich „O Pierścień Księżnej Izabeli” w Puławach w kategorii Karo Mazurkowe. Odniesiony Medalem Unii Lubelskiej i uhonorowany medalem 700-lecia Lublina. Pary zespołowe wielokrotnie zdobywały laury na Ogólnopolskich Turniejach i Konkursach Tańców Polskich. Swoje zamiłowanie do ludowości pokazują na scenie, tworząc niepowtarzalne widowiska złożone z muzyki, tańca, śpiewu i barwnych strojów. W bogatym repertuarze zespołu znajdziemy przyśpiewki z różnych regionów, polskie kolędy i pastorałki, pieśni ludowe i patriotyczne, a także piosenki i tańce Starej Warszawy i Lwowa. W ciągu dziewiętnastu lat działalności przez zespół przewinęło się ponad dwustu tancerzy, którzy dali więcej niż trzysta koncertów i wzięli udział w przeszło osiemnastu festiwalach folklorystycznych poza granicami naszego kraju. Za choreografię odpowiada Hanna Aleksandrowicz, a kierownictwo kapeli tworzą Mikołaj Naum i Iwona Adamek. Taniec zainspirowały cztery osoby z zespołu do ukończenia profesjonalnych kursów Instruktorów Tańca Ludowego. To daje nadzieję, że polska tradycja nie zostanie zapomniana, a kolejne pokolenia będą ją z równie dobrym skutkiem kultywować.

Chociaż powstała 1 kwietnia, nie można powiedzieć, że działalność Formacji Tańca Towarzyskiego Politechniki Lubelskiej GAMZA to żart. Na czele najstarszej grupy artystycznej utworzonej w 1970 roku przez studentów ówczesnej Wyższej Szkoły Inżynierskiej stoi obecnie Piotr Mochol. Kierownik artystyczny, instruktor tańca i choreograf związany jest z zespołem od ponad trzydziestu lat. GAMZA zaprasza zainteresowanych walcem angielskim, tangiem, rumbą, użytkowym discofoxem czy rock'n'rollem i chciałby wziąć udział w autorskich widowiskach, w których można odnaleźć atmosferę musicalu i rewii. Pełne dynamizmu i spektakularnych układów tanecznych *Super Heroes*, *Mamma Mia!*, *Zacznij od Bacha* czy *Chicago* zawsze wywołują wśród publiczności ogromne emocje. Od wielu lat tancerze włączają się w akcje mające na celu wsparcie najbardziej potrze-



Formacja Tańca Towarzyskiego PL GAMZA



Akademicki Chór PL

bujących. Kulminację tych działań stanowi organizowany cyklicznie Charytatywny Koncert Noworoczno-Karnawałowy, z którego całkowity dochód przeznaczony jest na potrzeby dzieci i młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną oraz z autyzmem ze Szkoły Podstawowej Specjalnej nr 26 im. Janusza Korczaka w Lublinie. Dodatkowo, na początku 2014 roku zrodził się pomysł tanecznej integracji osób z różnymi dysfunkcjami i włączenia ich do wspólnego widowiska *Akademia Pana Piotra*. Ten projekt non-profit, którego premiera miała miejsce na Placu Zamkowym w Lublinie podczas VI edycji obchodów Światowego Dnia Autyzmu, udowodnił, że taniec nie tylko uczy, bawi i wychowuje, ale przede wszystkim ma niezwykłą moc terapeutyczną.

Prawdziwość tej tezy potwierdza działalność Grupy Tańca Współczesnego Politechniki Lubelskiej. Funkcjonująca od 1977 roku, powstała z istniejącego studenckiego zespołu nowatorskich form tanecznych. Jej niezwykłość polega na umiejętności stworzenia uczestnikom zajęć przestrzeni, w której mogą podjąć świadomą pracę nad własnym ciałem, odkrywając możliwości tkwiące w sferze ruchowej oraz psychice. Swoje unikatowe choreografie prezentowała na licznych festiwalach tańca współczesnego i teatralnych, zarówno w kraju, jak i za granicą. Opiekunem artystycznym, pedagogiem i choreografem jest obecnie Anna Żak, która zrealizowała dla grupy wiele autorskich spektakli. W jej kolekcji znajdziemy m.in., *continue, opium* związane z twórczością Jeana Cocteau, czy *stadium.etap I i Homo-Go! – stadium.etap II* inspirowane dorobkiem artystycznym Magdaleny Abakanowicz oraz wiele innych etiud i projektów, jak chociażby *miejsca, chwile*, zaaranżowanych w nieoczywistych miejskich, pozateatralnych przestrzeniach, co udowadnia, że każdy z punktów na mapie, czy to będzie dworzec kolejowy, czy wąska uliczka, może stać się sceną albo terenem prób i eksperymentów. Tym, co wyróżnia choreografię, jest oparcie na naturalnym ruchu, który pozwala na swobodne wyrażenie ekspresji granej postaci i umożliwia indywidualną kreację, zgodnie z umiejętnościami tancerza. Musi się on odznaczać samodyscypliną, kondycją fizyczną oraz nieustającą potrzebą eksplorowania świata w poszukiwaniu nowych idei. Twórcze podejście do tańca zaowocowało przedstawieniami tancerek, które zespołowo wykreowały spektakl *Swing City*. Choreografie dla grupy powstawały także we współpracy z Compagnie Sosana Marcelino z Francji. Mowa tu o *Hydrogen Bond* oraz *Notre-Dame de Paris/Extra, Chorus Polska*. Ten ostatni spektakl powstał w ramach projektu „Art.Transition” i był prezentowany z okazji obchodów dwudziestopięcioletnia part-

nerstwa miast Lublin – Nancy. Grupa Tańca Współczesnego Politechniki Lubelskiej jest także inicjatorem i współorganizatorem Międzynarodowych Spotkań Teatrów Tańca. W ich trakcie prezentowane są spektakle z całego świata, prowadzone są warsztaty taneczne i seminaria z udziałem wykładowców polskich i zagranicznych.

Dyrygentką i kierowniczką artystyczną działającego od 48 lat Akademickiego Chóru Politechniki Lubelskiej jest od 1987 roku prof. dr hab. Elżbieta Krzemińska. W repertuarze zespołu znajdziemy utwory sakralne, jazzowe, pieśni ludowe różnych kultur oraz dzieła oratoryjne. Chór nagrał cztery płyty kompaktowe, ma na swoim koncie wiele nagród przywiezionych z renomowanych festiwali w kraju i za granicą, jak chociażby z hiszpańskiego Cant Coral, szwedzkiego Oskarshamn, niemieckiego Eurotreff czy nie tak dawno z XXX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Adwentowej i Bożonarodzeniowej w Pradze. Może także poszczycić się Złotym Dyplomem i Nagrodą Specjalną dla Dyrygenta otrzymanymi w Grado we Włoszech czy Złotym Pasmem i Nagrodą Specjalną dla Dyrygenta zdobytymi w Bratysławie. Współpraca z orkiestrami Filharmonii Lubelskiej, Bałtyckiej, Świętokrzyskiej, Dolnośląskiej i Toruńską Orkiestrą Kameralną zaowocowała wykonaniami takich dzieł, jak: *Stabat Mater* G. Rossiniego, *IX Symfonia* L. van Beethovena, *Gloria* A. Vivaldiego, *Te Deum* M.A. Charpentiera, *Stabat Mater* i *Msza Nelsonska* J. Haydna, *Wachet auf i Weinachtsoratorium* J.S. Bacha, *Carmina Burana* C. Orffa, *II i VIII Symfonia* G. Mahlera, *Msza Koronacyjna* i *Requiem* W.A. Mozarta, *Messa di Gloria* G. Pucciniego, *Requiem* G. Faurégo, *Exodus, Angelus* i *Missa pro pace* W. Kilara, *Mesjasz* i *Dixit Dominus* J.F. Haendla, opera *Nabucco* G. Verdiego. Ostatnio chór uczestniczył w wykonaniu utworu Piotra Bańki skomponowanego specjalnie z okazji 70. urodzin Politechniki Lubelskiej na potrzeby widowiska medialnego ukazującego sztuczną inteligencję *Hello, World*. Tytuł przedstawienia mistrzowsko łączącego brzmienia komputerowe z partiami wokalnoinstrumentalnymi nawiązuje do nazwy najbardziej prymitywnego programu komputerowego na świecie, którego jedynym zadaniem było wyświetlanie tego napisu. W warstwie tekstowej mamy tu do czynienia z kodem źródłowym odzwierciedlającym maszynowe uczenie się sztucznej inteligencji stworzonym przez programistów Politechniki Lubelskiej. Spektakl został zaprezentowany podczas gali z okazji 70-lecia Politechniki Lubelskiej.

Aneta Zawadzka



Zespół Pieśni i Tańca PL



Formacja Tańca Towarzystwa PL GAMZA

Bilans wyszedł na plus

Uniwersytet Warszawski zajmuje czołowe miejsce w krajowej lidze uniwersytetów badawczych. W stołecznej uczelni systematycznie rośnie nie tylko odsetek prac publikowanych w prestiżowych czasopismach, ale także liczba cytowań. Na koncie badaczy z UW znalazło się do tej pory jedenaście indywidualnych grantów Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC). Jak się osiąga takie sukcesy, opowiada pismu „Uniwersytet Warszawski” (nr 1/2023) prof. dr hab. Alojzy Z. Nowak, rektor UW.

Rozmówca zwraca uwagę na szereg istotnych kwestii. Podkreśla dobrą sytuację finansową uczelni i mówi o ambitnych planach na przyszłość. W ciągu najbliższych dziesięciu lat przewidywane jest wzmocnienie potencjału w obszarze wszechstronnego nauczania, doskonałości badawczej, a także sprawnego i odpowiedzialnego zarządzania jednostką, tak, by UW stał się przyjaznym miejscem pracy. Dowiadujemy się, że poczawszy od przyszłego roku akademickiego, po ponad siedmiu dekadach przerwy, Uniwersytet Warszawski będzie ponownie kształcił przyszłych lekarzy, podjęto bowiem decyzję o uruchomieniu Wydziału Medycznego.

Prof. Nowak podkreśla także potrzebę położenia dużego nacisku na współpracę uczelni z biznesem. W efekcie obustronnych relacji rynek pracy ma wzbogacić się o dobrze wyedukowane kadry przygotowane do podejmowania najbardziej wymagających wyzwań i wprowadzania koniecznych, z punktu widzenia nowoczesnej gospodarki, zmian.

Co nowego?

Począwszy od roku akademickiego 2023/2024 Politechnika Częstochowska wzbogaci się o kolejne kierunki. Technologie wytwarzania implantów i narzędzi medycznych powstaną na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Informatyki, a projektowanie i logistyka materiałów będą dostępne na Wydziale Inżynierii Produkcji i Technologii Materiałów. Oba mają dawać gwarancję zdobycia wykształcenia stanowiącego odpowiedź na potrzeby rozwijającego się rynku technologicznego. Absolwenci będą przygotowani do podjęcia pracy w różnych gałęziach przemysłu, a także w jednostkach produkcyjnych oraz naukowo-badawczych. Wszystko dzięki nabytej w trakcie studiów wiedzy z różnorodnych obszarów.

Poszerzeniu niezbędnych kompetencji posłuży także otwarte niedawno nowoczesne laboratorium sterowania i diagnostyki samochodu. W czasach, kiedy na rynek weszły samochody hybrydowe, które wymagają obsługi

przez dobrze wykształconą kadrę inżynierską, takie posunięcie wydaje się być świetnym i niezwykle praktycznym rozwiązaniem. Laboratorium wyposażone zostało w osiem nowoczesnych specjalistycznych stanowisk, dzięki którym studenci zaznajomią się z zagadnieniami związanymi z obszarem sensoryki i aktyrki układów samochodu oraz z działaniem napędu hybrydowego.

To nie wszystko, co ma do zaoferowania uczelnia spod Jasnej Góry. Działający tutaj Zintegrowany Program Rozwoju Politechniki Częstochowskiej pozwala ponadto realizować różnego typu przedsięwzięcia, które umożliwiają wprowadzanie potrzebnych usprawnień. Dzięki wspomnianemu programowi udało się na przykład zmodyfikować kształcenie na kierunku inżynieria materiałowa, informuje pismo „Politechnika Częstochowska” (nr 80/2023).

Siła z natury

Dobroczynne właściwości lecznicze roślin są znane od wieków. Nie może więc dziwić, że preparaty naturalne zawsze cieszyły się dużą popularnością wśród osób cierpiących na różne schorzenia. Nawet dziś, w czasach zaawansowanych technologii wykorzystywanych do produkcji leków syntetycznych, ich znaczenie nie tylko nie maleje, ale wręcz rośnie. To wzmagające się zainteresowanie wymaga zwrócenia uwagi na specyfikę ich działania, określone właściwości, a przede wszystkim na fakt wchodzenia w interakcję z innymi medykamentami. Na niebezpieczeństwo wystąpienia niepożądanych skutków ubocznych szczególnie narażone są osoby w podeszłym wieku, które z uwagi na wielość schorzeń zażywają jednocześnie wiele leków, te roślinne stosując często bez konsultacji z lekarzem. Dlatego właśnie tak ważna jest edukacja w tymże zakresie. Tej roli podjęło się pismo Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu „Wiadomości Akademickie” (nr 88/2023), cały tekst poświęcając współczesnej fitoterapii, która „opisuje zależności między znanymi substancjami pochodzenia roślinnego oraz określa ich zastosowanie w profilaktyce i leczeniu wybranych jednostek chorobowych”.



Z fragmentów poświęconych opisowi charakterystyki zawodu ziołarza i fitoterapeuty dowiadujemy się, że ten drugi jest osobą posiadającą szeroką wiedzę nie tylko o mechanizmach działania na organizmy żywe leków roślinnych, ale także orientującym się w metabolizmie zawartych w nich substancji czynnych i potrafiącym wskazać odpowiednie dawkowanie preparatów, które zostały z nich przyrządzone. Fitoterapię i ziołolecznictwo można studiować. Absolwenci obu kierunków są kształceni w zakresie identyfikowania znaczenia poszczególnych ziół, rozpoznawania ich środowiska naturalnego, a także metod pozyskiwania i przetwarzania oraz ich zastosowania jako środków wspomagających procesy naprawcze organizmu albo stricto sensu leczniczych.

Aneta Zawadzka



Rozmowa z prof. Zbigniewem Paterem, rektorem Politechniki Lubelskiej

Taki mamy charakter

Zaczęliśmy patentować nowe rozwiązania pod kątem ewaluacji. W końcu powstała polityka uczelni wspierająca patentowanie. Zaczęliśmy od szkoleń, a od kilku dobrych lat mamy już system. Na wydziałach działają komisje ds. komercjalizacji. Od lat mamy rzecznika patentowego. Tylko w ubiegłym roku mieliśmy 175 zgłoszeń patentowych.

Jak pan ocenia wyniki ewaluacji Politechniki Lubelskiej?

W dwóch dyscyplinach, w których mamy kategorie A+, znaleźliśmy się na pierwszych miejscach w kraju, czyli przed wieloma uczelniami uznawanymi za bardziej prestiżowe, także przed instytutami PAN. Byliśmy jednostką referencyjną. Zawdzięczamy to ciężkiej pracy, której efektem są m.in. wysokie wyniki publikacyjne i patentowe.

Jedną z tych dyscyplin jest pańska inżynieria mechaniczna.

Mam tę satysfakcję, że gdy zacząłem być dziekanem Wydziału Mechanicznego, mieliśmy kategorię B, a doszliśmy do A+. Mamy A+ w dyscyplinach typowo inżynierskich, w obu przypadkach są to liczne dyscypliny. Na dodatek w pierwszym kryterium, czyli ściśle naukowym, w inżynierii lądowej mamy pierwsze, a w inżynierii mechanicznej drugie miejsce w kraju. Nie przypadkiem dwa razy z rzędu zgarnęliśmy Elsevier Research Award dla uczelni najlepiej publikujących w naukach inżynierskich. W dwóch innych dyscyplinach (automatyce, elektronice i elektrotechnice oraz informatyce technicznej i telekomunikacji) otrzymaliśmy kategorię A. Dodatkowo z odwołania dostaliśmy A dla inżynierii środowiska oraz zarządzania. W tych dyscyplinach nie uwzględniono nam początkowo pewnych osiągnięć w trzecim kryterium. Wynik ewaluacji dopełnia kategoria B+ uzyskana w dyscyplinie architektura i urbanistyka.

Trzecie kryterium okazało się kłopotliwe.

Bo jest ocenne, a to zawsze będzie budziło zastrzeżenia i kontrowersje. W pierwszym i drugim kryterium mamy punkty i kwoty, a tu opinię ekspercką, czyli jednak w jakimś sensie subiektywną.

Dlaczego ministerstwo nie chciało pokazać punktacji drugiego kryterium?

Nie wiem. Moim zdaniem punkty niewiele mówią o ich pochodzeniu. Najlepszym przykładem jest współpraca z gospodarką, na którą nałożono ograniczenia kwotowe, a zatem uzyskane punkty nie muszą informować o jej skali. Transparentność jest wskazana, zwłaszcza w kontekście ewaluacji, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że ktoś coś kombinował. Ja bym zwrócił uwagę na zachowanie uczelni, które nastawiły systemy wewnętrzne na osiągnięcie sukcesu ewaluacyjnego. To swoista patologia. Mamy przecież gwiazdy, które wypełniają

limity w ciągu roku, a my się zupełnie nimi nie interesujemy, bo ciągniemy w górę słabeuszy, żeby oni też coś wnieśli do ewaluacji. To trochę tak, jakbyśmy w sporcie zadecydowali, że jeden zawodnik może zdobyć w okresie czterech lat tylko cztery medale. Tymczasem praktyka sportowa jest inna. Nasze perły w koronie nie pokazują swojego potencjału, a powinny mieć taką możliwość.

To wynika ze wzrostu znaczenia ewaluacji w kilku obszarach, w tym wpływie na uprawnienia akademickie, a zatem poszukiwano średniego poziomu uczelni.

Ale oprócz tego kategoryzacja wchodzi do algorytmu naliczania subwencji i odpowiada docelowo za 25% środków, które dostajemy w ramach składnika badawczego. Dla porównania składnik studencki wynosi 30%, doktorancki 5%, kadrowy 25%, badawczo-rozwojowy 10%, umiędzynarodowienia 5%. Naszą subwencję ciągną do góry wyniki badań naukowych i umiędzynarodowienie, a w dół głównie składnik studencki i doktorancki.

Czy zmiana współczynników kosztochłonności wpłynie na finanse politechniki?

Spadły nam te najwyższe z 4,0 do 3,25. To prawie 20-procentowy spadek współczynnika badawczego naliczania subwencji, który nam dawał spory przychód. Z naszych analiz wychodziło, że gdyby nie było tzw. korytarza (101-105% – red.) to powinniśmy dostać 117% ubiegłorocznej subwencji. Zatem, mimo zmiany współczynników kosztochłonności, nie powinniśmy stracić na całej subwencji, ona powinna się utrzymać w najwyższym możliwym wskaźniku wzrostu, czyli 105%.

Co by pan zmienił w ewaluacji w przyszłości?

O uwzględnieniu dorobku najlepszych już wspomniałem. Zmieniłbym przyznawanie punktów za publikacje – należy się tyle, ile wynika z proporcji autorów z danej jednostki do liczby wszystkich autorów. Nie może być tak, że czterech autorzy z różnych jednostek dostają taką samą liczbę punktów za ten sam wspólny artykuł. Istnieje praktyka dopisywania autorów, którzy w ten sposób też dostają punkty. Gdyby każdy ze współautorów dostawał odpowiednią część punktów za artykuł, wycięlibyśmy sporo takich kombinacji. Wówczas celem pracy naukowej byłoby badanie, a nie ewaluacja i liczenie, co się opłaci w tej perspektywie.

Moim zdaniem, w ewaluacji nie powinno być istotne, ilu jest dydaktyków, wszyscy nauczyciele akademicy mają obowiązek prowadzić badania i publikować. Gdybyśmy sloty przyznawali nie tylko pracownikom badawczym, ale wszystkim nauczycielom, to może udałoby się w nich zmieścić więcej dorobku tych najlepszych, którzy teraz jest odcinany w ewaluacji. Trzeba zatem wziąć pod uwagę także dydaktyków.

Brakuje mi w ewaluacji jakiegokolwiek miernika efektywności wydatkowania środków pieniężnych, czyli kryterium jakościowego. Na KRASP mówiono nawet, żeby w ogóle zrezygnować z pierwszego kryterium, bo przecież mamy obowiązek publikowania artykułów, i oprzeć się tylko na kryterium drugim, czyli kto ile pieniędzy przyciągnie. To działa na rzecz dużych uczelni, które w pierwszym kryterium nie poradziły sobie najlepiej. Przecież uczelnia, która nie przyciągnęła wielkich środków, czyli nie jest mocna w drugim kryterium, ale za to znakomicie wypadła publikacyjnie, po prostu efektywnie gospodaruje swoimi niewielkimi zasobami. Należałoby to docenić.

Wykazujemy koszty B+R za dany rok, czyli ile dana uczelnia przeznaczyła na taką działalność. Na tej podstawie obliczany jest składnik B+R subwencji. Wystarczyłoby podzielić te środki przez sumaryczny IF publikacji danej uczelni i okazałoby się, ile kosztuje wypracowanie jednego punktu. Ponad 10 lat temu w bazie Thompsona (WOS) mieliśmy 17 tys. publikacji afiliowanych w polskich instytucjach naukowych. Jeśli wzięło się pod uwagę, że przeznaczaliśmy na naukę 5 mld zł, to okazuje się, że nasze publikacje były cztery–pięć razy tańsze niż w krajach zachodnich. Poprzez wspomniany zabieg moglibyśmy wyglądać, jak ta proporcja wygląda w odniesieniu do naszych uczelni.

W ewaluacji dobre jest to, że porównuje się architektów z architektami, a mechaników z mechanikami. Pozostałbym zatem w przyszłości przy dyscyplinach, tak jak jest obecnie. Dużą rolę w ocenie odgrywała liczba N. Im większa, tym z reguły gorsze wyniki. Manipulacja liczbą N miała znaczenie. Nie jest uczciwe, że zmniejszano N, aby dostać lepszą kategorię, czyli dzielić osiągnięcia przez mniejszą liczbę pracowników, a teraz podnosi się N, aby poprawić współczynnik badawczy w algorytmie naliczania subwencji. Oczywiście system na to pozwala. Chyba jednak należałoby ograniczyć tę możliwość.

W Politechnice Lubelskiej w gronie nauczycieli akademickich mamy 70% pracowników dydaktyczno-badawczych, przy czym nie robiliśmy żadnych zmian specjalnie na ewaluację, ale organizacja pracy następowała wcześniej, sukcesywnie przez kilka lat. Ci, którzy czuli się dobrze w badaniach, są w tej grupie, a ci, którzy zajmowali się głównie dydaktyką, znajdują się w grupie pracowników dydaktycznych liczącej około 160 osób. Są w niej lektorzy, bibliotekarze, instruktorzy wf oraz wykładowcy.

Jaki jest największy problem PL?

Jest kilka problemów, ale żaden nie podcina uczelni skrzydeł. Rolą rektora jest zrównoważyć działalność wydziałów w dwóch aspektach: dydaktyki i nauki, tak by ich wpływ na rozwój uczelni był maksymalnie podobny. Jest to o tyle ważne, że akurat te wydziały, które uzyskały najlepsze kategorie, zaczynają tracić studentów. Kierunki takie jak mechanika i budowa maszyn czy nawet budownictwo przestają cieszyć się popularnością. Oczywiście nigdy nie uzyskamy równowagi idealnej, ale musimy starać się, aby nie było wydziałów mikrusów i kolosów. Muszę spowodować wzrost zainteresowania kadrą, która jest najlepsza w Polsce. Kolejnym jest problem z finansowaniem naszych planów rozwojowych. Uwieram mnie, kiedy widzę, że duże pieniądze dostają uczelnie, które nie rozwijają się tak szybko, jak my.

Macie kadrę niezbędną do tego rozwoju?

Systematycznie nad tym pracujemy. Jest to pewien proces, który ma wiele składników. Przekształcimy Wydział Podstaw Techniki w MIT, czyli Wydział Matematyki i Informatyki Technicznej. Jest już tylu chętnych nauczycieli do pracy w nowej jednostce, że zapewne powstaną dwie katedry informatyki. Ten wydział będzie pełnił rolę „obrotowego”. Będzie odpowiadał za rdzeń przedmiotów informatycznych na wszystkich wydziałach, które z kolei zapewnią wkład merytoryczny do tego „dodatku” w nazwie, jak np. „inżynieria środowiska”. Postawimy na kierunki informatyczne. Na AGH jest ich osiem, np. informatyka geoprzestrzenna, informatyka społeczna, a my mamy jeden. Chcemy utworzyć informatykę techniczną. Przedmioty informatyczne będą wykładali nasi informatycy, a inne przedmioty techniczne pracownicy z różnych wydziałów. Planujemy zbudować hub dotyczący cyberbezpieczeństwa. Mamy kadrę oraz laboratoria, jednak są one rozczłonkowane po różnych miejscach w uczelni. Zatem rozwój w tym wypadku polegać będzie na poprawie i rozbudowie infrastruktury oraz zgromadzeniu potencjału w jednym miejscu i pod jednym szyldem. Nie wywieram presji na ludzi, aby zmieniali dyscypliny. Do nowych jednostek przejdzie ten, kto zobaczy w tym rozwiązaniu korzyść.

Są na politechnice dyscypliny, które nie były ewaluowane?

Tak. Mamy matematykę, w której jest dość kadry, ale część pracowników wybrała inne dyscypliny, choćby wspomnianą przed chwilą informatykę. To świadomy wybór pracowników, gdyż zgodziliśmy się, że nie możemy dostać w matematyce kategorii B, która blokowałaby nam wiele spraw, choćby udział w konkursie IDUB. W tym momencie nie możemy uczestniczyć w konkursie Regionalna Inicjatywa Doskonałości, bo spełniamy wymogi konkursowe na uczelnię badawczą. Jesteśmy zatem zawieszani. Nowy konkurs RID ma być ogłoszony w przyszłym roku. Nie możemy w nim startować, ale też nie dostaniemy 2% do subwencji za spełnienie wymogów uczelni badawczej, gdyż nie ma nowego konkursu.

Jak udaje się realizować obecny program RID? Niektórzy mają problem z wydatkowaniem środków.

Może dlatego program przedłużono o rok? Nas to nie dotyczy. Dostaliśmy 12 milionów złotych. Wydajemy je bardzo dobrze i efektywnie. Zostało nam około 100-200 tysięcy złotych z 12 milionów, zatem niewiele. Oczywiście gdybyśmy wiedzieli, że kończy się program, wydalibyśmy te środki, ale nie musieliśmy robić tego na siłę. Gdy zobaczyliśmy, jak dobrze to działa, uruchomiliśmy kilka własnych projektów, finansowo uzupełniających czy wspomagających RID. Zorganizowaliśmy je w formie konkursowej. Jednym z nich jest konkurs na wysoko punktowaną publikację. Skutkowało on minigrantami na poziomie 7-8 tysięcy złotych, z których mieliśmy ok. 300 publikacji za 100–200 punktów. Były też zadania dotyczące monografii, zgłoszeń patentowych, staży naukowych, przyjmowania gości zagranicznych na wykłady, udziału w wysoko punktowanych konferencjach naukowych, ale także można było dofinansować badania czy usługę naukową.

Wspomniał pan o spełnieniu warunków udziału w konkursie IDUB.

Na pewno powalczymy w konkursie IDUB, bo taki mamy charakter. Jesteśmy aktywni i nie boimy się wyzwań. Poprzednio nie mogliśmy startować w konkursie z powodu wąskiej specjalizacji, ograniczonej do jednej dziedziny nauk technicznych, bo same wyniki ewaluacji w 2017 roku mieliśmy bardzo dobre. Teraz warunki zostały zmienione i możemy uczestniczyć w kon-

kursie – jest wymóg sześciu dyscyplin, a my ewaluowaliśmy siedem. Spełniamy też pozostałe kryteria, czyli nie mamy ani jednej kategorii B – nie mieliśmy nawet po pierwszym etapie – oraz mamy większość dyscyplin, sześć na siedem, z kategoriami A i A+. Czekamy na ruch ministerstwa w sprawie konkursu IDUB. Stoimy przed pewnym wyzwaniem.

Jaka jest rola uczelni wobec państwa i polskiego społeczeństwa?

Ogromna. Przecież kształcimy osoby, które w niedalekiej przyszłości będą odpowiadać za rozwój naszego kraju. Zadań stawianych uczelniom jest całkiem sporo. Kształcimy kadry dla gospodarki i administracji, rozwijamy sport i kulturę. Nasze rozwiązania techniczne są implementowane w gospodarce. Nie każde jest sprzedawane w sposób ściśle komercyjny. Często przekazujemy prawa patentowe za symboliczne kwoty, zastrzegając, że gdy pojawią się z nich korzyści, też chcemy w nich partycypować. Wypracowaliśmy ściśle określone reguły, które zabezpieczają nasze interesy. Trzeba pamiętać, że w przeszłości pojawiały się wynalazki, które wydawały się irracjonalne w momencie powstania, a znalazły zastosowanie dziesiątki lat później, po wygaśnięciu restrykcji patentowych, jak np. napęd hybrydowy samochodów, który zaproponował już Ferdynand Porsche. Możemy zatem czasami wykorzystywać stare rozwiązania, gdy pojawią się nowe możliwości techniczne.

Uczelnia znajduje się w ścisłej czołówce krajowej pod względem liczby patentów. Jaki jest wasz przepis na sukces w tym obszarze?

Nasz pomysł polega na systematycznej pracy. Trzeba najpierw uświadomić ludziom potrzebę patentowania. Ja sam jeszcze 20 lat temu nie patentowałem nowych rozwiązań, bo chciałem natychmiast publikować wyniki, a na patent trzeba było sporo czekać, dzisiaj zresztą też. Aż przyszedł taki moment, gdy zaczęło to być ważne przy ewaluacji uczelni. Zatem, nie ukrywam tego, zaczęliśmy patentować nowe rozwiązania również pod kątem ewaluacji. Zaczęłem upowszechniać ten pomysł na Wydziale Mechanicznym, który był pod tym względem liderem, i jest nim zresztą do dziś. Za jego przykładem poszli także pracownicy pozostałych wydziałów, którzy patentują coraz więcej. Przede mną były inne grupy patentujące, np. naukowcy z katedry prof. Roberta Sikory, który jako jeden z pierwszych w naszej uczelni patentował i prezentował wynalazki na wystawach. Potem dołączyły kolejne zespoły, ludzie zaczęli patrzeć jeden na drugiego, motywować się i konkurować. W końcu powstała polityka uczelni wspierająca patentowanie. Zaczęliśmy od szkoleń, a od kilku dobrych lat mamy już system. Na wydziałach działają komisje ds. komercjalizacji. Od lat mamy rzeczownika patentowego, dzisiaj są to dwie osoby, bo obciążenie pracą bardzo wzrosło. Ich rola jest nie do przecenienia. Tylko w ubiegłym roku mieliśmy 175 zgłoszeń patentowych. Kolejnym wyzwaniem było finansowanie takiej działalności. Ze względu na koszty praktycznie nie podchodzimy do patentowania międzynarodowego, chyba że mamy środki zabezpieczone w grantach.

Kiedyś musiałem sam znaleźć źródło finansowania zgłoszenia patentowego, a potem pełnej ochrony patentowej wynalazku. Dzisiaj mamy Fundusz Komercjalizacji, który powstaje z narzutów na usługi dla otoczenia społeczno-gospodarczego. Z niego opłacamy zgłoszenia i patenty. Natomiast późniejsze utrzymanie patentu w mocy to osobna sprawa. Komisja ds. komercjalizacji analizuje potencjał komercjalizacyjny naszych patentów i albo decyduje o jego podtrzymaniu, albo wycofujemy się z finansowania i zostają nam punkty do ewaluacji, co też przekłada się na pozycję i środki finansowe uczelni. Ponieważ tych środków jest coraz więcej, chcemy przeznaczyć je np. na



Prof. dr hab. inż. **Zbigniew Pater** (ur. w 1965 r.) jest specjalistą w zakresie technologii obróbki metali, szczególnie walcowania i komputerowego modelowania procesów technologicznych obróbki plastycznej. Jego dorobek naukowy obejmuje 513 publikacji i 153 patenty, co przekłada się na liczbę cytowań 1839 oraz h-index 21. Prof. Pater wypromował 9 doktorów i prawie 180 inżynierów i magistrów inżynierów. Wykłada na Politechnice Lubelskiej i w Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Chełmie. Pracował też w przemyśle jako główny konstruktor w SIPMA S.A. w Lublinie. Na macierzystej uczelni kierował Katedrą Komputerowego Modelowania i Technologii Obróbki Plastycznej, w kadencji 2008-2012 sprawował funkcję prorektora ds. nauki, a w okresie 2012-2020 dziekana Wydziału Mechanicznego Politechniki Lubelskiej. Od 2020 jest rektorem uczelni.

wykonywanie demonstratorów, żeby nie wychodzić do biznesu z samym pomysłem, ale z gotowym urządzeniem, z pokazem konkretnych możliwości. Przed pandemią mieliśmy wpływ z komercjalizacji na poziomie 8 mln zł, a subwencję 120 mln. Jest to zatem istotny element naszego budżetu. Jednak w trakcie pandemii te dochody spadły do 4 mln; teraz znów rosną. Myślę, że to zależy od dostępności funduszy unijnych. Firmy, które zabiegają o nowe rozwiązania, równoległe poszukują źródeł ich finansowania. Jeżeli pojawią się nowe pieniądze na innowacje, my też to odczujemy.

Nie macie problemu z naborem studentów?

Mamy kierunki, na które moglibyśmy przyjąć trzy razy tylu studentów, ilu obecnie studiuje, a ograniczają nas jedynie możliwości lokalowe i kadrowe, ale są też takie, na których nie wypełniamy limitów. Otworzyliśmy kierunek inżynieria recyklingu, gdyż takie zapotrzebowanie przyszło z biznesu, ale kandydaci nie zgłosili się w odpowiedniej liczbie. W tym roku uruchamiamy energetykę i sztuczną inteligencję w biznesie. Mam nadzieję, że zadziałają jak magnes.

Jak radzą sobie absolwenci Politechniki Lubelskiej na rynku pracy?

Monitorujemy losy absolwentów. Wiemy, ilu pracuje po studiach zgodnie z wykształceniem, jak długo szukali pracy czy ile zarabiają. Nasi absolwenci dość szybko znajdują zatrudnienie. Według zeszłorocznych badań w pierwszym miesiącu poszukiwań pracę znalazło 28% z nich, a do pół roku po studiach kolejne 20%. W zawodzie pracuje ok. 78% absolwentów, w tym na stanowisku kierowniczym 11%. Ponad połowa zatrudniona jest w dużych firmach.

Wasi absolwenci muszą szukać pracy poza Lublinem. Lubelski przemysł nie ma oferty dla tych absolwentów.

Co roku blisko dwa tysiące naszych absolwentów wchodzi na rynek pracy. Duża część z nich wyjeżdża, aby szukać zatrudnienia w innych, większych ośrodkach. Z tego powodu chcemy zwrócić szczególną uwagę w kierunku informatyki, bo nasz region potrzebuje takich specjalistów. Z drugiej strony nasi informatycy rzadko trafiają do szkół jako nauczyciele. A przecież jest i takie zapotrzebowanie, wciąż zgłaszane przez dyrektorów. Bardzo dobre perspektywy mają analitycy, którzy kończą u nas inżynierię i analizę danych.

Macie piękny kampus. To już wystarczy?

Nasz kampus nad doliną Bystrzycy ma 15 hektarów. Mamy trochę wolnych własnych środków, więc kupujemy tereny przylegające do kampusu. Nasi następcy z pewnością znajdą sposób ich wykorzystania. Nabyliśmy ostatnio od prywatnych właścicieli 80 arów ziemi tuż za naszymi akademikami. To jest obszar przewidziany, więc nie można tam stawiać wysokich budynków, ale doskonale nadaje się na parkingi czy magazyny energii. Są tam jeszcze kolejne niewielkie działki. Prowadzimy negocjacje z ich właścicielami. W planach miasta jest to teren przeznaczony pod usługi edukacyjne, więc moglibyśmy go po prostu sędziwie wywłaszczyć, ale wolimy odkupić tę ziemię w drodze negocjacji z właścicielami. Są też działki, których właściciele trudno ustalić i tam zapewne skończy się na procedurze wywłaszczeniowej. Na samym kampusie zaplanowaliśmy kolejne inwestycje. Powoli remontujemy nasze stare budynki. Planujemy budowę IT Tower, czyli siedziby centrum sztucznej inteligencji i cyberbezpieczeństwa. To będzie osiem pięter do góry i dwa w dół. Wydział Elektrotechniki i Informatyki ma już swoje lata i wymaga kompleksowej modernizacji, Wydział Budownictwa i Architektury nie partycypował w „Rudym” (budynek laboratoryjny) i potrzebuje nowych przestrzeni laboratoryjnych. Projekty są przygotowane. „Oxford”, gdzie mieszczą się dwa wydziały – Podstaw Techniki i Zarządzania – zostanie rozbudowany o 4 tys. m², łącznie z parkingiem podziemnym. W miejscu, w którym dziś stoi kaplica, chcemy zbudować budynek Centrum Wiedzy i Kultury PL. Mieściłaby się tam nowoczesna biblioteka, archiwum, muzeum, sala Senatu, sala kongresowa. Na te wszystkie inwestycje potrzebujemy ponad 200 milionów złotych. Poszukujemy źródeł finansowania tych przedsięwzięć.

Czy i jakie są jeszcze braki w infrastrukturze laboratoryjno-badawczej?

Z poziomu rektora nie da się tego określić. Gdybym ogłosił konkurs pod tytułem „czego potrzebujecie”, zostałbym zarzucony wnioskami. Jednak faktycznie nieźle sobie radzimy. Kończymy realizować duży program z Polskiej Mapy Infrastruktury Badawczej, doposażając punktowo różne laboratoria w światowej klasy stanowiska, np. jedyny po prawej stronie Wisły symulator procesów fizycznych wykorzystywany

w metalurgii. Nasz jest w najnowszej wersji z najnowocześniejszymi „przystawkami”. Dwa mikroskopy elektronowe, które umożliwią obserwację struktury materii. Oprócz tego realizujemy mniejsze projekty na zakup aparatury. Dostaliśmy 13 milionów złotych na zakup urządzeń badawczych. Dysponujemy też własnymi środkami na doposażenie laboratoriów dydaktycznych – do 100 tys. na jedno. Generalnie mamy dydaktykę zabezpieczoną aparaturowo, ale czasami sprzęt trzeba wymienić, uruchamiamy też nowe laboratoria, gdy zmieniają się wymogi technologiczne. Kiedy odwiedzają nas koledzy z Zachodu, często opada im szczęka na widok naszej bazy aparaturowej. Mam w swoim laboratorium stanowiska do obróbki plastycznej, które zrobiono na nasze zamówienie i według naszej dokumentacji. Możemy pochwalić się walcarką sterowaną numerycznie, która kształtuje wyroby osiowosymetryczne. Możemy na niej robić pojedyncze egzemplarze unikatowych wyrobów. Na bazie tej walcarki pracujemy nad metodą kształtowania odkuwek luf do armatohaubic. Jest duże zapotrzebowanie na ten produkt, a z powodu ograniczonych mocy produkcyjnych wytwórców trzeba na niego czekać latami. Nasze rozwiązanie jest innowacyjne w skali świata i znacznie uprości proces produkcyjny. Z wiadomych względów nie mogę podać więcej szczegółów na ten temat.

Politechnika Lubelska spełnia kryteria uniwersyteckości. Co z tego wynika dla uczelni?

Spełniamy, ale nie myślimy o zmianie nazwy uczelni. Słowo „politechnika” to nasza tradycja, ono zawiera ideę naszego podejścia do badań i kształcenia. Jednak po angielsku, a jest to określone w statucie, nazwa uczelni brzmi Lublin University of Technology. I pod taką nazwą funkcjonujemy na świecie. Ważniejsze jest dla nas uzyskanie statusu uczelni badawczej, bo to i nobilitacja, i spore pieniądze na rozwój. Oczywiście wobec faktu odmrożenia algorytmu i określenia tzw. tunelu w granicach 1-5%, spodziewamy się wzrostu subwencji właśnie o ten najwyższy wskaźnik. Jednak środki z IDUB są przeznaczone na rozwój badań i bardzo nam to odpowiada.

Politechnika Lubelska, podobnie jak inne uczelnie, musiała zmierzyć się z podwyżkami cen mediów.

Rzeczywiście, zmuszeni byliśmy szukać pieniędzy na media, których ceny gwałtownie wzrosły. Co prawda podwyżka prądu nas tak mocno nie dotknęła, bowiem mieliśmy umowę do kwietnia tego roku, gdy ceny już spadły. Jednak ciepło uderzyło nas poważnie. Mieliśmy w ubiegłym roku zabezpieczone 7 milionów złotych na energię, ale dzięki programowi oszczędnościowemu udało nam się zaoszczędzić z tej kwoty 900 tys. złotych. W tym roku mamy zaplanowane 11,5 mln zł, a zatem przyjęliśmy 50-procentowe wzrosty. Inwestycja w fotowoltaikę i magazyn energii na pewno się nam szybko zwróci, sądzimy, że w ciągu trzech lat. Nie zamierzamy oddawać energii do sieci, lecz magazynować ją na własne potrzeby. Możemy też działać tak, że doładujemy nasze magazyny nocą, gdy energia jest tańsza, a wykorzystamy tę energię w dzień, gdy jej potrzebujemy, a jest droga. Pomimo rosnących kosztów funkcjonowania uczelni staraliśmy się nie zmniejszać funduszy na badania, aby nie ograniczać rozwoju uczelni.

Kto stara się o studia na Politechnice Lubelskiej?

Czerpiemy z miasta i regionu. W niewielkim stopniu trafiają do nas studenci z ościennych województw. Młodzi ludzie, nawet gdy wiedzą, że to dobra uczelnia, wyjeżdżają z miasta, bo chcą się wyrwać z domów. Z samego Lublina mamy 45% stu-

dentów, później są powiaty lubelski i puławski, ale to znacznie mniejsze odsetki. Chcemy dążyć do tego, aby młodzież miała świadomość, że to dobra uczelnia. Musimy poszerzać ofertę i dostosowywać ją do bieżących wymagań. I tak robimy. W tym roku powstała energetyka i sztuczna inteligencja w biznesie. Ze względu na charakter gospodarki regionu chcemy uruchomić w bardzo bliskiej przyszłości informatykę techniczną z kilkoma specjalnościami dedykowanymi do naszych poszczególnych wydziałów, bo absolwenci takiego kierunku są niezbędni do rozwoju regionu.

Liczba studentów rośnie czy spada?

Spada. Kilka lat temu, gdy byłem prorektorem, mieliśmy 10,5 tys. studentów. Dzisiaj mamy 7,1 tysiąca.

Czy nie obawia się pan przeinwestowania w infrastrukturę?

Nie, ponieważ rośnie rola badań i komercjalizacji. Wciąż mamy wydziały, na których przypada po 17 studentów na wykładowcę. Tam, gdzie jest wielu studentów, jest duża liczba nadgodzin, obciążenie sal wykładowych i laboratoriów. Zadaniem władz uczelni jest równoważyć te wskaźniki. W zeszłym roku za nadgodziny zapłaciliśmy 7 milionów złotych, a system motywacyjny związany z aktywnością naukową kosztował tylko 2,5 miliona złotych, a wraz z innymi dodatkami motywacyjnymi – np. za działalność organizacyjną – 4,5 mln. Jeżeli mówimy o zrównoważeniu, to chciałbym zdjąć np. 2 miliony złotych z nadgodzin i przenieść je na system motywacyjny za naukę. Tyle samo poszłoby wówczas na naukę, co na dydaktykę i to świadczyłoby o zrównoważeniu obu elementów naszej działalności.

Jak epidemia i towarzyszące jej zmiany i ograniczenia wpłynęły na PL?

Zamrożenie algorytmu na trzy lata kosztowało nas ok. 30 mln zł. Ale to nie wszystko, oznacza to też, że nasza baza do naliczania subwencji na kolejne lata jest niższa o ok. 15 mln zł, niż gdyby algorytm nie został zamrożony. Te nasze straty były wyrównane przez pewne programy finansowane przez ministra: zbudowaliśmy Politechniczną Sieć Via Carpatia, powstaje platforma związana z obronnością i cyberbezpieczeństwem. Są uczelnie, które na tym zamrożeniu skorzystały. Ich wskaźniki spadły, co skutkowało by zmniejszeniem subwencji, ale de facto zostały one nagrodzone, bo poprzez zamrożenie mają teraz wyższą bazę do naliczania subwencji. Na politechnice utrzymaliśmy pewne programy finansowane z własnych środków, bo łatwiej je kontynuować, niż budować od nowa po odmrożeniu algorytmu. Dotyczy to na przykład profesorów wizytujących, których mamy ok. 50 rocznie. Realizują oni program zajęć w wymiarze 60 godzin, w różnych trybach, część mogą robić w formie zdalnej. Organizowaliśmy też zajęcia wyjazdowe, np. na Słowację wysłaliśmy studentów, aby uczestniczyli w zajęciach laboratoryjnych na stanowiskach, których nie ma na naszej uczelni. Mamy też siedmiuset studentów z Ukrainy, którzy przed wojną wpłacali czesne, a obecnie zostali zwolnieni z opłaty, dodatkowo część z nich otrzymała zapomogi finansowe. Ostatecznie sobie z tym poradziliśmy, mamy dodatni wynik finansowy, ale sądzę, że to się odbija na naszym rozwoju. Środki, które przeznaczyliśmy na pokonanie tych problemów, moglibyśmy przecież wykorzystać na rozwój.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Kampus Politechniki Lubelskiej

Rozmowa z dr. hab. inż. Sylwestrem Taborem, prof. URK, rektorem Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie

Rolniczy atut

Za granicą nazwa Uniwersytet Rolniczy ma lepsze konotacje niż u nas. Dzięki temu, że w nazwie uczelni widnieje słowo „rolniczy”, mamy możliwość uczestnictwa w interesujących projektach naukowych. Myślę, że sami siebie nie doceniamy. Zacznijmy się cenić i szanować.

Czy nazwa Uniwersytet Rolniczy oddaje dobrze charakter uczelni? A może jest dla niej obciążeniem?

To są dwa odrębne pytania. Zacznę od odpowiedzi na pierwsze. Może się wydawać, że przymiotnik „rolniczy” jest zawężeniem zakresu prowadzonego kształcenia i badań naukowych, uczelnia obsługuje bowiem cały szeroki obszar sektora rolno-leśno-spożywczego i odpowiada na wielorakie potrzeby nie tylko wsi. Zatem nie jest to samo „rolnictwo”. Gdyby nie liczyć technologii żywności i żywienia oraz leśnictwa, tylko co siódmy student Uniwersytetu Rolniczego obecnie kształci się na kierunkach typowo rolniczych. Ostatnia ewaluacja obejmowała dwanaście dyscyplin naukowych, w tym do dziedziny nauk rolniczych należą: rolnictwo i ogrodnictwo, rybactwo i zootechnika oraz wspomniane technologia żywności i żywienia oraz leśnictwo. Weterynaria należała do dziedziny nauk rolniczych w chwili przeprowadzania ewaluacji, ale dziś jest odrębną dziedziną. Zatem tylko jedna trzecia dyscyplin, które poddałismy ocenie, należy do dziedziny nauk rolniczych. Natomiast, jeżeli weźmiemy pod uwagę liczbę nauczycieli prowadzących działalność naukową, to okazuje się, że dziedzina nauk rolniczych ma najsilniejszą reprezentację, gdyż co drugi pracownik prowadzi badania w jednej z tych dyscyplin. W rezultacie w samych naukach rolniczych relacja studentów do kadry nie jest korzystna, oczywiście z punktu widzenia algorytmu finansowania i wymaganego obciążenia dydaktycznego pracowników.

A ilu macie studentów?

Ogółem mamy siedem tysięcy studentów, w tym na wspomnianych kierunkach typowo rolniczych niespełna tysiąc. Jednak, jeżeli tę grupę studentów poszerzymy o studiujących leśnictwo i technologię żywności, to wówczas łącznie będzie ich około 2,3 tysiąca.

Jak w tej sytuacji udaje się znaleźć pensum dydaktyczne dla przedstawicieli dyscyplin rolniczych?

Nie tylko te wspomniane, klasyczne rolnicze kierunki studiów zostały przyporządkowane do dyscyplin wchodzących w skład dziedziny nauk rolniczych. Do tej grupy należy zaliczyć także: biotechnologię, ochronę środowiska, bioinżynierię zwierząt, dietetykę czy cieszącą się ostatnio bardzo dużym zainteresowaniem etologię i psychologię zwierząt. Ponadto zakres wielu „pozarolniczych” kierunków studiów co najmniej częściowo odnosi się do problematyki gospodarki żywnościowej

i obszarów wiejskich. Na kierunkach inżynieryjno-technicznych będzie to gospodarka przestrzenna, inżynieria środowiska, inżynieria i gospodarka wodna, inżynieria i zarządzanie produkcją czy nawet architektura krajobrazu oraz transport i logistyka. Ponadto na kierunkach ekonomicznych prowadzimy fakultety dotyczące ekonomiki działalności rolniczej oraz obrotu artykułami rolnymi i spożywczymi. W obu przypadkach nauczyciele reprezentujący dyscypliny rolnicze mają istotną rolę do spełnienia, gdyż przybliżają studentom posiadającym inny profil zainteresowania problematykę specyfiki produkcji rolniczej oraz uwarunkowań środowiskowych i społecznych prowadzenia takiej działalności. Przedstawiają otoczenie instytucjonalne funkcjonowania rolnictwa i gospodarki żywnościowej oraz bardzo trudne zagadnienia z zakresu towaroznawstwa artykułów żywnościowych. Problemy z pensum dla tej części kadry powodują, że stosujemy elastyczną politykę zatrudnienia. Wychodzimy z założenia, że nauczyciel ma połowę czasu poświęcić na badania i naukę, a drugą połowę na dydaktykę i zadania organizacyjne. Co oczywiste, obowiązki dydaktyczne określa pensum i inne zadania bezpośrednio związane z jego realizacją. Nauczyciel może wystąpić do rektora o zmianę tych proporcji, np. w sytuacji gdy zdobędzie grant. Wielu z takimi wnioskami się zwraca, zwłaszcza reprezentujących dyscypliny rolnicze, w których mamy wiele ciekawych projektów badawczych o charakterze wdrożeniowym.

Jak wielu jest takich, którym obniżono pensum?

Na etatach badawczych mamy zatrudnionych obecnie 26 osób, a 51 pracowników badawczo-dydaktycznych ma obniżone pensum.

W wyniku ewaluacji spełnialiście kryteria uniwersytetu klasycznego. Wykorzystacie to?

Przyznam, że do wyników ewaluacji mamy pewne zastrzeżenia, a dokładniej do sposobu zaliczania dorobku w drugim kryterium. Musieliśmy podpisać umowę na duży unijny projekt przed rozpoczęciem okresu ewaluacji, ale same zadania były realizowane przez cały okres ewaluacji. Rozporządzenie określało, że środki uzyskane w projekcie mogły zostać uwzględnione w kryterium drugim na podstawie terminu zawarcia umowy, a nie realizacji projektu, czyli okresu, gdy te pieniądze pojawiły się w uczelni. Nasze odwołanie nie przyniosło pozytywnego efektu. Mówiąc krótko, środki z tego projektu nie

wejdą do żadnej ewaluacji, tak jakby ich w naszym dorobku nie było. Gdyby w drugim kryterium zostały uwzględnione, mielibyśmy także kategorię A dla technologii żywności i żywienia. Natomiast mogliśmy uwzględnić publikacje z tego projektu w kryterium pierwszym. *Dura lex, sed lex.*

Oczywiście każdą uczelnię ocenia się głównie przez pryzmat studiów i zainteresowania nimi. I tu ponosimy konsekwencje przemian gospodarczych. Ostatni powszechny spis rolny pokazał, że w ciągu dwudziestu lat z rolnictwa odeszło półtora miliona pracowników. Jeszcze na przełomie wieków w rolnictwie zatrudnionych było 22% pracujących, a dzisiaj jest to niewiele ponad 8%. Ma to przełożenie na zainteresowanie kierunkami rolniczymi. Bronią się technologia żywności i kierunki pokrewne oraz leśnictwo. To ostatnie ma stabilnego pracodawcę, czyli Lasy Państwowe, a sektor produkcji żywności zawsze będzie potrzebował kadr. Oczywiście i tutaj zauważamy istotne problemy. Unia Europejska wprowadza programy środowiskowe, które zmierzają do ograniczenia nie tylko produkcji rolniczej, ale także leśnej. Ich konsekwencją będzie odejście kolejnych setek tysięcy osób z zawodów związanych z leśnictwem i przetwórstwem drewna. Jeszcze dziesięć lat temu na technologię żywności przyjmowaliśmy około dwustu osób, teraz jest to sto dwadzieścia. Na tym kierunku następuje zmiana profilu kształcenia w kierunku dietetyki, gdyż żywność już na etapie wytwarzania powinna mieć zapewnione określone parametry dietetyczne.

Jak się ma klasyczna agronomia?

W tej chwili rekrutujemy około trzydziestu studentów na pierwszy rok, a kończą studia około dziesięciu–dwunastu absolwentów. Większość z nich nie pracuje potem w rolnictwie, lecz w instytucjach okołorolniczych. Dzisiaj, aby zostać rolnikiem, wystarczy ukończyć dwusemestralne, podyplomowe studia prowadzone w trybie zdalnym. Uzyskuje się w ten sposób świadectwo, które upoważnia do zakupu ziemi i prowadzenia działalności rolniczej, otrzymywania dotacji na posiadaną ziemię i prowadzoną działalność. Nie tylko te, ale wszystkie studia podyplomowe wymknęły się spod jakiegokolwiek kontroli. Nie ma nad nimi nadzoru także Polska Komisja Akredytacyjna.

W Polsce jest milion trzysta siedemdziesiąt tysięcy gospodarstw rolnych. Jednak, gdybyśmy wzięli pod uwagę różne dzierżawy, okazałoby się, że faktycznie funkcjonuje ich o połowę mniej. Dlatego przyjmuje się, że jest ok. czterystu tysięcy gospodarstw towarowych. Średnie szkoły rolnicze kończy niewiele ponad dwa tysiące absolwentów. Z kilkunastu absolwentów agronomii, dzisiaj rolnictwa, najwyżej kilkoro, może dwoje–troje, podejmuje pracę w gospodarstwach. Pozostali zasilają kadry instytucji okołorolniczych, jak Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, ośrodki doradztwa rolniczego, różne instytucje nasiennictwa i ochrony roślin, które dla funkcjonowania rolnictwa są bardzo ważne. Często włączają się w działalność samorządową.

Dlaczego w tej sytuacji trzymacie się nazwy „rolniczy”?

Produkcja żywności i samowystarczalność żywnościowa są ważnym elementem funkcjonowania każdego państwa. Analizy pokazują, że żywności będzie potrzeba więcej niż obecnie, a ograniczenia w stosowaniu nawozów i środków ochrony roślin, które zamierza wprowadzić Komisja Europejska, stawiają przed nami nowe wyzwania właśnie w rolnictwie. To w szczególności potężne wyzwanie dla biotechnologii i bioinżynierii. Widzę zatem przyszłość w pracy naukowej i rozwojowej na rzecz rolnictwa. Pytanie o zmianę nazwy dostałem jako jedno z pierwszych, gdy zostałem rektorem. Ta nazwa, przynajmniej, sprawia pewne kłopoty na rynku rekrutacyjnym. Dla



Fot. Lukasz Gajowski

Dr hab. inż. **Sylwester Tabor**, prof. URK (ur. 1965 r.), specjalizuje się w ekonomice mechanizacji rolnictwa oraz w organizacji i zarządzaniu w inżynierii rolniczej. Jego dorobek naukowy i wdrożeniowy obejmuje analizę i optymalizację procesów z uwzględnieniem zastosowań rozwiązań IT – od prostych procesów wytwórczych i produkcyjnych realizowanych w sektorze gospodarki żywnościowej po złożone procesy zarządzania zespołami i organizacjami. Jest współautorem 6 monografii, w tym 2 jako redaktor naukowy, autorem 23 ekspertyz wykonanych na zlecenie przedsiębiorstw i instytucji gospodarczych oraz 6 opracowań popularnonaukowych. Był też kierownikiem projektu badawczego NCBR, wykonawcą 7 projektów badawczych (jednego jako główny wykonawca) i promotorem dwóch obronionych doktoratów. Jest absolwentem Wydziału Techniki i Energetyki Rolnictwa Akademii Rolniczej w Krakowie, był prodziekanem Wydziału Inżynierii Produkcji i Energetyki, a przez dwie kadencje pełnił funkcję prorektora ds. dydaktycznych i studenckich Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Od 2020 roku jest rektorem URK.

tego lepiej jest promować uczelnię przez efekty jej działalności badawczej i wdrożeniowej oraz osiągnięcia absolwentów niż samą nazwę. W tym kontekście przekleństwem stają się niektóre programy telewizyjne i sposób, w jaki pokazują wieś, np. *Rolnik szuka żony*. Ale to jedna strona medalu. Kraków jest nieco tradycyjny. Co nam da zmiana nazwy na Uniwersytet Technologiczny czy Uniwersytet Hugona Kołłątaja? Dlatego pozostaje nam ta druga strona medalu, czyli perspektywy rozwoju badań na rzecz nowoczesnej, zrównoważonej produkcji żywności, gospodarki leśnej czy w końcu ochrony środowiska. A to są obszary naszej aktywności naukowej i dydaktycznej. Obecna nazwa może być naszą szansą na dobre projekty naukowe i rozwojowe, a w przyszłości także na kandydatów na studia. Za granicą nazwa Uniwersytet Rolniczy ma lepsze konotacje niż u nas. Dzięki temu, że w nazwie uczelni widnieje słowo „rolniczy”, mamy możliwość uczestnictwa w interesujących projektach naukowych. Myślę, że sami siebie nie doceniamy. Zaczniemy się cenić i szanować.

Jakie są wnioski z ewaluacji dla Uniwersytetu Rolniczego?

Kryterium pierwsze nie budzi zastrzeżeń. Niektóre nasze dyscypliny były bardzo wysoko ocenione, a weterynaria była na pierwszym miejscu w tym kryterium. Natomiast drugie kryterium, do którego zastrzeżenia już przedstawiłem, pokazało, ile musimy zrobić. Środki finansowe przeznaczane na badania zleczone i projekty w naszych dyscyplinach są znacznie mniejsze niż te, które w takich dyscyplinach wykazują uczelnie techniczne współpracujące z potentatami górniczymi czy energetycznymi. Nasze badania i prace na rzecz gospodarki w zakresie choćby

retencji wody czy produkcji żywności przynoszą środki wielokrotnie niższe. Źródłem środków dla gospodarki wodnej są głównie instytucje, a dla badań nad żywnością małe przedsiębiorstwa rodzinne Małopolski. Dlatego pozostają nam programy międzynarodowe. Złożyliśmy po raz drugi wniosek o utworzenie uniwersytetu europejskiego pod naszym przewodnictwem. Poprzednim razem mieliśmy czterech partnerów, co okazało się zbyt małą liczbą, dlatego teraz mamy ich siedmiu. Liczymy na sukces. Kolejną inicjatywą to wejście do CIRIEC-u – organizacji, której celem jest podejmowanie i promowanie gromadzenia informacji, badań naukowych oraz publikowanie prac dotyczących sektorów gospodarki i działań zorientowanych na służbę dla społeczeństwa. Poza różnego rodzaju instytucjami należy do niej ponad 60 uczelni z całego świata, a URK jest jedyną uczelnią z Polski. To otwiera nam wiele możliwości, w tym tworzenia sieci instytucjonalno-naukowej w Polsce. Dzięki naszej aktywności w CIRIEC-u Uniwersytet z Seulu już jest zainteresowany podpisaniem porozumienia dotyczącego technologii żywności. Byliśmy z naszymi pomysłami także w Kolumbii, Brazylii, Mongolii i innych ciekawych regionach świata. Mamy dobry odzew i liczymy na podpisanie umów na projekty badawcze, które przyniosą nam korzyści także w ewaluacji. Będziemy mieli lepsze oceny wpływu, bo to będą przedsięwzięcia międzynarodowe. Zatem ta jedna inicjatywa może nam dać szereg korzyści: wyżej oceniane projekty, znaczne środki finansowe, międzynarodowe publikacje oraz wpływ społeczny.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, jakie środki zostały przeznaczone na publikacje, o których ostatnio jest tak głośno. Podliczyliśmy te koszty: mniej więcej co piąta złotówka z naszych wewnętrznych środków na badania, czyli z subwencji, została wydana na publikacje. Zyskaliśmy na tym, że wiele opracowań miało interdyscyplinarny charakter, a to przełożyło się na bardzo dobre wyniki w pierwszym kryterium. Chcemy wzmocnić interdyscyplinarność poprzez odpowiednią politykę finansową. Liczymy na leśników, którzy otrzymali kategorię A+ i mają szeroką współpracę międzynarodową z najważniejszymi ośrodkami zagranicznymi w tym obszarze: w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Norwegii. Teraz pozyskali grant w programie LIFE, jeden z dwóch przyznanych przez Komisję Europejską. To jest sto osiemdziesiąt milionów na trzech partnerów, czyli sześćdziesiąt milionów dla naszej uczelni. Celem projektu jest odtworzenie naturalnych właściwości torfowisk położonych na obszarach Natura 2000, ich bioróżnorodności i funkcji retencji wody, a dzięki temu przywrócenia siedlisk dla ginących gatunków zwierząt. W wyniku melioracji i odwodnienia, a następnie suszy, część torfowisk uległa już mineralizacji. Nasze badania pokazują, że są szanse na zmianę tego stanu.

Bardzo wzrosła wynalazczość i patentowanie. Między innymi mamy urządzenie do niszczenia inwazyjnych chwastów, np. barszczu Sosnowskiego i rdestowców, za pomocą mikrofal. Otrzymaliśmy za to rozwiązanie nagrodę w Konkursie Siemens i tytuł Polskiego Produktu Przyszłości. Z rdestowcem są problemy na torowiskach i innych obszarach infrastrukturalnych, co skutkuje zainteresowaniem firm o charakterze globalnym, takich jak Skanska czy Orlen. Mamy także patenty na wiele produktów żywnościowych dedykowanych sportowcom i osobom o szczególnych potrzebach w zakresie diety, na rozwiązania inżynierskie dla weterynarii i innych dziedzin naszego życia oraz na rozwiązania z zakresu nanotechnologii dla przemysłu kosmetycznego. Mamy także patent na bakterie, które rozmnażają się w niskich temperaturach i powodują degradację substancji szkodliwych. To tylko część innowacji będących efektem pracy naszych naukowców. Pozostajemy przy tradycyjnej nazwie, bo widzimy w niej szansę w przyszłości oraz rozpoznawalność, zwłaszcza w kontekście międzynarodowym.

Widzicie szanse dla badań na rzecz rolnictwa?

Tak. Zielony Ład wprowadza szereg ograniczeń w dotychczasowym sposobie produkcji żywności. Dla nas to wyzwanie, w jaki sposób zapewnić w tej sytuacji wysokie plony. Nawożenie nie może przekroczyć poziomu 150 kilogramów NPK na hektar, a my jesteśmy temu w stanie sprostać przy bardzo niewielkiej redukcji nawożenia. Przecież polskie rolnictwo jest w znacznie mniejszym stopniu uzależnione od nawozów mineralnych i agrochemikaliów niż zachodnie. Wprowadzając zasady rolnictwa precyzyjnego, mamy możliwości utrzymania poziomu produkcji rolniczej na tym samym poziomie, przy jednoczesnej poprawie jego efektywności, także tego rolnictwa prowadzonego w mniejszej skali. Do niedawna technologia wymagała komasacji gruntów, odpowiednio dużego arealu, aby wprowadzenie nowych rozwiązań było opłacalne. Możemy teraz myśleć o skutecznym i efektywnym wprowadzaniu takich rozwiązań na arenach kilkuhektarowych, a nawet mniejszych, od jednego hektara, obniżając przy tym koszty. Dzisiaj jednak problemem nie będzie produkcja, lecz dostarczenie odpowiednio przygotowanych produktów na rynki. Jest moda na dietę wege, opartą na boczniakach, soi, innych roślinach strączkowych. To wymaga przeprofilowania produkcji, wprowadzenia nowych lub dotychczas marginalnych upraw na szerszą skalę. Jesteśmy przygotowani do tego, by takie zmiany w rolnictwie wprowadzać. W tym roku oddajemy do użytkowania Centrum Innowacji oraz Badań Prozdrowotnej i Bezpiecznej Żywności, w którym będzie sześć linii produkcyjnych dostosowanych do przetwarzania surowców rolniczych w warunkach produkcji przemysłowej: owoców, warzyw, mleka, mięsa, ale także będzie tam minibrowar, winiarnia, różnego rodzaju reaktory biologiczne i inna aparatura umożliwiająca prowadzenie badań nad produkcją w obiegu zamkniętym. Uruchomiliśmy już pracownię grzybów jadalnych i leczniczych. Wchodzimy w porozumienie w Sanepidem i uruchamiamy badanie suplementów diety, czyli tych wszystkich produktów, które obecnie rozpowszechniane są na rynku niemal bez żadnej kontroli. Takich badań nie jest w stanie przeprowadzić sam lekarz, chemik, dietetyk czy nawet technolog żywności. Wymaga to współpracy wielu specjalistów, kompilacji ich wiedzy i umiejętności. Budujemy miejsce i kadre do badania tego rodzaju produktów. Przeanalizujemy, czy po przejściu przez linię produkcyjną zachowają one walory, które wykazywały w skali laboratoryjnej. Liczymy, że będzie to miejsce realizacji wielu prac dyplomowych i doktorskich o charakterze wdrożeniowym. Podstawą takich rozwiązań jest właściwy surowiec, a o tym decyduje rolnik, ogrodnik, zootechnik czy rybak. A dalej mamy obrót produktami i marketing.

A co robicie dla klasycznej, starej wsi?

W okolicach Krakowa mamy bardzo rozdrobnione rolnictwo. Jest tu dużo gospodarstw ogrodniczych. Z myślą o nich realizujemy projekty dotyczące precyzyjnego ogrodnictwa, prowadzonego także w warunkach polowych. Badane są problemy szybkiego rozpoznania potrzeb uprawianych roślin. Przecież wystarczy za pomocą telefonu zrobić zdjęcie rośliny, a aplikacja, czyli program, analizuje je według algorytmów napisanych przez naszych pracowników. Na tej podstawie wiemy, jakich składników roślinie brakuje, jakie są jej potrzeby i zagrożenia. Dlatego jesteśmy zainteresowani rozwijaniem badań i kierunku studiów bioinformatyka i analiza danych, chociażby ze względu na potrzeby przyszłego rynku pracy i naszą matematykę, która uzyskała kategorię A. Rolnicy potrzebują modeli prognostycznych, które umożliwią im podejmowanie działań zapobiegawczych już w sytuacji zagrożenia wystąpienia określonych arafagów. Działają wówczas prewencyjnie. Opracowujemy takie rozwiązania. Na potrzeby rolników zainteresowanych uprawą

soi realizujemy badania dotyczące uwarunkowań jej produkcji w naszych warunkach. Prowadzimy także prace na rzecz zootechniki, głównie dotyczące potencjału genetycznego ras rodzimych, rozrodu oraz paszoznawstwa i dietyki zwierząt.

Zapytam o unikalny zakład leśny w Krynicy.

Myślę, że istnienie Leśnego Zakładu Doświadczalnego z lasami o powierzchni prawie 6,5 tysiąca hektarów przyczyniło się do sukcesów naszych leśników. Prowadzimy tam normalną produkcję leśną, czyli pozyskanie drzewek i drewna, ale także szkółki leśne, w których selekcjonujemy materiał siewny oraz produkujemy sadzonki. Na terenie zakładu mamy zlokalizowane kilkadziesiąt stanowisk badawczych. Są tam poletka porównawcze do badań prowadzonych w innych regionach kraju, np. w Beskidzie Śląskim, na Podlasiu czy w parkach narodowych, a nawet w innych regionach świata. Dlatego studenci mogą praktycznie rozwijać umiejętności, a nauczyciele prowadzić badania w warunkach funkcjonowania kompleksu leśnego. Ostatnio, co było tematem wykładu inauguracyjnego prof. Jarosława Sochy, na podstawie prowadzonych w Kanadzie badań starych lasów zostały opublikowane wyniki świadczące o tym, że to nie sam dwutlenek węgla jest problemem w przyrodzie, ale głównie dodatkowy azot, który powoduje wybujałość roślin i zbyt szybki przyrost masy. Współczesne sosny są przez to o około 30% wyższe w porównaniu do tych sprzed pięćdziesięciu lat. Jednak są znacznie cieńsze, a przez to podatne na wiatry. W rezultacie możemy je pozyskiwać jako materiał na papier czy drewno opałowe, a nie na budulec czy materiał meblarski. Te same badania pokazały, że stare lasy w Kanadzie produkują więcej CO₂ niż cały przemysł kanadyjski. Z drzewami jest tak, jak z każdym żywym organizmem – funkcjonuje, rozwija się, ale w pewnym momencie zamierają jego funkcje życiowe i zamiast asymilować CO₂, wydziela ten gaz do atmosfery. Inny problem badań leśnych to poziom wód gruntowych, który obniżył się już o półtora, a miejscami nawet dwa metry poniżej tego sprzed dwudziestu lat. Ostatnie badania wskazują, że corocznie poziom wody spada o 20-30 cm, co jest katastrofalne w skutkach dla drzewostanu. Z takim zjawiskiem spotkaliśmy się np. w Puszczy Białowieskiej. System korzeniowy starych drzew nie jest w stanie pobrać wody z głębszych warstw i drzewa zamierają. Trzeba je zastąpić młodymi, które potrafią się zaadaptować do nowych warunków i rozwinąć system korzeniowy głębiej, skąd mogą pobierać życiodajną wodę. Na naszym Wydziale Leśnym mamy ciekawą i korzystną sytuację naukową, bowiem są tam dwie grupy naukowców o różnych podejściach do problematyki leśnej. Jedni to tradycyjni leśnicy, którzy myślą o uprawie lasu, wycince, produkcji drewna, ale i ochronie lasu. Z drugiej strony są ekolodzy, którzy zajmują się obiegiem pierwiastków w ekosystemie leśnym, obiegiem wody, raczej zachowaniem niż wykorzystaniem produkcyjnym lasu. Na styku tych dwóch sposobów myślenia tworzą się ciekawe idee, pomysły. Na każdej konferencji są gorące spory, a co najważniejsze – jest tam spore grono młodych ludzi, w tym z tytułem profesora.

Niegdyś uczelnie rolnicze posiadały spore ilości gruntów rolnych. Jak było w URK i co z tego pozostało?

Mieliśmy znaczne areale gruntów w obrębie dzisiejszego Krakowa, w tym ponad stuhektarowe gospodarstwo w Mydlnikach, utworzone na bazie miejscowego folwarku na początku XX wieku na potrzeby Studium Rolniczego UJ. Dzisiaj to już jest Kraków. Dlatego obecnie mamy tylko niewielkie ponadstuhektarowe gospodarstwo w Prusach. W Garlicy Murowanej mamy ogrodniczą stację doświadczalną; łącznie około sześćdziesięciu hektarów, w tym półtora hektara winnicy i 20 hektarów sadow. Mamy stację hodowlaną w Rzaście z małą stadniną koni, stadem zachowawczym gęsi zatorskiej, zwie-

rzętami futerkowymi, w tym królikami, które zostały czempionami na ostatnich międzynarodowych wystawach. To także obiekt o powierzchni około sześćdziesięciu hektarów. Ponadto w Mydlnikach mamy Rybacką Stację Doświadczalną z ok. 28 hektarami stawów rybnych oraz na Bielanych stację z tradycyjnymi dla naszego regionu owcami. Niewielkie pozostałości gospodarstwa pozostały także w Okocimiu. Mamy stacje doświadczalne do każdej działalności rolniczej, jednak łącznie jest to raptem nieco ponad czterysta hektarów, nie licząc zakładu leśnego w Krynicy. Różne były potrzeby uczelni, a tym samym różne przyczyny zbywania części majątku. We mnie gdzieś głęboko pozostało pochodzenie chłopskie i raczej mam tendencję do kupowania ziemi i poszerzania działalności, a nie do jej zbywania. W tym sensie kupujący mają ze mną kłopot.

Czy pochodzenie miało znaczenie przy wyborze uczelni?

W jakimś sensie tak, bo było czymś naturalnym w rozwoju moich zainteresowań. Ukończyłem Technikum Rolnicze w Krzelowie. Lubiłem zwłaszcza mechanizację, co wyniosłem z domu. Z ojcem naprawialiśmy maszyny, skręcaliśmy i rozkręcaliśmy, przygotowując je do pracy w polu, zgodnie z jego powiedzeniem: „ludzie to zrobili, ludzie potrafią zepsuć i naprawić”. Rodzice mieli gospodarstwo prawie trzydziestohektarowe z bydłem mlecznym, a zatem maszyn dużo. Dlatego po maturze wybrałem Wydział Techniki Rolniczej i Energetyki. Dostałem propozycję pozostania na uczelni na stanowisku asystenta technicznego. Doświadczenie praktyczne miało dla mnie bardzo duże znaczenie i istotnie mi pomogło w karierze naukowej. Połączyłem mechanizację z ekonomiką i tak pod okiem moich mistrzów stałem się jednym z lepszych specjalistów z tego zakresu, wykorzystującym kwalifikacje jako rzeczoznawca, także w sądzie i na rynku ubezpieczeniowym. Teraz kompetencje ekonomiczne przydają mi się w zarządzaniu wielkim gospodarstwem, jakim jest uczelnia rolnicza.

Czy do zakładów rolnych dokładacie, czy zarabiacie na nich?

Nasz Leśny Zakład Doświadczalny w zeszłym roku przyniósł prawie 7 milionów złotych zysku. Inaczej wyglądają pozostałe stacje, ale to są efekty ich włączenia w struktury katedr, które zwykle nie mają pieniędzy na inwestycje. Dlatego postanowiłem wydzielić je jako wyodrębnioną działalność gospodarczą. Wszystkie wymagają znacznego doinwestowania, co szczególnie dotyczy stawów hodowlanych. W niektórych mamy 70 centymetrów namułu, co eliminuje pewne gatunki ryb. Mam zamiar połączyć stawy z gospodarstwem w Prusach, gdzie nie ma produkcji zwierzęcej, a zatem pracownicy mają okresowo znacznie mniej zajęć. Po odłowieniu ryb do zimochowów, mogliby zająć się rekultywacją stawów, zyskując cenną próchnicę na pola. A stawy położone są raptem siedem kilometrów od centrum Krakowa, co umożliwi uruchomienie komercyjnego łowiska. Mam nadzieję, że wkrótce ta jednostka będzie się bilansować finansowo, gdyż negocjujemy umowy na uprawy dużych powierzchni warzyw.

Czy uniwersytet zyskał czy stracił na wstrzymaniu algorytmu?

Myślę, że jednak zyskaliśmy. Wynika to ze sporego ubytku studentów. Gdyby algorytm działał, stosunek liczby studentów do wykładowców, który u nas jest na poziomie wymaganym dla uczelni badawczej, skutkowałby obniżeniem subwencji. Prawdopodobnie musielibyśmy zastanowić się nad optymalizacją liczby zatrudnionych nauczycieli. W tym okresie uruchomiliśmy nowe kierunki kształcenia, które mają poprawić wskaźniki rekrutacyjne. Obecnie przyjmujemy ok. dwa tysiące sto osób na pierwszy stopień studiów, a chcemy dojść do około dwu i pół tysiąca, może nawet więcej. W tym trudnym okresie utrzyma-

liśmy najcenniejszy zasób każdej uczelni – pracowników. Jednak w wielu specjalnościach rolniczych nie mamy już rekrutacji nowych pracowników naukowych, co w przyszłości może mieć negatywne konsekwencje. Pod względem wyników finansowych zawsze jesteśmy na lekkim plusie, przy czym wynik działalności operacyjnej w nauce i kształceniu nie zawsze się bilansuje. Zysk jest tworzony głównie z działalności gospodarczej. Budżet uczelni wynosi około dwustu trzydziestu milionów, z czego subwencja wynosi sto sześćdziesiąt. To oznacza, że różnicę prawie siedemdziesięciu milionów złotych (30% budżetu – red.) pozyskujemy we własnym zakresie.

Czy istniejąca infrastruktura naukowo-dydaktyczna uniwersytetu jest wystarczająca, czy może planujecie jakieś inwestycje?

Generalnie mamy wystarczającą powierzchnię dydaktyczną. W okolicach szczytów rekrutacyjnych na przełomie wieków mieliśmy dwanaście tysięcy studentów. Zatem skoro infrastruktura była wystarczająca przy tamtej liczbie studentów, to i teraz z nowa już oddanymi i planowanymi do oddania inwestycjami tym bardziej powinna wystarczyć. Niedawno zbudowaliśmy nowoczesną halę sportową, a w starej przygotowaliśmy pomieszczenia dla weterynarii. Na Bielanach powstały piękne laboratoria dla weterynarii. Wyremontowaliśmy dworek Janzewskiego, czyli dawny Wydział Ogrodniczy, gdzie dzisiaj funkcjonuje Studium Języków Obcych. Wybudowaliśmy nowy budynek geodezji oraz rozbudowaliśmy obiekty Wydziału Inżynierii Produkcji i Energetyki. Jak już wspominałem, w tym roku oddajemy do użytkowania centrum badawcze na ul. Balickiej oraz nowe kliniki w Rząsce. Przydałaby nam się nowa siedziba Biblioteki Głównej, gdyż jej zbiory są w tej chwili rozproszone w różnych miejscach. A nasza biblioteka to nie tylko księgozbiór, ale też muzeum z ciekawymi eksponatami. Nieprzemysłana rozbudowa infrastruktury mogłaby grozić przeinwestowaniem. Musimy nauczyć się wykorzystywać wspólnie infrastrukturę naukową. Nie dublować takich samych urządzeń badawczych, ale korzystać z jednego laboratorium dobrze wyposażonego. Problemem majątkowym, który nas najbardziej nurtuje, jest tzw. budynek jubileuszowy, gdzie pracuje jedna trzecia kadry i kształci się taki sam odsetek studentów. Staramy się wyjaśnić jego stan prawny, gdyż obecnie formalnie nas tam nie ma, zatem nie uzyskamy żadnego pozwolenia na remont, a przykładowo windy są z 1965 roku, zaś instalacje elektryczne starego typu nie dają możliwości podłączenia nowoczesnych urządzeń. Czekamy na zakończenie postępowania sądowego w tej sprawie.

Jak „wychodzi” wspólna weterynaria z UJ?

To już ostatni wspólny rok. Wkrótce po raz ostatni wręczymy wspólnie dyplomy UJ i URK. Zakończenie współpracy wynikało z konieczności przejścia na profil praktyczny z uwagi na skromną kadrę. Polska Komisja Akredytacyjna nie chciała zaakceptować tego, że przedmioty podstawowe mogą prowadzić lekarze „klasycy”. Ponadto laboratoria w Bielanach nie dawały pełnych możliwości klinik weterynaryjnych, które oddamy dopiero na nowy rok akademicki, zatem korzystaliśmy z infrastruktury zewnętrznej, na co pozwalał tylko profil praktyczny. A przecież dzisiaj nawet kierunki medyczne uruchamia się ze szpitalami zewnętrznymi. W tym czasie nasze zasoby kadrowe znacznie się poprawiły, mamy dwa razy więcej nauczycieli samodzielnych niż na początku. Wkrótce powinniśmy mieć pierwszego własnego profesora tytularnego z weterynarii. Już zatrudniliśmy profesora z Uniwersytetu Florydy, zajmującego się rozrodem koni, a na te zwierzęta chcemy profilować naszą weterynarię, bo w okolicach Krakowa rozwija się hodowla koni. Niestety może tylko 10% obecnych absolwentów weterynarii deklaruje chęć pracy z dużymi zwierzętami,

a zatem dla wsi. Pozostali chcą zajmować się małymi zwierzętami, a zatem obsługiwać obszary miejskie. Ma to także związek ze zmianami na wsi. Pogłowie krów w Polsce się zmniejszyło, ale nastąpiła jego koncentracja, zatem potrzebujemy mniej weterynarzy, którzy te stada obsługują.

Czy prowadzicie badania losów absolwentów?

Tak, ale znacznie więcej wiedzy dają nam zjazdy absolwentów. Przybyłym absolwentom dajemy ankiety do wypełnienia i to jest źródło rzetelnej informacji. Informację czerpiemy także ze spotkań w przedsiębiorstwach. Ostatnie odbyło się w Orle, który uruchomił procesy biotechnologiczne w Trzebinii. Jak się okazuje, kierowniczką działu produkującego kwas mlekowy jest nasza absolwentka sprzed trzech lat. I tu nazwa „rolniczy” działa. Przedsiębiorcy wiedzą, że właśnie my kształcimy odpowiednich ludzi, że w naszym uniwersytecie trzeba szukać specjalistów od biokomponentów i od biotechnologii. A przecież obecnie wszyscy przechodzą na „bio”. Miesiąc temu podpisaliśmy list intencyjny z producentem materiałów budowlanych, który także potrzebuje fachowców od „bio”, bo chce w swoich produktach mieć biokomponenty, które poprawiają właściwości np. izolacyjne bądź mechaniczne materiałów budowlanych.

Jak publikuje się w uniwersytecie rolniczym?

Kryterium pierwsze było kosztowne, ale za to międzynarodowa widzialność i cytawalność naszych publikacji już po dwóch latach obowiązywania nowej strategii wzrosła znacznie powyżej początkowych oczekiwań. Założyliśmy wskaźnik roczny na poziomie 20% wyjazdów pracowników za granicę, a osiągnęliśmy ponad dwukrotnie więcej. Dzięki temu mamy zaproszenia do podjęcia tematów badawczych za granicą. Zatem inwestycje w publikacje przyniosły nie tylko wynik punktowy, ale rozwijają nas naukowo.

Czy pracownicy URK publikują w czasopiśmie technicznych, branżowych?

To było niestety przekleństwo tej parametryzacji: nasi ogrodnicy i rolnicy piszą po angielsku dla polskiego ogrodnika czy rolnika! Akurat ogrodnicy bardzo poważnie traktują publikowanie dla naszych krajowych specjalistów, ich artykuły są oczekiwane przez środowiska branżowe. Podobnie jest z lekarzami weterynarii czy zootechnikami. Musimy takie publikacje docenić w ewaluacji, bo inaczej producenci żywności stracą dostęp do najnowszej wiedzy.

Jak pan widzi swoją uczelnię w najbliższej przyszłości?

Przede wszystkim widzę ją funkcjonującą w tym obszarze co teraz, a więc jako uczelnię rolniczą z zootechniką i leśnictwem oraz ukierunkowaną na rozwiązywanie problemów szeroko pojętego sektora gospodarki żywnościowej. Tutaj widzę jej dalszy rozwój i przyszłość. Uniwersytet musi rozwijać się w oparciu o badania pożądane przez gospodarke, realizowane we współpracy z rolnictwem, leśnictwem i przemysłem. Kolejny kierunek rozwoju to kooperacja z partnerami zagranicznymi, bo tam nazwa „rolniczy” jest odbierana inaczej niż w Polsce. Widzi się ją przez pryzmat potencjału oraz znaczenia rolnictwa i gospodarki żywnościowej, a przecież to podstawowe potrzeby człowieka. Słowo „rolniczy” ma tam bardzo pozytywną konotację, jest kojarzone z określonymi kompetencjami, które posiadają nasi badacze i absolwenci. Liczę też na obsługę typowo wiejskich regionów, które szybko się zmieniają, ale wciąż mają swoją specyfikę. Znamy ją i potrafimy wykształcić kadry, które odpowiedzą na potrzeby wsi.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Wojciech Ozimkowski

Młodzi geolodzy na szlaku

Historia okiem byłego opiekuna naukowego

Aktywność Koła Młodych Geologów polegała głównie na organizowaniu wypraw, które dziś zapewne zaliczylibyśmy do kategorii turystyki geologicznej. Chodziło o poznanie obszarów o innej budowie geologicznej, obejrzenie klasycznych odsłoneń, o których wtedy można było co najwyżej poczytać w grubych i słabo ilustrowanych podręcznikach, czy po prostu o opuszczenie na jakiś czas „baraku” PRL i odetchnięcie w innym świecie.

Stronka internetowa Koła Młodych Geologów – bo tak brzmi jego oficjalna nazwa – nosi dumny tytuł: „Koło Młodych Geologów – pierwsze koło naukowe na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego” (<https://kmguw.wordpress.com>). Pierwsze wśród aktualnie zarejestrowanych dziewięciu. To prawda, w tym roku koło obchodzi 70-lecie, a raczej powinno obchodzić, bo na razie nie wznowiło działalności po pandemii. Ale na pewno wznowi. W historii koła okresy aktywności, jej spadku, a czasem wręcz zaniku, ustawicznie się przeplatały, zdarzały się nawet przypadki, gdy konieczna była jego reaktywacja. Dziś trudno odtworzyć najwcześniejsze lata działalności. Z opowieści pierwszej, niestety już wymarłej generacji profesorów tworzących świeżo powołany w 1952 r. Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego wynika, że rzeczywiście koło powstało już w następnym roku, ale chyba nie wiodło mu się najlepiej, skoro już w 1958 r. konieczna była jego reaktywacja. A może była to tylko ponowna rejestracja na podstawie nowych przepisów? To przecież były czasy „odwilży” po 1956 r., kiedy wiele się zmieniało. W każdym razie po tej reaktywacji koło miało swój pierwszy okres intensywnej aktywności. Okazało się, że teraz już można z PRL wyjechać i z tej możliwości skwapliwie korzystano.

Tu dygresja: geologia jest jedną z tych dziedzin nauki, które są ściśle związane z pracami terenowymi. Można przywieźć próbki skał i badać je spokojnie w laboratorium, ale i tak trzeba je zebrać samemu w terenie, a już np. pomiarów strukturalnych nie wykona się inaczej niż in situ. Z oczywistych więc powodów na geologię wybierają się ludzie, którzy lubią przebywać w terenie, a wyjazdy grupowe są dla nich po prostu przyjemnością, to przecież taka współczesna „integracja”. Nie dziwi więc fakt, że od początku aktywność Koła Młodych Geologów polegała głównie na organizowaniu wypraw, które dziś zapewne zaliczylibyśmy do kategorii turystyki geologicznej. Chodziło po prostu o poznanie obszarów o innej budowie geologicznej, obejrzenie klasycznych odsłoneń, o których wtedy można było co najwyżej poczytać w grubych i słabo ilustrowanych podręcznikach, czy po prostu o opuszczenie na jakiś czas „baraku” PRL i odetchnięcie w innym świecie. Tak więc trzy pierwsze lata reakty-

wowanego koła zaowocowały trzema – ambitnymi jak na owe czasy – wyprawami: w 1959 do Jugosławii, w 1960 do Szwecji i w 1961 do Francji. Co ciekawe, wiedza o nich przetrwała jedynie dzięki temu, że w ówczesnym zarządzie KMG działał Maciej Podemski, późniejszy długoletni i zasłużony pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego, który trafił do Wikipedii wraz ze szczegółowym życiorysem.

Geolog z kozuchem

Niestety dalej Wikipedia milczy, więc moja wiedza na temat działalności koła urywa się na 20 lat, co nie znaczy, że w tym czasie nie działało. Trudno nawet cokolwiek powiedzieć o aktywności koła w moich czasach studenckich, dzieląc wolny czas między żeglarstwo, góry i imprezy w klubach studenckich niewątpliwie zaniedbywałem studencką działalność naukową. A szkoda, bo we wrześniu 1974 r. odbyła się wyprawa koła do Afganistanu, Indii i na Cejlon, czyli do dzisiejszej Sri Lanki. Tak, Afganistan przed 1979 r. był częstym celem wyjazdów, które dziś określilibyśmy jako trekkingowe z pewnym podtekstem handlowym – wracało się stamtąd z modnym wówczas kozuchem.

Wyprawy w czasach PRL miały zawsze element improwizacji. Ilość spraw do załatwienia i problemów, które można było nieoczekiwanie napotkać, jest trudna do wyobrażenia. Wydaje nam się dziś, że świat bez Internetu i łączności komórkowej nie mógłby funkcjonować, a wtedy działał i to nawet dość sprawnie. Prawdziwym problemem były formalności paszportowo-wizowe, wynikające głównie z podziału świata na dwa wrogie bloki, tragiczny brak środków finansowych (anegdotyczne 20 dolarów miesięcznej pensji w PRL), a w pewnym okresie po prostu braki w zaopatrzeniu – żywność na wyjazd trzeba było załatwiać poza systemem kartkowym i uzyskać zgodę celników na jej wywóz. No a potem nosić w plecaku, przeloty samolotami były poza naszymi finansowymi możliwościami. Dla zobrazowania atmosfery wypraw w tych czasach opiszę krótko dwa wyjazdy koła, w których miałem okazję brać udział.

Moje kontakty z Kołem Młodych Geologów zaczęły się już po studiach, w 1980 r., kiedy to prof. Piotr Roniewicz, ówczesny opiekun naukowego koła, zaproponował mi dwutygodniowy

wyjazd z kilkunastoosobową grupą studentów na Węgry i Słowację. Upowiedział, że na Słowacji mamy zapewnionego przewodnika, geologa z Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie, ale na Węgrzech musimy sobie radzić sami. Organizacyjnie wyprawa nie była trudna, od czasów Gierka z PRL do „bratnich” krajów można było podróżować na podstawie stempla w dowodzie osobistym, a kwestia noclegów odpadała, bo mieliśmy zabrać namioty. W połowie sierpnia 1980 r. pojechaliśmy pociągiem PKP do Budapesztu, szczęśliwie przechodząc dwie kontrole graniczne i dwie odprawy celne, ale na miejscu pojawił się nieprzewidziany problem: z nikim nie można się było porozumieć. Nie znaleźliśmy węgierskiego, a Węgrzy chyba żadnego języka obcego. Chyba najlepiej dogadaliśmy się w Veszprém z księdzem, mówiącym po... łacinie. Mieliśmy dzięki temu zapewniony nocleg w namiotach w przykościelnym ogrodzie. Później spotkaliśmy jednak Węgra mówiącego płynnie po polsku. Nauczył się go na Syberii, gdzie jako jeniec siedział dziesięć lat w łagrze z AK-owcami. W końcu dotarliśmy nad Balaton i obejrzeni dawne wulkany, co było głównym punktem programu na Węgrzech, i mogliśmy się przenieść na Słowację.

Wieczorem na dworcu kolejowym w Koszycach powitał nas nasz słowacki przewodnik Pavel, który po pierwsze zaproponował nocleg w środku miasta w namiotach pod mostem, bo akurat padało, a potem przez dziesięć dni przeciągnął nas przez pół Słowacji – z Koszyc do Żyliny. Dużą część trasy odbyliśmy pieszo, pokonując kilka pasm górskich, więc szybko wyszły na jaw sprawy kondycyjne. Nie wszystkim pasowały długie podejścia z ciężkimi plecakami, zabraliśmy przecież jedzenie na dwa tygodnie. Wobec tego ekipa szybko podzieliła się na dwie podgrupy: twardzieli, czyli górską, i tych, którzy dolinami (i autobusami) podążali do miejsca następnego noclegu. To oni odkryli, że nasze zaopatrzenie było zbędne, w dolinach były sklepy, a w nich jedzenie, nawet całkiem tanie. Można było rano pójść do „potrawin” i kupić coś na śniadanie, a obiad zjeść w restauracji – rzecz trudna do wyobrażenia w PRL w roku 1980. Ze Słowakami można się było swobodnie porozumieć, pociągi i autobusy kursowały, panował pełen luz z biwakowaniem. Słowem – raj na ziemi.

Oczywiście łączności z krajem nie mieliśmy wtedy żadnej, jedynie z radia tranzystorowego można było wynioskować, że coś tam się dzieje, jakies strajki, podpisywanie porozumień,

a tu cisza i spokój. Zrealizowaliśmy cały zaplanowany program, zwiedziliśmy chyba połowę słowackich jaskiń, w Niżnych Tatrach położyliśmy się spać w namiotach, które w nocy przysypało pięć centymetrów pierwszego śniegu, czyli było wspaniale. Z Pavlem umówiliśmy się, że za rok Słowacy przyjeżdżają do nas.

Teraz trzeba było tylko wracać. Z Żyliny międzynarodowym pociągiem PKP dotarliśmy do granicy. I tu się zaczęło. Na stacji w Zwardoniu nikt nie wiedział, czy pociąg ma stać, bo się strajkuje, czy akurat ten może jechać, bo jest międzynarodowy. Kolejarze debatowali na peronie, trwały dyskusje i głosowania. W końcu coś uradzono, ktoś machnął gazetą w stronę lokomotywy i ruszyliśmy. Do Warszawy dotarliśmy szczęśliwie bez kolizji, chyba nikt inny w tym czasie nie machał gazetą na stacjach. Nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę, że to akurat wieje „wiatr historii”, ale szybko się okazało, że konsekwencje są poważne. Przecież trzeba było jakoś zorganizować przyszłoroczny przyjazd Słowaków. Przejazdy, zjedzenie, noclegi... A tu system kartkowy w pełni i puste sklepy.

Program geologiczny i amerykański film

Na szczęście komunistyczna propaganda w ówczesnej Czechosłowacji działała i to na naszą korzyść, bo tym razem to Słowacy wybrali się z pełnym zaopatrzeniem do kraju, w którym wolne związki zawodowe doprowadziły do braku jedzenia, inaczej rzeczywiście trudno by było ich wyżywić w systemie kartkowym. Mieli przygotowany własny program, głównie mineralogiczny, więc Sudety, ale też Wieliczka, siarka w Machowie i fosforyty w rejonie Annopola. A na dodatek Gdańsk. Tu powody mineralogiczne były niejasne, ale rozumieliśmy, chcieli zobaczyć, gdzie się to wszystko zaczęło. Z obiektów niegeologicznych chcieli jeszcze koniecznie obejrzeć amerykański film, wszystko jedno jaki. Udało się, program zrealizowali w całości.

Niestety na skutek „wiatru historii” na dwa lata działalność koła zamarła, podobnie jak większości innych organizacji. Dopiero po zniesieniu stanu wojennego pojawiły się pomysły na nowe wyjazdy, a jeden cel był bardzo ambitny – Islandia. Wyspa, na której geologia działa na bieżąco, nowa litosfera przyrasta na naszych oczach – wulkany, lodowce – wymarzony cel podróży dla każdego geologa. Grupa była mała, kilkusobowa, gdyż początkowo w planie było dopłynięcie tam polskim jachtem

razem ze studentami z Gdańska, ale jakoś w końcu do tego nie doszło. Przygotowania rozpoczęliśmy na początku 1984 r. Paszporty, organizowanie prowiantu w systemie kartkowym, no i dziś już zapomniane wizy. Ambasady Islandii w Polsce nie było, wizy trzeba było załatwiać w Kopenhadze, a Dania wiz nam odmówiła. Na szczęście okazało się, że możemy dostać wizy norweskie, w Oslo wystąpić o islandzkie, a potem dostać się do Bergen, bo tylko stamtąd latem pływał prom na Islandię. Trochę to komplikowało sprawę, bo podróży łodem nie planowaliśmy i nie mieliśmy na nią funduszy, ale założyliśmy, że zawsze pozostaje autostop. Nie wszystko nam wyszło, trudno podróżować stopem w pięć osób, za to z 75 kilogramami prowiantu. Trzeba się było rozdzielić, w końcu



Węgry-Słowacja 1980: Nocleg przy kościele w Vesperem. Znaki czasu – namioty typu „psia buda” i plecaki z zewnętrznym stelażem

jednak wszyscy już po dziesięciu dniach dotarliśmy różnymi trasami do Oslo, część nawet zaliczając prodroże Sztokholm, i złożyliśmy wnioski o wize. Czekając na ich pozytywne rozpatrzenie, poznaliśmy dokładnie Oslo i okolice, a w końcu ruszyliśmy na północ, w stronę Bergen. Jednak minęły już dwa tygodnie i dość szybko zorientowaliśmy się, że w założonym czasie wyprawy się nie zmieścimy, a tym bardziej nie zmieścimy się w posiadanych funduszach. Powstał plan awaryjny: jak nie wulkany i lodowce, to chociaż lodowce. To się udało. Dotarliśmy do Nigardsbreen, jednego z jeziorów spływających z Jostedalbreen, największego lodowca kontynentalnej Europy, zaliczyliśmy góry Jotunheimen i rozpoczęliśmy trwający następnie dziesięć dni powrót. Tak więc tym razem z Islandii nic nie wyszło, ale w przyszłości wyprawy Koła Młodych Geologów kilkakrotnie osiągały zamierzony cel, już w zupełnie innych warunkach geopolitycznych i technicznych.

Jak wiadomo, po 1989 roku zaczęło być normalnie, a potem wręcz wspaniale. Mogliśmy paszporty trzymać w domu, wize dawano nam prawie bez wyjątków, a wkrótce się okazało, że w ogóle nie są potrzebne ani paszporty, ani wize. Przeloty samolotami znalazły się w zasięgu naszych możliwości finansowych i cały świat stanął otworem. Koło Młodych Geologów w pełni z tych możliwości korzystało.

Pięćdziesiąt wypraw

Tuż przedtem, w 1988 r., koło zostało po raz kolejny zarejestrowane i rozpoczęło następny etap działalności, choć też niepozbawiony okresów pewnej stagnacji. Koło nigdy nie było przesadnie sformalizowane, zawsze panowała w nim duża swoboda, nie było też regularnych spotkań. Jeżeli grupa studentów miała jakiś pomysł, to koło im ułatwiało realizację, głównie przez uzyskanie dofinansowania, a studenci po zrealizowaniu projektu składali sprawozdanie i zapraszali wszystkich chętnych na otwarte spotkanie powyprawowe. Regularnie odbywały się tylko zebrania sprawozdawczo-wyborcze, na których okazywało się, ilu członków naprawdę liczy koło, było to zwykle 20-30 osób. Przy takiej formie działalności jest oczywiste, że aktywność koła zależała głównie od aktywności działających w nim studentów. A ta bywała różna w różnych okresach. Zniesienie egzaminów wstępnych na studia i zastąpienie ich konkursem świadectw maturalnych spowodowało, że na wydział zaczęły trafiać również dość przypadkowe osoby. To nie one wybierały wymarzony kierunek studiów i starały się na niego dostać, tylko z punktacji wychodziło im, na co mogą pójść. No i niekiedy była to geologia. Ten system skutecznie eliminował różnego rodzaju „pasjonatów” geologii, co w oczywisty sposób wpływało na późniejszą aktywność naukową studentów.

Mimo tego rodzaju problemów po roku 2000 działalność koła bardzo się ożywiła. W ciągu dwudziestu lat zorganizowało ono ponad pięćdziesiąt wyjazdów zagranicznych, czasem bardzo dalekich. W niektórych rejonach prowadzono regu-

larne badania geologiczne przez kilka kolejnych lat (Madagaskar – cztery wyprawy). Wykorzystano szanse stworzone przez rozpad Związku Radzieckiego, odwiedzając rejony przedtem praktycznie niedostępne: Syberię (Góry Czerskiego, Kamczatka), Ural, Półwysep Kola, Armenię, Tadżykistan i Ukrainę (Krym, Podole, Czarnobyl). Islandia była celem czterech wyjazdów, Maroko trzech. Były wyprawy egzotyczne: Tybet, Chile, Wietnam, Meksyk, Kuba, Bahamy, były też badania skał z King George na Antarktydzie. Sporo było wyjazdów bliższych, europejskich. Oczywiście na czele Słowacja, dalej: Czechy, Rumunia, Norwegia, Francja, Macedonia, Olandia, Wyspy Liparyjskie... Nie brakowało też tematów krajowych, głównie petrograficznych związanych z Sudetami, zdarzały się też klasyczne autokarowe wycieczki do ciekawych kamieniołomów lub kopalń. Członkowie KMG brali również udział w konferencjach międzynarodowych i krajowych.

Często wyprawy nie były już wieloosobowe, lecz mniejsze, czasem nawet organizowane przez pojedyncze osoby. Pojawił się też nowy, bardzo pozytywny element: sam wyjazd stanowił dopiero początek realizacji tematu i służył głównie – tak jak przy „normalnych” badaniach – pobraniu próbek skał do późniejszych analiz lub zebraniu pomiarów. Wynikało to również po prostu z pojawienia się takiej możliwości. Wydział Geologii UW dorobił się w końcu laboratoriów na odpowiednio wysokim poziomie. Jeśli one nie wystarczały, to badania zlecano za granicą, dofinansowania zapewniane przez Radę Konsultacyjną do spraw Studenckiego Ruchu Naukowego UW na ogół pozwalały i na to. A ostatecznym wynikiem projektu była teraz zwykle publikacja artykułu, a czasem i prezentacja wyników badań na konferencji naukowej. Minęły czasy, kiedy zorganizowanie powyjazdowej prezentacji „slajdów” i przekazanie kilku okazów skał do kolekcji dydaktycznych wydziału było ostatecznym zamknięciem tematu.

Część projektów była teraz realizowana we współpracy z innymi kołami naukowymi, przeważnie z UW (Wydział Biologii UW, Międzywydziałowe Studia Ochrony Środowiska, Międzywydziałowe Indywidualne Studia Matematyczno-Przy-



Węgry-Słowacja 1980: Okolice Balatonu – to był podobno wulkan. . .



Z plecakami na Islandię – na razie opuszczamy Ystad

rodnicze). Były też kontakty z kołami z innych uczelni, tylko w 2016 r. doszło do spotkań z kołami z ING UJ i AGH, a członkowie KMG wzięli udział w organizowanym przez Uniwersytet Wrocławski zjeździe Kół Geologicznych w Górach Sowich.

Zostałem Lordem Admiralicji

Zmieniła się też rola opiekuna naukowego koła. W wyprawach już nie uczestniczyłem. Teraz studenci nie potrzebowali żadnego „opiekuna” z ramienia uczelni, świetnie sobie radzili sami, zresztą przy ilości wypraw organizowanych corocznie byłoby to trudne do zapewnienia. Oczywiście czasem zazdrościłem im niektórych tras. Teraz tylko oceniałem ich projekty, a potem co najwyżej pomagałem w rozliczeniu merytorycznym wyników. Żartowałem, że po latach zostałem Lordem Admiralicji, który sam już nie żegluje, ale opiniuje i ocenia dokonania innych z za biurka.

W kole najważniejszą osobą był teraz prezes. Formalnie koło posiada trzyosobowy zarząd (prezes, wiceprezes i sekretarz), ale to z reguły aktywność prezesa decydowała o aktywności całego koła. Odkąd pamiętam, koło miało bardzo dobrych prezesów i zawsze żałowałem, kiedy kolejni kończyli studia i opuszczali (choć nie wszyscy) uczelnię. Najintensywniejszy okres działalności koła w ostatnim dwudziestolecu przypadł na lata 2005–2007, kiedy rocznie odbywało się od pięciu do ośmiu dalekich wypraw, nie licząc realizacji projektów krajowych. Potem co roku odbywały się regularnie trzy lub w słabszych latach dwie wyprawy – aż do covidowej przerwy.

W 2008 roku członkowie koła uznali, że skoro zostało ono zarejestrowane dwadzieścia lat wcześniej, to należy urządzić jubileusz. Wyjaśniałem im, że to była tylko formalność, kolejna rejestracja w nowych warunkach prawnych, ale szybko dałem się przekonać, że każda okazja jest dobra do świętowania, w związku z czym w listopadzie 2008 roku odbyła się pięciodniowa impreza pod nazwą „Święto Koła Młodych Geologów w 20. rocznicę rejestracji”. Pokazy slajdów z wypraw z ostatnich kilku lat zajęły cztery wieczory. Łącznie prezentowano dwanaście wypraw na cztery kontynenty: Jakucja, Norwegia, Płw. Koła, Kamczatka, Islandia, Meksyk, Mongolia, Tadżykistan, Pakistan, Madagaskar, Maroko i Liban, w którym dopiero co zakończyła się kolejna wojna domowa. Piątego dnia odbyła się okolicznościowa sesja pod trafniejszą już nazwą „Pół wieku Koła Młodych Geologów na Uniwersytecie Warszawskim”. Należałoby dodać: pół wieku od pierwszej

reaktywacji, bo naprawdę to było już 55 lat. A po sesji okolicznościowa impreza – międzypokoleniowe spotkanie trwające aż do zamknięcia wydziału na noc przez ochronę. Była to świetna okazja do zebrania materiałów na temat historii koła, niewykorzystana, bo oczywiście nie sądziłem wówczas, że to ja będę tę historię opisywał.

Warunki i sposób działania koła zmieniły się bardzo w ostatnich dwudziestu latach, najlepiej świadczy o tym gabłota KMG w jednym z licznych korytarzy Wydziału Geologii UW. Niegdyś była to świetna lokalizacja na dojściu do naszej głównej i reprezentacyjnej auli, a gabłota była oświetlona. Po każdym sezonie pojawiały się tam ekspozycje zdjęć i okazów z ostatnich wypraw. Ale spotkał ją taki sam los jak wszystkie tablice ogłoszeń: istnieje, ale nikt tam teraz nie zagląda. Koło ma stronę internetową i konto na Facebooku i to są obecnie jedyne kanały informacyjne, a w gablocie wśród zdjęć jest ówczesny prezes z Królem Julianem, lemurem z Madagaskaru, na ramieniu, czyli rok aktualizacji 2012. Przewaga Internetu jest oczywista, tam najnowsze „niusy” są sprzed pandemii.

Nie jestem dziś w stanie ustalić, kiedy formalnie zostałem opiekunem naukowym koła, nie mam żadnego oficjalnego dokumentu potwierdzającego ten fakt, żadnej „nominacji”. Musiało to być w każdym razie przed rokiem 1998, bo przy ówczesnej ponownej rejestracji występowałem już jako opiekun. Co ciekawsze, nie jestem też w stanie stwierdzić, kiedy przestałem nim być, choć to kwestia ostatnich lat. Po prostu zupełnie przypadkiem, przy próbie rejestracji innego koła naukowego zajmującego się geologią planet, okazało się, że na UW opiekunem naukowym koła nie może być „emerytowany pracownik naukowy”. A ja jakoś tak stopniowo na emeryturę przechodziłem. Najpierw, już na emeryturze, miałem dwa lata przedłużenia etatu, potem przez pół roku byłem zatrudniony w ramach tematu, czyli właściwie sam nie wiem, w którym momencie straciłem prawo do opiekowania się kołem naukowym. Na szczęście problem okazał się czysto teoretyczny, bo akurat w tym czasie pojawił się koronawirus i działalność koła samoistnie zamarła. Mam nadzieję, że i tym razem nie na długo. Mimo znacznego spadku liczby studentów na naszym wydziale, nadal zdarzają się wśród nich osoby zainteresowane geologią.

*Dr Wojciech Ozimkowski,
Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego*

Dobrośława Wężowicz-Ziółkowska

Palmyra '90

I Studencka Wyprawa Kulturoznawcza

Kiedy czytasz o dystansach w kulturze, w ogóle nie rozumiesz, jak to wygląda w terenie. Tak czy inaczej prawdziwy Wschód zaczyna się w Syrii. Ma całkiem inne sensarium, wystawiające Europejczyków na poważną próbę.

„Czemu nie pojedziecie do Istebnej?”. Tymi słowy prorektor ds. studenckich, prof. W, pożegnał, a de facto odprawił przedstawicieli studenckiego Koła Naukowego Kulturoznawców Uniwersytetu Śląskiego, którzy w 1990 roku prosili swoją Alma Mater o finansowe wsparcie planowanej wyprawy naukowej do Turcji i Syrii. Być może rzeczywiście dla ówczesnych władz uczelni projekt brzmiał „kosmicznie”, ale świat się zmieniał i zmieniały się czasy, co chyba z pewnym niepokojem i w zwolnionym nieco tempie rejestrowali przedstawiciele „starej akademii”. Ale nie studenci! Ci, w moim odczuciu – nauczyciela akademickiego z czterdziestopięcioletnim stażem – zawsze byli i mam nadzieję, że wciąż będą otwarci na zmiany, wyprzedzając przynajmniej o krok łatwo kosztujące struktury akademickie. W każdym razie tak było wtedy, w czasie wielkiej transformacji ustrojowej, jaka wreszcie nadeszła, sprawiając, że wielu z nas „skrzydła w ramion urosły”. A może tylko po prostu się rozwinęły? Patrząc z odległej już perspektywy, nie był to czas „buntu niespełnionego” (jak mówi piękny tekst *Ta nasza młodość* Piwnicy pod Baranami), ale pora realizacji marzeń. W tym przypadku marzeń studentów kulturoznawstwa na słabo wtedy ocenianym w ogólnopolskim środowisku uniwersyteckim, „czerwonym” uniwersytecie z partyjnymi zaszczościami, czyli Uniwersytecie Śląskim.

A marzenia te były w gruncie rzeczy bardzo zwyczajne: na własne oczy zobaczyć to, o czym uczyli się na zajęciach z historii kultury starożytnej (zwanej przez nich HKS), modułu (wtedy przedmiotu), jaki prowadziłam przez prawie 30 lat na tym, stosunkowo późno powołanym w Katowicach kierunku. W moim przypadku (opiekuna naukowego tego koła i wykładowcy) marzeniom studentów towarzyszyła dodatkowo frustracja wynikająca z niemożliwego prawie w przedtransformacyjnych czasach bezpośredniego kontaktu z wielkimi stanowiskami archeologicznymi, które przedstawiałam studentom w rocznym kursie HKS. Podręczniki, ilustracje, mapy, opisy – tak, a jednak miejsca z autopsji nieznanne, własną stopą niezdeptane. Jak przekonująco uzmysłowić studentom wagę przeszłości dla współczesności albo opowiedzieć się za brakiem tej wagi, kiedy Troja, Milet, Pergamon, Tars, Antiochia, Palmyra, Damaszek, Aleppo to tylko nazwy i punkty na mapie starożytnego świata? Młodszym czytelnikom tego tekstu pragnę uświadomić, że Internet z jego możliwościami wirtualnego zwiedza-

nia najodleglejszych stron świata pojawił się w Polsce dopiero w grudniu 1991 r. i daleko mu było wtedy do tego, co oferuje dziś. Wikipedia powstała zaś w 2001 r., podczas gdy przedstawiane tu wydarzenia mają miejsce w roku 1990 i wcześniej. A podróże po świecie... Cóż, do 1988 r. paszporty, wyłącznie do krajów socjalistycznych, za specjalną zgodą władz, wycieczki z „Orbisem” nie na kieszeń studenta (tu polecam dobrą stronę <https://plusa.net.pl/podroze-w-czasach-prl-czyli-wakacje-za-jeden-usmiech/#podroze-w-czasach-prl-paszport-na-wage-zlota>). Nasza, tj. moja i studentów, mobilizacja była zatem pełna (i nieco desperacka). Nie chcemy do Istebnej, chcemy do Babilonu!

Mobilizacja

Nasi rektorzy tego jeszcze nie wiedzą, ale my wiemy, że transformacja ustrojowa to wielka szansa dla twórczych, przedsiębiorczych i zmotywowanych. Statut koła, które założyliśmy w 1989 r., głosi w swej Preambule: „Koło Naukowe Kulturoznawców przy Uniwersytecie Śląskim w Katowicach [...] powstało z inicjatywy studentów kulturoznawstwa, których pasje poznawcze i chęć praktycznego sprawdzenia wiedzy teoretycznej, nabywanej w trakcie studiów, skłoniły do podjęcia znacznie szerszych i ambitniejszych działań niż przewidują to obowiązkowe zajęcia uniwersyteckie” (*Statut KNK*, materiały własne autorki). Skoro uczelnia odmawia wsparcia, szukamy sponsorów, czyli po prostu mecenasów dla naszego przedsięwzięcia. Choć w czasach, o których mowa, sponsoring w Polsce nie był rozpowszechniony (dla nas, kulturoznawców, jest jasne, że pozytywne skojarzenia dobrej aktywności sponsorowanego/dotowanego w magiczny sposób przenoszą się na mecenas, czyli po prostu go promują). Tego też nauczyła nas historia. Do zadania przystępujemy w sposób metodyczny, choć – jak w sytuacji wielu mecenasów – i szczęśliwy zbieg okoliczności wchodzi w rachubę. Najpierw, rzecz jasna, ustalenia dotyczące koniecznego sprzętu, kosztów wyżywienia, leków, opłat granicznych, wiz, szczególnie zaś kosztów paliwa i najmu środka transportu. Nasza wyprawa to prawie 11 tys. kilometrów, nawiasem mówiąc, liczonych „na piechotę”, z map, które też trzeba kupić (dla wielu niewyobrażalne, ale GPS i planery podróży w Unii Europejskiej zaczynają wchodzić do użytku dopiero z początkiem r. 2000

(<https://geoforum.pl/gnss/historia>). Wszystko to wymaga analizy warunków ekologicznych, klimatycznych, geologicznych, politycznych i – najogólniej rzecz biorąc – cywilizacyjnych obszarów penetrowanych, ale również krajów dojazdowych. Od Syrii dzieli nas z Polski wiele stref dojazdowych, ergo – wiele granic. Trzeba pokonać przejścia graniczne Czechosłowacji, Austrii, Jugosławii, Bułgarii, Turcji, aby zgodnie z planem dotrzeć do perły pustyni – Palmyry (Syria), docelowego stanowiska naszej wyprawy, nazwanej I Studencka Wyprawa Kulturoznawcza „Palmyra – 90”. Czemu jedziemy tak dziwną trasą? (Ryc.1)

Naturalnie chcemy zobaczyć Wiedeń, ale też przeprowadzamy sondaż, z których wynika, że Rumunia nawet po obaleniu Securitate wciąż niebezpieczna, lepsza Jugosławia (wtedy jeszcze przed rozpadem), a Ludowa Republika Bułgarii daje szansę na przejazd bez specjalnych komplikacji, bo dogadamy się po rosyjsku. Nie sposób jej zresztą ominąć. Wybiemy drogę lądową (przeprawa przez Dunaj, czy to promem w Widyń, czy przez most graniczny Giurgiu/Ruse, cieszy się złą sławą, którą zresztą potwierdza kolejna wyprawa z 1992 r.). Lepiej jechać przez Belgrad i przełom Niszawy na Płowdiw, choć wiemy, że łatwo nie będzie. Zaangażowani w wyprawę członkowie KNK szukają źródeł historycznych, opracowują setki dokumentów, przygotowują własne oprowadzenia po stanowiskach, gromadzą stosy kserokopii (tak, tak, nie było wtedy „kopiuj-wklej”), a jednocześnie uruchamiają znajomych, kontakty, rodziny, każdego, kto zechciałby pomóc nam w tym badawczym szaleństwie. I oto, poza wszystkim, podczas wyjazdu do stolicy na zebranie w IBL-u, spotykam w przedziale pociągu sympatycznego młodego człowieka, który – słuchając ustaleń, jakie wiodę z Moniką, zdecydowaną na stoliczne peregrynacje w poszukiwaniu dotacji – wtrąca nieśmiało: „Mogę pomóc, jestem szefem marketingu w Hucie Katowice”. Zostawia wizytówkę (wtedy w kraju nowość) i odchodzi do swoich zadań. Monika nie znalazła w stolicy chętnych, aby pomagać studentom ze Śląska, zatem nazajutrz do Huty. Efekty przerastają nasze oczekiwania. Na naszą wyprawę pan Marcin C. asygnuje 30 tys. zł po szczegółowych ustaleniach, co KNK oferuje w zamian. Generalnie: promocja i reklama Huty Katowice we wszystkich krajach dojazdowych oraz w Turcji i Syrii. Jedziemy do Syrii reklamować polską stal! Banery na autobusie, setki ulotek (po polsku i angielsku), gadzety HK, znaki firmowe HK, gdzie tylko

można. Dział marketingu nie oferuje wykonania napisów reklamowych, ale i tak jesteśmy uszczęśliwieni. Ta kwota pokrywa opłaty za transport – najważniejsze! Rzetelnie stosujemy się do umowy (mamy w ekipie plastyka, który to wszystko ogarnia), wieszamy hutniczy, polski proporzeczek nawet w Chimerze – dawnej, naturalnej latarni morskiej starożytnych Greków, czyli palącym się przez wieki gazem ziemnym na wzgórzu nieopodal Antalyi. Dostajemy też, co warto podkreślić, darowizny z Bujakowa, Huty Szkła z Ząbkowic, butle gazowe od PROMET Miłowice, sery, musztardy, konserwy turystyczne, plastikowe miski, chleb o przedłużonej trwałości... Niesamowite. Ludzie z KNK wychodzą z siebie, ale odzew jest naprawdę niezwykły. Promocyjnie wspiera nas też Urząd Miejski w Sosnowcu, a o wyprawie pisze lokalny „Dziennik Zachodni”.

W drogę

W drodze przede wszystkim sprawdzają się ludzie. Ruszamy wieczorem 14 sierpnia 1990 r. Pierwsze doświadczenia – konfrontacja ze stereotypami. W krajach dojazdowych spotykamy głównie urzędników, służby graniczne, celników, czasem dozorców parkingów i obsługę stacji benzynowych. Nie są specjalnie przyjaźni. Każdy prawie wyszukuje powód, aby nas zatrzymać i sprowokować jakieś datki. Na przejściach granicznych stoimy po kilka godzin, zwłaszcza nie śpieszą się Bułgarzy, ale uczy się szybko. W papierach zawsze znajdują się uchybienia, odstawiają nas na boczny pas, trzeba dyplomacji i cierpliwości. Funkcjonariusze rozkładają gazety, nieoczekiwanie kończą zmianę i zamykają przejście. Przekazana nocą łapówka jednak magicznie podnosi szlaban. Tak. Świat wtedy, od czechosłowackiej do bułgarsko-tureckiej granicy, łapówkami stoi. Rozeznawszy wcześniej warunki, jesteśmy przygotowani, ale wraz z mijającymi kilometrami coraz bardziej zmęczeni. Studenci karnie wstają po nocy, wkładają przygotowane wcześniej wyprawowe uniformy z logo UŚ, prezentują paszporty, grzecznie odpowiadają na pytania celników, wypełniają deklaracje i wracają do autobusu. Jestem dumna z ich postawy, każdy kilometr to przyrost wiedzy o rzeczywistości, jakiej nie nabędziesz w akademii. Po czterech dniach podróży wszyscy już łakną kąpieli w ciepłej wodzie, chociaż trzeba przyznać, że nasz przewoźnik (firma Zbigniew Daniel) wspaniale przystosował swój autokar do tak odległej podróży. Mamy do dyspozycji wielki baniak wody, legowiska na dwie osoby (zrobione z kratownic, mocne, lecz

ograniczające przejście do 35 cm, co sprawia, że wszyscy są mocno poobijani), luki pełne sprzętu turystycznego (tylko tramping wchodzi w rachubę), ale w autobusie toalety brak. Po drodze brak też stacji benzynowych z łazienkami, a na trasie... żadnych McDonalldów. Chyba dzisiaj nikt nie uwierzy, ale myjemy zęby na poboczach dróg, przystajemy w plenerze dla realizacji potrzeb fizjologicznych, gotujemy wodę na butlach gazowych i czekamy na pierwszy, cywilizowany camping. Tak przeżyliśmy cztery doby dojazdu.

Turcja

Po koszmarnie rozległym i skomplikowanym przejściu granicznym z Bułgarią w Kapikule, Turcja wita nas bardzo brudnym Morzem Marmara, ku któremu biegniemy z nadzieją na kąpiel, ale zapaly wnet stygną. Gdzieś u brzegów, chyba w okolicach Korukoy,

Trasa I Studenckiej Wyprawy Kulturoznawczej. Oprac. Marek Ziółkowski

oglądamy „rany” z drogi, gęsta piana zniechęca do morskich ablucji, ale radość jest wielka: pierwszy etap podróży za nami. Przeprawa promem do Çanakkale ma dla wszystkich wymiar trochę metafizyczny. Patrzymy z pokładu na oddalający się stary ląd i zwracamy oczy ku Azji. Kolejna granica, tym razem kontynentalna, pokonana. Nie ruszamy, wbrew standardom, do Stambułu. W naszych planach jest dopiero za trzy tygodnie. Teraz wzywa nas Troada i cała starożytna Grecja Małozajtycka. Zatem najpierw ku Troi.

I tu pierwsze kulturoznawcze zdumienie: tak to wygląda? Faktycznie, bez Homera i jego *Iliady* na tym stanowisku wyobraźnia, niepobudzona inspiracjami, „wymięka”. Stosy kamieni, słabo widoczne zarysy murów, dobrze zachowana kamienna część murów Troi VII, rampa, odeon. Na wzgórzu wieje, pseudotrojański, kiczowaty koń z resztek drewna starych łodzi robi dziwne wrażenie. No i gdzie to morskie wybrzeże, do którego biegli wojownicy achajscy? Starożytny Skamander też niewidoczny. Tłumaczą zachodzące przez wieki procesy regresji wejść morza, pustynnienie, obniżania się poziomu morza. Ludzie głoszą referaty na gruzach Ilionu, cytujemy fragmenty Homera, opisy Schliemanna, robimy dokumentację fotograficzną, odtwarzamy historię zabudowy i rozbudowy polis. Gorąco.

Pierwszy kamping nad Morzem Egejskim w okolicach Küçukkuyu. Nie pamiętam nazwy tego kempingu, ale przywitano nas z otwartymi ramionami. Wreszcie ciepłe morze, piękna plaża, toalety. Rozlokowujemy namioty (wkrótce rezygnujemy z ich rozkładania, sypiamy w śpiworach na plaży) i szykujemy urodziny Janusza, członek ekipy. Staramy się nie zwracać na siebie uwagi: mały stolik z arbuzami, trochę zasobów z luków i świece. I oto z uśmiechem na ustach podchodzi do nas gospodyni kempingu. W angielsko-francusko-polskim tłumaczymy, że chłopak ma dziś urodziny. Oczywiście zachowujemy się, jak trzeba. Za pół godziny zjawia się kapela tureckich muzyków. Szczęśliwi, że mogą nas ugościć, grają na plaży do świtu, tańczą wszyscy z okolicy, gospodyni donosi raki (znana powszechnie yeni raki, wysokoprocentowa wódka anyżowa), gwiazdy nad Morzem Egejskim błyszczą, fale przyboju łagodnie wchodzą na ląd. Z Küçukkuyu wyjeżdżamy żegnani rytualnym oblaniem wodą, wypoczęci i wreszcie bez obawy o to, jak nas potraktują „ziomkowie” na granicach. Gorzkie słowa, ale

tak naprawdę dopiero w Turcji wyzbywamy się stresu spowodowanego obsługą granic naszych socjalistycznych sąsiadów. Taka, od początku do końca, jest właśnie Turcja. Fantastycznie gościnna, otwarta na przybyszów, życzliwa.

Napełnieni otuchą zwiedzamy Pergamon, by potem udać się dalej na południe, wzdłuż wybrzeży egejskich. Wszędzie ta sama życzliwość. Owocowa herbata w cienkich szklaneczkach, pytania, skąd jesteście. A, Polonia, Walesa – znają, uśmiechają się, machają przyjaźnie, kiedy widzą nas na ulicy. Po Pergamonie czas na Selcuk i Efez wraz z nieodległą Meryemana (położony na Wzgórzu Słowików małeńki, kamienny domek, miejsce zaśnięcia Matki Boskiej, gdzie według przekazów zawiódł ją św. Jan, pochowany w Selcuku). To dość szczególny obszar Azji Mniejszej, gdzie trzy wielkie cywilizacje – starożytnej Grecji, islamu i chrześcijaństwa – patrzą sobie w oczy z bardzo bliskiej odległości. Ze wzgórza, na którym stoi Katedra św. Jana, rozbudowana na grobie apostoła, widać zarówno pozostałości świątyni Artemidy Efeskiej, jak islamski meczet oraz arabską twierdzę. Dzieli je od siebie kilkadziesiąt metrów. Rozmyślając nad wzajemnymi wpływami i frapującym konglomeratem kulturowym, sycimy się jeszcze fantastycznie zachowanym Efezem – hellenistycznym, a więc dodajmy kolejną cywilizacyjną konkrekcję.

Od Pamukkale przez Antalię, Alanię, Anamurion, Tars, Mersin i Adanę stanowisko za stanowiskiem. Pokonujemy setki kilometrów, zmierzając ku Antiochii Syryjskiej i Aleppo. Krajobrazy zapierają dech, w wysokich górach pachną pinie, przydrożni sprzedawcy owoców częstują nas figami, brzoskwiniami, bananami, miodem. Morze Egejskie a potem Śródziemne czekają z ciepłą kąpielą. Namioty zostają w lukach już prawie na stałe. Rozkładamy karimaty i śpiwory na piaszczystych plażach, gdzie jest bezpiecznie, dzielimy się wrażeniami dnia, spisujemy notatki z podróży, co jakiś czas robimy porządki w lukach. I czasem wysyłamy pocztówki do bliskich, bo telefonia komórkowa w naszym kraju dopiero od 1992 r. Po trzynastu dniach podróży, 27 sierpnia, stajemy na granicy syryjskiej.

Syria

Po urozmaiconej krajobrazowo, gęsto zasiedlonej wzdłuż wybrzeży Turcji z imponującymi stanowiskami archeologicznymi, świetnie rozbudowaną bazą turystyczną, pracującymi



Ruiny Troi. Obwarowania bramy głównej wraz z podejściem.

do świtu sklepikami i restauracjami, bardzo dobrymi drogami (no, chyba że się zbłądzi niebacznie na jakieś boczne, co nam się czasem zdarza) i nieomal stale towarzyszącym nam w podróży widokiem morza (czy to Egejskiego, czy Śródziemnego) Syria robi bardzo ponure wrażenie. Zaczyna się, jak u Hitchcocka, od swoistego „trzęsienia ziemi” na granicy, a potem napięcie tylko rośnie. Na przejściu granicznym Cilvegozu/Bab al Hawa stawiamy się rano. Zdyscyplinowani, mądrzejsi o doświadczenia wcześniejszych granic, wszyscy przywdziewamy wyprawowy rynsztunek, t-shirty z logo wyprawy, osobiste rzeczy do kontroli pakujemy w jednakowe, marynarskie worki, otwieramy luki autokaru, paszporty w rękach i... Czekamy. Może ktoś się pojawi? Narasta upał. Budynki przejścia granicznego lśnią bielą w oddali, niska, typowo arabska zabudowa, łukowate otwory drzwiowe i okienne, kamień, trochę marmuru. Nikogo. W końcu decydujemy, że to chyba my musimy wykonać pierwszy krok. Wysyłam chłopaków, w tym lekarza wyprawy, bo wiadomo, że z kobietami nikt tam poważnie nie rozmawia. Idą, wchodzą do budynku. Trwa to chwilę, zanim wrócą z dziwnymi minami. Mówią, że siedzi tam wielu urzędników kontroli, nie sposób się porozumieć po angielsku, ale jakby już nas zauważyli.

Ustalamy strategię: trzeba wziąć ze sobą podarunki, głównie pakiety Marlboro kupione w strefach wolnocłowych, spakować pseudokryształ z Huty Szkła Żąbkowice i szukać najważniejszego spośród urzędników, aby z nim negocjować. Granica granicą a status statusem. Prawdę mówiąc, widać to było już w Bułgarii, gdzie ustalenie, kto na granicy decyduje, okazywało się kluczowe. Trochę zapomnieliśmy o tym w Turcji Atatürk, ale nawrót wiedzy jest szybki. Nasza delegacja ponownie ginie w korytarzach budynków przejścia granicznego, ale w trzeciej godzinie oczekiwania niektórzy z oczekujących mają potrzeby fizjologiczne. Zostawiamy swój dobytek na nieruchomości, acz jednak taśmie transportowej i szukamy toalet. Są! Po prawej stronie od głównego wejścia otwiera się korytarz, a w nim szereg dziur w podłodze (marmurowej). Niesplukiwane przynajmniej kilkanaście godzin otwory do defekacji. Nie należy dyskutować z rzeczywistością. W Turcji poza ośrodkami turystycznymi, gdzie wpływy islamu są wyraźniejsze, co wyraźnie widzimy w drodze powrotnej przez Kapadocję, podejście do intymnych czynności fizjologicznych jest analogiczne i analogiczne są rozwiązania konstrukcyjne im służące. Kolejne zdezerzenie cywilizacji doświadczane na własnej skórze.

Tymczasem delegacja KNK wraca w końcu z informacjami, że jeden pan w arafatce zrozumiał, kim jesteśmy, o co nam idzie i każe przedstawić promesę ze strony syryjskiej. Mamy dać potwierdzenie, że w Syrii ktoś za nas poręczy. Tego nie było w żadnych naszych rozpoznaniach (strona MSZ w Polsce, o czym uprzedzam, zaczyna funkcjonować dobrych dziesięć lat później; należało zasięgać informacji bezpośrednio w ministerstwie lub drogą pisemną). OK. Burza mózgów skłania nas do „zagrywki” na miarę Wschodu, który zaczynamy pojmować coraz lepiej. Ktoś wchodzi do budki telefonicznej (tak, budki!), wykręca ileś tam cyfr, gada sam ze sobą, po czym kiwa radośnie dłonią. Podajemy, z duszą na ramieniu, numer telefonu człowieka, który za nas poręczy w Syrii. To właściciel szwalni i sklepu, znany tylko naszemu kierowcy. To już piąta godzina oczekiwania na przejście z Turcji do Syrii. Bakszysz rozdzielony. Na termometrach 40 st. C. Temperatura nie sprzyja głodowi, ale w końcu wyciągamy z luków jakieś zasoby, coś tam nawet podgrzewamy na gazowych palnikach (Na granicy! Ale jest rozległa i widok koczujących przy garnkach podróżnych zdaje się służbom syryjskim nie przeszkadzać). Staram się jako opiekun naukowy wyprawy uzyskać audiencję u tego najważniejszego. Jestem dla Arabów powietrzem. Nikt ze mną nie chce rozmawiać, ustalam tylko, że skrzynie ze szkłem z Huty Żąbko-

wice zostały przyjęte i rozparcelowane pomiędzy pomniejszych urzędników, celnicy palą Marlboro i mają nawet przyjemny wyraz twarzy. Po długiej sjeście wychodzi do nas człowiek w galabiji i arafatce, ogląda worki, patrzy w nasze paszporty i... wkłada w nich wizę syryjską! Macha ręką – możecie jechać. Po ośmiu godzinach na granicy wjeżdżamy do Syrii. Nawiasem mówiąc, po powrocie do kraju czytam informację, że naukowej wyprawie francuskiej udało się w tym samym 1990 roku pokonać tę granicę w czternaście godzin, co poczytują sobie za sukces. Czyż nie pięknie?

Zatem w drogę ku Palmyrze

Pierwszy postój w Aleppo. Syryjskie temperatury są znacznie wyższe niż w gorącej przeciw Turcji. Jednak doskwiera nie tylko to, ale głównie suchość powietrza i monotonia krajobrazu. No i to coś, wciąż słabo opisywane przez antropologów... polityczno-społeczny klimat? A w Syrii w tym czasie ów klimat jest ołowiany. Czujemy to podskórnie, a przynajmniej ja tak to odbieram. W Aleppo życie toczy się niby zwykłym trybem, ale na twarzach ludzi nie ma radości. Idziemy na suk, dziewczyny wkładają długie do kostek suknie, nakrywają głowy; nie chcemy prowokować, przestudiowaliśmy podstawy miejsca kobiety w kulturze islamu. I chociaż dobrze wiemy też, choćby dzięki proksemicznemu studiom Edwarda Halla (*Ukryty wymiar*), że Bliski Wschód to kultura także bliskiego kontaktu, szok kulturowy jest znaczny. Syryjskie dzieci przylepiają nosy do szyby, kiedy przebieramy się w autobusie, a tuż po wyjściu z niego w kilka minut zbiera się za nami gęstniejący tłum mężczyzn, którzy chwytają za nasze sukienki, dotykają rąk i piersi. Uliczki suku (targu) są bardzo wąskie, na 45-60 cm. W nozdrza uderzają egzotyczne zapachy ziół, towary sprzedawców rozłożone bezpośrednio na zasłanej dywanami ziemi, służące za główny tu transport osły wręcz depczą nam po nogach, nie ma gdzie uskoczyć, przed oczami tysiące „skarbow Wschodu”: mydło, balsamy, tkaniny, dywany, a za nami... coraz dłuższy szpaler tubylców, którzy chcą nam się przyjrzeć z bliska. I dotknąć. Badanie kultury obcej, choćby nawet tylko w obserwacji uczestniczącej, okazuje się nie lada wyzwaniem. W 1990 roku, kiedy zwiedzamy Aleppo, turystów nie ma tam w ogóle (jego stare zabytkowe centrum zostało wpisane na listę zabytków UNESCO dopiero w 2013 r., podobnie reszta inne, ogłoszone przez nas stanowiska). W terenie o wiele łatwiej zrozumieć Malinowskiego czy Turbulla. Osaczeni, wchodzimy coraz głębiej w kręte uliczki miasta, gubimy się w jego zakamarkach, ale rozsądnie trzymamy się razem. To było więcej niż dawały podręczniki, niż podpowiadała własna – i tu się okazało, jakże europejska – wyobraźnia. Kiedy czytasz o dystansach w kulturze, w ogóle nie rozumiesz, jak to wygląda w terenie. Tak czy inaczej prawdziwy Wschód zaczyna się w Syrii. Ma całkiem inne sensarium, wystawiające Europejczyków na poważną próbę. Spanikowani, odnajdujemy w końcu nasz autokar. Nieopodal, na spalonym w słońcu trawniku, razem z naszą koleżanką, która zrezygnowała z wejścia do starego miasta z powodu złej w tym dniu kondycji, siedzą w kole alepiańskie dzieci, śpiewają i wraz z Iwoną klaszczą w ręce. Szok i olśnienie, wiemy jednak na pewno, że rozdawanie cukierków „oprowadzającym” nas po swoim interiorze mężczyznom nie dałoby tych samych efektów.

Po nocnym przejeździe z Aleppo i pokonaniu 5555 kilometrów stajemy wreszcie w wrót Pustyni Syryjskiej, w Tadmur, czyli starożytnej Palmyrze.

Cdn.

Dr hab. Dobroslawa Węzowicz-Ziółkowska, prof. UŚ, Uniwersytet Śląski, Instytut Nauk o Kulturze

Wit Grzesik

Cytowalność w świecie

Porównanie za okres 2019-2021 na podstawie rankingu World's TOP2% Most Influenced Scientists

W związku z szerszym rozpowszechnieniem rankingu TOP2% powinna powrócić dyskusja nad dopuszczeniem do większych uprawnień naukowych osób ze stopniem naukowym doktora, które znalazły się w rankingu, w tym nad koniecznością dopuszczenia ich do większej samodzielności w badaniach.

Cytowania są obecnie ważnym wskaźnikiem jakości i wydajności pracy naukowej, a także jej dostrzegalności i znaczenia w świecie naukowym. Są przykładem oceny jakości przez ilość. Ponieważ liczba artykułów naukowych wzrasta corocznie w dużym stopniu, nowe artykuły o potencjalnie ważnym wkładzie w danej dyscyplinie nie znajdują należytej uwagi wskutek stopniowego procesu rozproszenia. Wobec dynamicznego wzrostu cytowań w wiodących dziedzinach/dyscyplinach naukowych wybór referencyjnych publikacji staje się zadaniem bardzo trudnym i z tego względu znalezienie się w rankingu World's TOP2% Most Influenced Scientists jest traktowane jako niezwykle prestiżowe. Osoby wykazane w światowym rankingu TOP2% są traktowane, i to nie bez powodu, jako mające największy wpływ na rozwój nauki w określonej dyscyplinie. Z tego powodu są honorowane przez uczelnie i instytuty naukowe, w których pracują – niektóre z nich zamieszczają w Internecie specjalne galerie promujące swoich liderów naukowych. Polska nie jest tu wyjątkiem, chociaż niewielki ilościowy udział w światowym challenge'u naukowym, raczej symboliczny, powoduje, że wiedza na ten temat nie jest powszechna. W przypadku początkowego okresu rozwoju kariery naukowej miarodajnym źródłem informacji są z pewnością wyniki rankingu TOP2% w kategorii cytowań rocznych (author's singleyr), z których korzystałem w wyborze danych przybliżających kryteria i warunki znalezienia się w tej kategorii rankingu. Są w nim w większości także naukowcy z długoletnim stażem naukowym zamieszczeni w rankingu TOP2% w kategorii kariery naukowej, czyli jedno nie wyklucza drugiego, a raczej wykazuje znaczną synergię.

W artykule przedstawiono wyniki cytowań naukowców z Polski w odniesieniu do całkowitej liczby cytowań i liczby rocznych cytowań indywidualnych (indeksu Hirscha wyznaczanego dla cytowań wykazanych za dany rok) obejmujących wszystkich naukowców ujętych w rankingu TOP2% w kategorii cytowań rocznych za okres 2019-2021. Porównawczy charakter opracowania ma za zadanie przybliżyć osiągnięcia polskich naukowców w okresie trzech lat od wprowadzenia zmian ustawowych (wejścia w życie Konstytucji dla Nauki 2.0, która przyczyniła się do wzrostu zainteresowania polskich naukowców cytowa-

niami w sposób systemowy. Cykl artykułów poświęcony obecnemu stanowi polskiej nauki i ocenie możliwości jej rozwoju w obecnych warunkach społecznych i ekonomicznych ma też za zadanie przybliżenie młodym naukowcom, którzy ambitnie rozwijają zaplecze badawcze i starają się prowadzić oryginalne badania naukowe, warunki i kryteria gwarantujące znalezienie się w tym prestiżowym rankingu. A jak wskazano powyżej, nie jest to zadanie łatwe z powodu dynamicznego wzrostu liczby cytowań i prowadzenia badań o zbliżonej tematyce przez liczne ośrodki naukowe w świecie. W takich przypadkach zwykle decyduje jakość, czyli jak największa liczba cytowań indywidualnych.

Metodyka analiz i ocen porównawczych

W artykule do oceny pozycji polskich naukowców w świecie naukowym w kategorii cytowań indywidualnych za okres 2019-2021 wykorzystano zasadniczo dwa wskaźniki bibliometryczne, a mianowicie indeks h odniesiony do kolejnych lat bez i z autocytowaniami (h19(ns) i h19, h20(ns) i h20 oraz h21(ns) i h21) oraz całkowitą liczbę cytowań bez i z autocytowaniami (nc19(ns) i nc19, nc20(ns) i nc20 oraz nc21(ns) i nc21), śledząc ich zmiany w trzech kolejnych latach.

Porównanie osiągnięć naukowców polskich na tle danych światowych

W tab. 2 zamieszczono dane odniesione do liczby cytowanych osób (nc(ns)) w przedziałach wartości liczbowych cytowań wg danych źródłowych dostępnych w bazach rankingu TOP2%.

Praktyczne wnioski z analizy danych z tab. 2 są następujące:

- Zasadniczo przedziały największej liczby cytowań dla całego rankingu i Polski dotyczą zakresu 100÷499, chociaż w rankingu dla całego świata są to także wyższe przedziały 500÷999 i 1000÷4999. Taki trend jest wyraźnie obserwowany w przedziale liczby cytowań 1000÷4999 i powyżej, w którym liczba naukowców z Polski jest już znikoma. Jest to istotna informacja o preferencjach w wyborze źródeł cytowań, a przez to ważności wpływu polskiej nauki na rozwój nauki w skali światowej;

- Średnie wartości liczby cytowań indywidualnych odniesione do całego rankingu i Polski znacznie się różnią: dla Polski to

Tab. 1. Lista wskaźników bibliometrycznych, które wykorzystano do oceny pozycji polskich naukowców w świecie naukowym w kategorii cytowań indywidualnych za okres 2019-2021 (opracowanie własne)

Symbol	Nazwa angielska	Odpowiednik polski
h19/20/21 (ns)	h-index as of end– 2019/2020/ 2021(self-citation excluded)	h-indeks na koniec 2019/2020/2021 r. bez autocytowań
h19/20/21	h-index as of end– 2019/2020/2021	h-indeks na koniec 2019/2020/2021 r.
nc19/20/21(ns)	total cites to authored papers (self-citation excluded) in 2019/2020/ /2021	łącna liczba cytowań artykułów w 2019/2020/2021 r. (bez autocytowań)
nc19/20/21	total cites to authored papers in 2019/2020/2021	łącna liczba cytowań artykułów w 2019/2020/2021 r.
cprat(ns)/ cprat	ratio of total citations to distinct citing papers (ns– self-citation excluded)	stosunek całkowitej liczby cytowań do liczby najczęściej cytowanych publikacji (bez/z autocytowaniami)

Tab. 2. Zestawienie liczby cytowanych osób w odniesieniu do wybranych przedziałów liczby cytowań wg danych źródłowych (opracowanie własne autora).

Przedział wartości	Ogólnie w rankingu			Dane dla Polski		
	nc19(ns)	nc20(ns)	nc21(ns)	nc19(ns)	nc20(ns)	nc21(ns)
powyżej 10,000	584	1461	761	2	5	3
5000 ÷ 9999	2476	4769	2708	7	13	9
1000 ÷ 4999	44663	67551	46168	72	142	86
500 ÷ 999	50639	58993	57536	144	245	172
100 ÷ 499	60758	55132	87901	488	576	677
50 ÷ 29	1703	1566	3957	47	38	82
poniżej 50	618	590	1165	13	9	19
średnia nc(ns)	1008,4536	1295,9947	908,5346	569,1976	753,0662	539,6721
suma	161442	190064	200197	774	1028	1047

Tab. 3. Zestawienie liczby osób w odniesieniu do wartości indeksu h wg danych źródłowych (opracowanie własne autora).

Przedział wartości	Ogólnie w rankingu			Dane dla Polski		
	h19(ns)	h20(ns)	h21(ns)	h19(ns)	h20(ns)	h21(ns)
powyżej 50	172	483	188	1	2	2
40 ÷ 49	569	1196	492	2	3	2
30 ÷ 39	2399	4930	2541	0	10	5
20 ÷ 29	14934	27048	13852	21	43	22
15 ÷ 19	34180	44536	30624	54	102	52
10 ÷ 14	65420	72268	77899	208	372	261
5 ÷ 9	44921	37654	70329	448	463	634
poniżej 5	1987	1948	4271	39	32	168
średni h	12,9883	14,5931	11,9753	9,3514	10,7126	8,9617
Liczba osób	161442	190064	200197	774	1028	1047

odpowiednio 56,44%, 58,15% i 59,40% dla kolejnych lat 2019, 2020 i 2021 uwzględnionych w analizie porównawczej. Dane te świadczą o znacznie mniejszej atrakcyjności cytowań polskich naukowców. Poniżej ta sugestia będzie wsparta także liczbowo i procentowo w odniesieniu do liczby cytowań bez autocytowań i jej całkowitej liczby zarejestrowanej w bazach danych rankingu TOP2%.

W tab. 3 zamieszczono dane odnoszące się do wartości indeksu h za kolejne lata (h(ns)) w kilku wybranych przedziałach liczby cytowań według danych źródłowych dostępnych w bazach rankingu TOP2%. Praktyczne wnioski są następujące:

– Zasadniczo przedziały największej liczby cytowań dla Polski dotyczą zakresu 5-9, natomiast dla całego rankingu jest to wyższy przedział 10÷14, ale zauważalnie także 15÷19. Taki trend jest wyraźnie obserwowany w przedziale liczby cytowań 20÷29 i powyżej, w którym liczba naukowców z Polski jest już znikoma. Jest to również istotna informacja o ważności wpływu polskiej nauki na rozwój nauki w skali światowej. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że są to „osoby wyznaczające nowe kierunki rozwoju nauki w świecie”. W Polsce jest ich kilka, głównie z medycyny;

– Średnie wartości liczby cytowań w stosunku do liczby osób ujętych w rankingu wyznaczone dla całego rankingu i Polski znacznie się różnią: dla Polski to odpowiednio 57,88%, 45% i 60,55% dla kolejnych lat 2019, 2020 i 2021 uwzględnionych w analizie porównawczej. Dane te świadczą o znacznie mniejszej atrakcyjności cytowań polskich naukowców, a tym samym o poziomie oryginalności nowych publikacji naukowych. W dużym stopniu mają one charakter naśladowczy i odtwórczy, ale z jakimś elementem oryginalności (czy przyczynku do rozwoju wiedzy). Poniżej ta sugestia będzie wsparta także liczbowo i procentowo w odniesieniu do liczby cytowań bez autocytowań i jej całkowitej liczby z autocytowaniami zarejestrowanych w bazach danych rankingu TOP2% (tab. 4);

– Zarówno w skali światowej, jak i krajowej można zauważyć tendencję wzrostu w kolejnych latach liczby osób z przedziału mniejszych wartości indeksu h = 5÷9 i nawet poniżej 5. Może to świadczyć o wspomnianych trudnościach w wyborze artykułów referencyjnych, ale także w pewnym stopniu o narzucaniu tego wyboru przez bardzo aktywne, wieloosobowe grupy stojące na większą skalę autocytowania (jest to oddzielny temat,

Tab. 4. Zestawienie całkowitej liczby cytowań rocznych wg danych źródłowych (opracowanie własne autora).

Wskaźnik/rocznik	2019	2020	2021
nc(ns) – cały ranking	162805762	246320640	181884944
nc(ns) – Polska	440559	773399	564497
Udział % Polski	0,271	0,314	0,310
nc – cały ranking	185370816	278398440	205522300
nc – Polska	558359	960980	696581
Udział % Polski	0,301	0,345	0,339

który jednak jest istotny – szczegóły znajdzie czytelnik w tab. 4 z zestawieniem danych bez i z autocytoowaniami).

Z danych zestawionych w tab. 4 wynikają następujące wnioski o charakterze ogólnym:

- Udział naukowców z Polski w analizowanym okresie mieści się w granicach 0,3%, jeśli usunie się autocytoowania, i jest o ok. 0,03% większy, jeśli doda się autocytoowania;

- Przyrost liczby cytowań w przypadku uwzględnienia autocytoowań wynosi w kolejnych latach 21,1%, 19,52% i 19%, co jest zasadniczo zgodne z wartością udziału autocytoowań w % (indeksu self%), np. 18,14% w 2021 r.

Komentarze do osiągnięć instytucjonalnych w grupie uczelni i instytutów naukowo-badawczych

Na podstawie danych z rankingu TOP2% w kategorii cytowań rocznych można ustalić inne ważne fakty o charakterze ilościowym i jakościowym:

- W grupie uczelni technicznych największą liczbę cytowań wykazały AGH (15857), Politechnika Gdańska (15533) i Politechnika Wroclawska (13129), z tym że Politechnika Gdańska ma wykazaną największą średnią liczbę cytowań na osobę – 431. Dla pozostałych to przedział 200÷400;

- W grupie uniwersytetów największa liczbę cytowań wykazały Uniwersytet Warszawski (26633) i Uniwersytet Jagielloński (25099), natomiast Uniwersytet Gdański i Uniwersytet Warszawski mają wykazaną największą średnią cytowań na osobę – odpowiednio 726 i 650. Dla pozostałych to przedział 300÷550, ale w większości podobny jak dla uczelni technicznych;

- W grupie uniwersytetów medycznych pierwszoplanowa rola przypada UM we Wrocławiu (34538), UM w Łodzi (23258) i Kolegium Medycznemu UJ (20359), z tym że UM we Wrocławiu wykazał najwyższą średnią liczbę cytowań na osobę – 2032 (choć osiągnięcie zawdzięcza jednej osobie). Kolejne trzy mają średnią liczbę cytowań około 1000 i powyżej: UM w Łodzi (1292), UM Gdańsk (1060) i Kolegium Medyczne UJ (969). Ilościowo uczelnie medyczne wyprzedzają wyraźnie pod tym względem uniwersytety i uczelnie techniczne;

- Instytuty naukowe PAN i badawcze wykazały całkowitą liczbę cytowań porównywalną z uczelniami technicznymi.

Uwagi do zasadności stosowania ekwiwalentnych wskaźników bibliometrycznych

Interesującą informacją z pozycji jakości cytowań jest liczba cytowań odniesiona do stosunku całkowitej liczby cytowań do liczby najczęściej cytowanych publikacji (wskaźnik $cprat(ns)$ bez autocytoowań i $cprat$ z autocytoowaniami). Średnie wartości tych wskaźników dla Polski to 1,33 i 1,53. Natomiast dla całego rankingu to odpowiednio 1,30 i 1,40. Choć różnice nie wydają się duże (dominują wartości w przedziale 1,1 ÷ 1,3), to jednak skala najczęściej występujących wartości tych wskaźników bibliometrycznych też może wskazywać na mniejszą popularność artykułów z Polski, jako referencyjnych. Tym niemniej trudno jest kontrolować wszystkie wskaźniki bibliometryczne, jednak ich znajomość i przewidywanie możliwych oddziaływań na jakość

publikacji ma duże znaczenie w znalezieniu się w prestiżowym rankingu TOP2%. Ważnym problemem wydaje się klarowna strategia badań w danej dyscyplinie, która decyduje o wyborze przez naukowca problemu badawczego przez uwzględnienie czynników, które na tę decyzję mają istotny wpływ. Jest rzeczą oczywistą, że rozwój kariery naukowej wymaga utrzymania ciągłej i niezawodnej wydajności publikacyjnej, która zazwyczaj jest osiągalna przez stopniowy wkład umożliwiający ustalenie optymalnych kierunków badań. W tym przypadku pojawiają się liczne uwagi krytyczne co do stosowalności indeksu h jako metryki oceny naukowej. Dotyczą one nie tylko braku uwzględnienia rzeczywistej liczby cytowań poza ($N - h$), wpływu stosowanych narzędzi do zarządzania danymi bibliometrycznymi, silnej zależności od długości kariery naukowej, ale przede wszystkim wyraźnymi różnicami w jego estymacji, gdy stosuje się różne bazy danych, tj. Google's Google Scholar (GS), Elsevier's Scopus, Clarivate Analytics' Web of Science (WoS) oraz akademicki portal społecznościowy (academic social networking site) (ASNS) – ResearchGate (RG). Ten ostatni problem został zasygnalizowany w artykule J.G. Foster, A. Rzhetsky, J.A. Evans, *Tradition and innovation in scientists' research strategies*, „American Society Review”, 2015, Vol.80, 875–908 i rozwinięty w artykule J.A. Teixeira da Silva, J. Dobránszki, *Multiple versions of the h-index: cautionary use for formal academic purposes*, „Scientometrics”, 2018, Vol. 115, 1107–1113. Między innymi, proponuje się stosować indeks (top10% most-highly cited papers) określający liczbę 10% artykułów o największej cytowalności lub normalizowane (nieparametryczne) wskaźniki procentowe i kwantyle.

Podsumowanie

W związku z szerszym rozpowszechnieniem rankingu TOP2% powinna powrócić dyskusja nad dopuszczeniem do większych uprawnień naukowych osób ze stopniem naukowym doktora, które znalazły się w rankingu World's TOP2% Most Influenced Scientists, w tym nad koniecznością dopuszczenia do większej samodzielności w badaniach, większego udziału w gremiach eksperckich i doradczych, recenzowania wniosków o finansowanie badań naukowych, **prowadzenia tzw. doktoratów wdrożeniowych** (ponieważ trafnie określili priorytet badawczy) oraz recenzowania prac doktorskich i habilitacyjnych, które według powszechnej opinii obniżyły swoją rangę i często poziom naukowy ze względu na daleko idący formalizm nieuwzględniający rzeczywistego wkładu naukowego, oparty na selektywnym doborze publikacji. Jak słusznie pisze J.S. Ołędzki (*Spory o model kariery*, „Forum Akademickie” nr 7-8, 2006, cytując ze zmianami): „Jest oczywiste, że model kariery ma polegać na zdobywaniu autorytetu w środowisku naukowym i społeczeństwie – autorytetu będącego odbiciem rzeczywistej wiedzy i osiągnięć”. Czy znalezienie się w prestiżowym rankingu TOP2% nie spełnia zawiązki tego kryterium? Czy należy czekać, aż miną lata największych zdolności twórczych i uzyska się pełne prawa akademickie?

Prof. dr hab. inż. Wit Grzesik, Katedra Technologii Maszyn i Materiałoznawstwa, Wydział Mechaniczny, Politechnika Opolska



Marek Wroński

Plagiatowe dopowiedzenia

Zdjęcie: pixabay

Dziś – tak samo jak pod koniec lat 90. – zabrakło przepisów oraz chęci zarówno instytucjonalnej, jak i indywidualnej do usuwania nierzetelnych naukowców ze środowiska akademickiego. Takie przypadki szybkiej reakcji uczelni zdarzają się w Polsce niezmiernie rzadko.

Miesiąc temu opisałem liczne naruszenia prawa autorskiego i fabrykowanie danych badawczych w książce dr. hab. Remigiusza Kijaka pt. *CripSex. Ekspresje seksualne osób z niepełnosprawnością intelektualną*, Oficyna Wydawnicza IMPULS, Kraków 2022 (*Pedagogika specjalna i „upośledzona” nauka*, FA 5/2023). W wydaniu internetowym artykułowi towarzyszy konkordancja odkrytych 157 zapożyczeń wykonana olbrzymim wysiłkiem pracy i czasu przez dr hab. Dorotę Krzemińską, profesora pedagogiki specjalnej z Uniwersytetu Gdańskiego.

Ku mojemu zaskoczeniu artykuł miał w internecie prawie 30 tys. wyświetleń, a sprawa ekstensywnego plagiatu doczekała się licznych dyskusji w mediach społecznościowych oraz w środowisku nauczycieli akademickich, w tym pedagogiki specjalnej. Wywołała oburzenie wielu osób, że tak poważnej nierzetelności naukowej dopuścił się znany wykładowca Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego (I etat) oraz Uniwersytetu Rzeszowskiego (II etat).

Sprawa była znana obydwu rektorom od początku marca. Po jej upublicznieniu wypadki jednak zaczęły się toczyć znacznie szybciej. Formalne oświadczenie wydał 25 maja rektor UW, prof. Alojzy Z. Nowak: „W związku z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej doniesieniami informujemy, że Uniwersytet Warszawski rozwiązał stosunek pracy z dr. hab. Remigiuszem Kijakiem, prof. ucz. Wszczęte wcześniej procedury dyscyplinarne są i będą kontynuowane. Uniwersytet Warszawski nie tolerował i nie będzie tolerował czynów uchybiających obowiązkom nauczyciela akademickiego lub godności zawodu nauczyciela akademickiego, w tym naruszania praw autorskich”. Tydzień wcześniej rektor Nowak poinformował mnie także, że 8 maja otworzono dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające, które prowadzi rzecznik dyscyplinarny UW, dr hab. Tomasz Piotr Kamiński z Zakładu Międzynarodowego Prawa Publicznego UW.

Z kulis toczących się rozmów Remigiusza Kijaka z kierownictwem Wydziału Pedagogicznego wiem, że jego rezygnacja została wymuszona oburzeniem współpracowników na tak wielką nierzetelność naukową i ich deklaracją, że nie widzą możliwości dalszej współpracy. Przepisy nie pozwalają rektorowi zwolnić nauczyciela akademickiego w trakcie semestru,

a zwłaszcza przed formalnym uznaniem winy, stąd rozwiązanie umowy o pracę w środku zajęć czy sesji musi być formalnie inicjatywą pracownika.

Zasadniczym wymogom rzetelności naukowej stało się zadość i nierzetelny naukowiec oraz nauczyciel akademicki opuścił „pokład nauki” Uniwersytetu Warszawskiego. Umowę z R. Kijakiem rektor UW skutecznie rozwiązał z końcem maja, a zatem od 1 czerwca plagiator nie jest pracownikiem uczelni, o czym poinformował redakcję Grzegorz Kołtuniak, dyrektor ds. pracowniczych UW. Chciałbym podziękować rektorowi Alojzemu Nowakowi za deklarację, że od tej chwili i inne przypadki poważnych nierzetelności naukowych będą przez kierownictwo uczelni traktowane poważnie i surowo. Jednak warunkiem jest wymóg, aby nominowani przez rektora rzecznicy dyscyplinarni mieli lwie, a nie gołębie serca dla oszustów naukowych.

Z Uniwersytetu Rzeszowskiego, gdzie dr hab. Remigiusz Kijak jest zatrudniony na drugim etacie jako kierownik Katedry Badań nad Niepełnosprawnością Instytutu Pedagogiki Kolegium Nauk Społecznych otrzymałem informację, że rektor Sylwester Czopek z dniem 1 czerwca br. odwołał Remigiusza Kijaka z funkcji kierownika Katedry oraz zawiesił w prawach nauczyciela akademickiego, polecając wszcząć postępowanie wyjaśniające. Ponieważ jego umowa o pracę była zawarta na czas określony, który upływa 30 września br., wątpliwe wydaje się, aby w obecnych okolicznościach została przedłużona.

Głos wydawcy oraz Teatru 21

Z kolei Oficyna Wydawnicza Impuls 26 maja br. opublikowała komunikat, że wydana przez nią książka dr. hab. Remigiusza Kijaka *CripSex. Ekspresje seksualne osób z niepełnosprawnością intelektualną* narusza prawa autorskie wielu osób. Stąd „wstrzymana została: promocja, dystrybucja książki i dostawa do bibliotek, by zminimalizować upowszechnienie plagiatu”. Co więcej, „decyzją kolegium wydawniczego posiadany nakład został zniszczony (spalony)”. Napisano też, że „Recenzenci wycofali recenzje książki. Nie spełnia ona podstawowych standardów publikacji akademickiej i nie może być wykorzy-

stywana w celach naukowych (cytowaniu, przypisach, bibliografii powstających, nowych prac)”. Podano link do artykułu w „Forum Akademickim” i do zamieszczonej konkordancji.

Jednak o ile wiem, swoje recenzje wydawnicze wycofali tylko formalni recenzenci Impulsu: dr hab. Marcin Wlazło z Uniwersytetu Szczecińskiego (dla którego wiadomość, iż to obszerny plagiat z elementami fabrykacji danych naukowych była olbrzymim wstrząsem i przykrością, gdyż znał autora jeszcze z jego czasów krakowskich) oraz dr hab. Beata Cytowska z Uniwersytetu Wrocławskiego. Pozostała dwójka, dr hab. Joanna Hańderek z Instytutu Filozofii UJ i dr hab. Remigiusz Rzyziński, nie zajmowała się pedagogiką specjalną. Zostali recenzentami „koleżeńskimi”. Oboje napisali hurrapozytywne opinie na osobistą prośbę autora. To pokazuje, że każdy recenzent zawsze powinien być „najpierw nieufny i sprawdzający, a dopiero później wierzący w rzetelność autora”.

I właśnie takimi recenzentkami okazały się dwie teatrolożki: mgr Justyna Lipko-Konieczna i dr Ewelina Godlewska-Byliniak z działu badawczo-wydawniczego Centrum Sztuki Włączającej Teatru 21 w Warszawie. 22 maja br. wydały one oświadczenie dotyczące monografii *CripSex*. Napisały: „Książkę tę (w maszynopisie – MW) autor przesłał nam jesienią 2022 roku, prosząc o objęcie jej patronatem Centrum Sztuki Włączającej / Teatru 21. Materiał, który otrzymaliśmy, miał w naszej ocenie bardzo roboczy charakter. Nie mogliśmy w związku z tym odnieść się do niego jako do gotowej książki, o czym poinformowaliśmy autora. Pytałyśmy go o możliwość przesłania – przed podjęciem przez nas decyzji – wersji książki po poprawkach wynikających z procesu recenzyjnego i redakcyjnego. Dowiedzieliśmy się, że jest to niemożliwe ze względu na napięty harmonogram prac wydawniczych. Nie mając w związku z tym czasu na pogłębioną lekturę i dysponując materiałem, który uznaliśmy za wersję nieostateczną, wskazaliśmy jednak na słabości merytoryczne związane ze sposobem użycia przez autora perspektywy performatywnej, jako że naszym podstawowym polem badawczym są studia dotyczące teatru i performansu. Zasugerowaliśmy również autorowi konieczność skierowania tekstu do obiektywnej recenzji u specjalistów zajmujących się tym obszarem. Nie odnosiłyśmy się do innych wykorzystanych przez autora metodologii. Otrzymałyśmy informację, że książka uzyskała już jednoznacznie pozytywną opinię recenzentów oraz patronaty innych instytucji. Ponieważ podchodzimy z dużą uwagą do naszej pracy wydawniczej, nie mogliśmy udzielić patronatu książce w takim kształcie, w jakim została nam ona przedstawiona. W związku z tym odmówiliśmy autorowi. Nie podejrzewaliśmy jednak, że praca może być plagiatem. Lektura dokumentu sporządzonego przez prof. Krzezińską była dla nas szokiem. Szczególnie dojmujące jest dla nas to, że ujawniona lista zapożyczeń wskazuje, że autor prawdopodobnie spreparował również przynajmniej część swojego materiału badawczego, który – mimo zastrzeżeń dotyczących sposobu wykorzystania metodologii – uznawałyśmy wtedy za ten aspekt książki, dzięki któremu może się obronić”.

Trzeba też dodać, że Zespół Teatru 21 w Warszawie, w którego przedstawieniu *Libido Romantico* brał udział Remigiusz Kijak, 22 maja zadeklarował, że ze względu na ujawnione naruszenia etyczne naukowiec „stracił dla nas wiarygodność jako badacz i sojusznik”. [...] „Dlatego zagrają bez niego, wyłącznie w składzie aktorów i aktorek Teatru 21”.

Wydanie książki zostało sfinansowane z funduszy własnych Wydziału Pedagogicznego UW. Moim zdaniem 6 tysięcy złotych, które ówczesna prodiak ds. nauki, prof. Anna Zielińska, na początku 2019 r. przyznała R. Kijkowi, powinny zostać od niego wyegzekwowane przez uczelnię, gdyż dofinansowana pozycja została wycofana i naruszyła dobre imię wydziału. Nic tak nie dyscyplinuje jak „uderzenie po kieszeni”.

Pogłębione wykopalisko

Dwa miesiące temu (*Plagiatowe wykopalisko w Toruniu*, FA 4/2023) opisałem sprawę dwóch plagiatów dr. Jacka Rakoczego, archeologa i prodiakana ds. nauki Wydziału Nauk Historyczno-historyczno-archeologicznych. Opisała ją piórem red. Piotra Żytnickiego poznańska „Gazeta Wyborcza” w artykule *Skandal w polskiej archeologii. Plagiator w radach prestiżowego instytutu*. Wynika z niego, że dopiero po kilkukrotnych zapytaniach redakcji GW w UAM i UMK dr Rakoczy 10 maja 2023 r. zrezygnował z członkostwa zarówno w Radzie Naukowej Polskiego Instytutu Archeologicznego w Atenach, jak i w Radzie Partnerów tej instytucji. Wcześniej władze rektorskie UAM nie widziały powodu, aby go odwoływać, a w regulaminach PIAWA podobno zabrakło takiej możliwości.

Do redakcji „Forum Akademickiego” napisał dr hab. Dominik Antonowicz, prof. UMK, znany badacz zagadnień szkolnictwa wyższego i jednocześnie dyrektor Uczelnianego Ośrodka Analiz Strategicznych UMK w Toruniu. Jest to zespół ekspertów (think tank), który doradza rektorowi w kwestii przyszłej polityki rozwoju uniwersytetu. Poinformował nas, że dr J. Rakoczy 27 kwietnia br. został odwołany przez rektora Andrzeja Sokalę z członkostwa w Zespole Merytorycznym UOAS. Dziękujemy, bo rzadko się zdarza, iż ktoś z opisywanej przez nas instytucji kontaktuje się z redakcją, aby poinformować o tego typu działaniach.

Ucieszyła mnie też wiadomość, że wydawca czasopisma naukowego „Acta Archaeologica Lodziensis” (rocznik), którym jest Łódzkie Towarzystwo Naukowe, już w połowie maja br. formalnie unieważnił poprzez opublikowanie noty retrakcyjnej (retraction notice) drugą plagiatową publikację dr. J. Rakoczego *Problematyka badań limesu dackiego w okolicy rzymskiego Fortu Bologna*, wydrukowaną w 2016 r. Autor przejął treść anglojęzycznego artykułu archeologów z Rumunii, z którymi od 2014 r. prowadził wspólne badania. Jeden z nich, dr Felix Marcu, dyrektor Muzeum Narodowego Historii Transylwanii (Cluj-Napoca), napisał do mnie, że latem 2019 r. zerwał współpracę z dr. Rakoczem, bo zorientował się, iż wykorzystuje on bez jego zgody ich materiały badawcze, do których dano mu pełny dostęp.

Natomiast w Toruniu władze UMK uważają, że retrakcję plagiatowego rozdziału będzie można zrobić dopiero po potwierdzeniu plagiatu przez rzecznika dyscyplinarnego, dr. hab. Pawła Nowickiego, prof. UMK, który po dwóch miesiącach od otwarcia postępowania wyjaśniającego jeszcze z nikim „zaangażowanym” w sprawę plagiatu się nie skontaktował. Wprawdzie formalnie czas na zakończenie tego postępowania wynosi 6 miesięcy, czyli do 24 września 2023 r., ale rzetelność instytucjonalna wymaga, aby to zrobić jak najszybciej, szczególnie że sprawa częściowo dotyczy także poważnego niemieckiego uniwersytetu.

Nawiasem mówiąc, rzecznik dyscyplinarny, prof. P. Nowicki, w swoim postanowieniu o otworzeniu postępowania wyjaśniającego z 23 marca 2023 r. wobec Jacka Rakoczego powołał się na rozporządzenie z 25 września 2018 r., które utraciło ważność 11 czerwca 2022 r., gdyż minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek wydał nowe. Sprawa dotyczy podstawy prawnej dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego, więc jest kluczowa. To nie pierwszy poważny uniwersytet, którego uczelniany rzecznik dyscyplinarny nie orientuje się w aktualnych przepisach prawa regulujących kwestie postępowania dyscyplinarnego.

Kolejny kamyczek do ogródka

Otrzymałem też list od magistra archeologii Artura Kurpiewskiego, który w latach 2007-2011 był doktorantem prof. Mariusza Mielczarka w Instytucie Archeologii UMK. Po skoń-

czeniu studiów doktorskich jeszcze przez trzy lata trochę pracował naukowo, mając nadzieję, że wreszcie skończy pracę doktorską, jednak z różnych względów życiowych nie przedstawił dysertacji do obrony. Poinformował mnie, że w 2014 r. uzgodnił z ówczesnym swoim kolegą uniwersyteckim Jackiem Rakoczy (który był już po obronie doktoratu), że napiszą wspólnie książkę-monografię pod tytułem „Materiały kultury przeworskiej z Perkowa na Kujawach”. Informację o stanowisku archeologicznym do przebadania z czasów rzymskich istniejącym w okolicach podtoruńskiej wsi Perkowo obaj otrzymali w 2012 r. od Romana Grabowskiego. Badania terenowe wykrywaczem metali z udziałem studentów i doktorantów były wykonywane w 2013 r. na obszarze ok. 20 hektarów pod kierunkiem dr. J. Rakoczego. Obaj przyszli współautorzy uzgodnili, że w książce część dotyczącą znalezisk zapinek (fibule) z brązu i ich fragmentów (razem 252 eksponaty) opíše A. Kurpiewski, zaś szczegółowy opis czterdziestu odkrytych monet (z tabelami) miał wykonać dr Rakoczy jako wytrawny numizmatyk. On także miał zapewnić fundusze na druk książki (z grantu NPRH dotyczącego znalezisk monet rzymskich na terenie Polski nr 0047/NPRH2/H11/81/2012) i dopilnować wydania książki. Swoją część pracy mgr A. Kurpiewski wysłał 16 października 2014 r. Jakie było jego zdumienie, gdy po półtora roku wydrukowana książka trafiła na wiośnię 2016 r. w jego ręce. Odkrył, że dr Jacek Rakoczy w dużej części nie wywiązał się z umowy dokładnego opisanie monet i jego wkładem współautorskim był zaledwie trzystronicowy ich spis. Część wykonana i napisana przez A. Kurpiewskiego wypełniła ponad 90% tekstu monografii, która miała objętość 118 stron. Czysty tekst to 56 stron, a pozostała reszta to rysunki i zdjęcia odnalezionych przedmiotów.

Natomiast oburzył go bardzo odkryty na początku 2023 r. fakt wydrukowania przez dr. J. Rakoczego artykułu pt. *Zapinki prowincjonalnorzymskie odkryte na stanowisku 30 w Perkwie na Kujawach*. Publikacja ta widnieje w roczniku naukowym „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Archeologia” (tom XXXV, 2017, str. 25-40), którego redaktorem naczelnym jest dr hab. Jacek Gackowski, profesor w Instytucie Archeologii UMK. Merytoryczna zawartość pracy została całkowicie przejęta (wraz z rysunkami i mapą) z części monografii napisanej wyłącznie przez A. Kurpiewskiego, ale jego nazwisko zostało pominięte, co jest wysoce nierzetelne, biorąc pod uwagę opisane powyżej kulisy powstania monografii. W związku z powyższym zwracam się do prof. J. Gackowskiego o unieważnienie (retrakcję) tej pracy z powodu autoplgiatu i pominięcia nazwiska głównego współautora.

Konsekwencje po 5 retrakcjach

W marcu 2023 r. opisałem sprawę nierzetelności naukowych popełnionych w pięciu artykułach poglądowych wydrukowanych w kwartalniku „Postępy Mikrobiologii” (*Pięć retrakcji*, FA 3/2023). Główni autorzy unieważnionych publikacji, dr hab. Sebastian Gnat, prof. UP oraz dr wet. Dominik Łagowski, pracowali w zespole kierowanym przez prof. dr hab. Anetę Nowakiewicz, kierownika Zakładu Mikrobiologii Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Ona również była współautorką tych publikacji. Dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające zostało wszczęte 7 lipca 2022 r. postanowieniem rektora UP, prof. Krzysztofa Kowalczyka, a nie rzecznika dyscyplinarnego, jak tego wymagają przepisy. W mojej opinii, stanowi to poważne naruszenie prawa i praktycznie powoduje, że rzecznik dyscyplinarny, prof. Mariusz Florek, wszystkie swoje czynności przeprowadził bez podstaw prawnych, w związku z czym są one nieważne z mocy prawa. Prof. Florek umorzył postępowanie wyjaśniające wobec prof. A. Nowakiewicz, biorąc pod uwagę tylko jeden nierzetelny artykuł, a nie

pięć, jak powinien. Skierował do rektora UP wnioski o ukaranie upomnieniem dr. Dominika Łagowskiego, a 27 lutego 2023 r. skierował do Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej wniosek o postępowanie dyscyplinarne wobec dr. hab. Sebastiana Gnata. Rzecznik zażądał w nim ukarania obwinionego naganą z powodu przywłaszczenia sobie autorstwa fragmentów tekstu i wprowadzenia w błąd co do autorstwa elementów graficznych cudzego utworu.

Przewodniczący UKD prof. Krzysztof Tomczuk też nie zauważył braku podstawowego dokumentu, jakim jest postanowienie rzecznika dyscyplinarnego (a nie rektora!) o otwarciu postępowania wyjaśniającego. Postępowanie dyscyplinarne otworzono 6 marca 2023 r. Powołano zespół orzekający w składzie: przewodniczący prof. dr hab. Krzysztof Tomczuk, członkowie: dr hab. Grażyna Zawiślak, prof. dr hab. inż. Paweł Sobczak, dr hab. Sylwia Okoń, prof. UP, dr hab. Urszula Złotek prof. UP, mgr Adam Grdeń – przedstawiciel doktorantów oraz Julia Darowicka – przedstawicielka studentów. Datę pierwszej rozprawy wyznaczono na 19 kwietnia 2023 r. Nie odbyła się ona z powodu nieobecności obwinionego. Okazało się też, że prof. Gnat zawiadomienia o rozprawie nie odebrał. Do 17 kwietnia br. przebywał na zwolnieniu lekarskim. UKD wyznaczyła następne posiedzenie na 17 maja 2023 r., ale ono także się nie odbyło. Zapewne kolejne, wyznaczone na połowę czerwca, też nie ma szans się odbyć. Pewnie po wakacjach całość postępowania dyscyplinarnego – łącznie z wyjaśniającym – należy unieważnić i nowy rzecznik pracę powinien wykonać od nowa.

Umowa o pracę dr. wet. Dominika Łagowskiego, który 3 lutego 2023 r. został ukarany upomnieniem przez rektora Kowalczyka, była zawarta na czas określony i wygasła z końcem lutego. Nie przedłużono jej, co spowodowało, że przestał być pracownikiem UP w Lublinie i stracił stypendium ministra nauki i edukacji dla młodych wybitnych naukowców (przyznane w listopadzie 2021 r. na okres 3 lat) w wysokości ok. 5400 zł miesięcznie. Aczkolwiek przyznawane jest imiennie, to powiązane jest z konkretną uczelnią, której rektor składa wnioski w tej sprawie. Brak zatrudnienia dr. Łagowskiego na UP w Lublinie spowodował dla niego utratę 22 miesięcy stypendium o wartości ok. 118 tys. złotych.

Dr hab. Sebastian Gnat jest z kolei na rocznym urlopie dla poratowania zdrowia, co jednak nie chroni przed postępowaniem dyscyplinarnym.

Komentarz

Całość kroków dyscyplinarnych wobec trójki nauczycieli akademickich ze względu na naruszenie prawa przez rektora i rzecznika dyscyplinarnego UP w Lublinie musi się zacząć od nowa. Potrzebny jest na uczelni kompetentny prawnik. Swoją drogą, zarówno prof. Florek, jak i prof. Tomczuk, ze względu na zajmowane stanowiska, odpowiednio rzecznika dyscyplinarnego i przewodniczącego Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej, powinni znać podstawowe przepisy prawne dotyczące tej materii. Powołanie siedmioosobowego zespołu orzekającego do rozpatrzenia na rozprawie dyscyplinarnej wniosku rzecznika o karę nagany jest niepoważne i bezprawne. W dodatku prof. Tomczuk postawił siebie na czele składu orzekającego, mimo że dr hab. Sebastian Gnat jest jego młodszym kolegą z tego samego wydziału, a to oznacza, że pojawia się jednoznaczny konflikt interesów. Takich „wybryków prawnych” na wielu uczelniach jest mnóstwo i na ogół przechodzą one bez żadnych uwag, gdyż zwykle brakuje odważnych i kompetentnych osób, które by zauważały naruszenia prawa i miały odwagę zwrócić rektorowi uwagę, że popełniono błąd.

Marekwo@gmail.com

Grzegorz Bartosz

Meandry tytułomanii

Jak tytułować doktora habilitowanego, który ciągle jest zatrudniony na stanowisku adiunkta? „Panie doktorze” byłoby niestosowne jako negowanie habilitacji; mówi się więc zwyczajowo także „panie profesorze”, choć osoba bardziej wrażliwa może odebrać taką formę jako przytyk, że ciągle jest adiunktem.

Próbując wytłumaczyć zagranicznemu stypendyście zawiłości polskiego systemu stopni, tytułów i stanowisk w nauce, sam ugiąłem się pod ciężarem jego złożoności i osobliwości jego logiki. Jednym z najbardziej zdumiewających pomysłów dotyczących tego systemu jest użycie jednego terminu w dwu zupełnie różnych znaczeniach. Chodzi mi o termin „profesor”, będący w jednym z tych znaczeń zaszczytnym dożywotnim tytułem naukowym wieńczącym ścieżkę kariery naukowej, nadawanym przez Prezydenta RP. Dawnymi czasy (mało kto już je pamięta) były dwa takie tytuły: profesora nadzwyczajnego i ostatecznie profesora zwyczajnego, oba nadawane przez przewodniczącego Rady Państwa. Mnóstwo było żartów na ten temat, bo przecież choć te terminy mają swoje uzasadnienie i obce odpowiedniki, w języku potocznym „nadzwyczajny” to coś znacznie cenniejszego niż „zwyczajny”, a w hierarchii naukowej odwrotnie. Równocześnie jednak termin „profesor” funkcjonuje w drugim znaczeniu, jako stanowisko zajmowane w uczelni lub instytucji badawczej. Historia nazw tego stanowiska też jest bogata.

Warto przypomnieć, że przed rokiem 1987, a w instytutach naukowych jeszcze dłużej (do 2010 r.) istniało stanowisko docenta, przyznawane doktorom habilitowanym, ale począwszy od 1968 roku także doktorom niemającym habilitacji, w zamian za to wykazującym się odpowiednią „postawą ideologiczną” czy daleko idącym konformizmem („docenci marcowi”). Wysyp „marcowych docentów” poważnie zdewaluował to stanowisko w naszym kraju. Stanowisko docenta było niższe od stanowisk kolejno profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego; zatrudnianie na tych stanowiskach korelowało z uzyskaniem początkowo odpowiednich tytułów profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego, potem zaś (po zniesieniu dwu tytułów profesorskich i zastąpieniu ich jednym) stanowisko profesora nadzwyczajnego z uzyskaniem stopnia doktora habilitowanego, a stanowisko profesora zwyczajnego z uzyskaniem tytułu profesora. Ze względu na lokalne przepisy, a czasami względy pozamerytoryczne ta korelacja nie zawsze była idealna. W 2018 r. stanowiska profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego zostały zastąpione przez stanowiska profesora uczelni (instytutu) i profesora. Wprawdzie dla osób niewtajemniczonych stanowisko profesora uczelni wydaje się bardziej znaczące niż stanowisko profesora (analogicznie jak ministra czegoś tam niż ministra bez teki), ale to niepo-

rozumienie można przecież każdemu niezorientowanemu wytłumaczyć. Wydawać by się mogło, że to ustalenie ostatecznie reguluje „kwestię profesorską”. Owszem, ale w sposób daleki od doskonałości.

Skróty przed i po

„Zgodnie z dobrym obyczajem”, jak to formuluje Encyklopedia PWN, jedynie osoby posiadające nadany przez Prezydenta RP tytuł profesora mają prawo posługiwać się tytułem „profesor” i umieszczania skrótu „prof.” przed nazwiskiem w oficjalnych dokumentach. Osoba zatrudniona na stanowisku profesora uczelni winna podpisywać się „dr hab. X.Y, prof. (tu nazwa czy skrót uczelni lub instytutu). Jak jednak zwracać się do osoby nieposiadającej tytułu profesora, a zatrudnionej na stanowisku profesora? Doktorze habilitowany? To długie, niezręczne i w opinii osób z nauką niezwiązanych wręcz śmieszne. Mówimy więc „panie profesorze/pani profesor” i to tytułowanie stało się obecnie synonimem posiadania stopnia doktora habilitowanego (bo osoby mające ten stopień zatrudniane są z reguły na stanowisku profesora uczelni czy instytutu), a nie tytułu profesora, co deprecjonuje tytuł naukowy. Osoba niebędąca profesorem tytularnym, dbająca o „dobry obyczaj” winna po zwróceniu się do niej „panie profesorze” w zasadzie sprostować „jestem tylko doktorem habilitowanym”. Chociaż dla czego osoby zatrudnione na stanowisku profesora uczelni miałyby ciągle się tłumaczyć? Są przecież profesorami ze względu na zajmowane stanowisko, a dwuznaczność terminu nie jest ich winą, lecz systemu.

A jak tytułować doktora habilitowanego, który ciągle jest zatrudniony na stanowisku adiunkta? „Panie doktorze” byłoby niestosowne jako negowanie habilitacji; mówi się więc zwyczajowo także „panie profesorze”, choć osoba bardziej wrażliwa może odebrać taką formę zwrócenia się do niej jako przytyk, że ciągle jest adiunktem. A jak pogratulować profesorowi uczelni uzyskania tytułu profesora? „Panie profesorze, gratuluję, że został pan profesorem”? Trochę nielogiczne. „Ze został pan prawdziwym profesorem”? Nieco ironiczne. Na szczęście w praktyce ten problem, jeśli występuje, to tylko w formie niezamierzonego faux pas, zwykle gratulujemy uzyskania tytułu naukowego lub sytuacja wprowadza z konieczności element humoru. W żadnym jednak razie osoby będące profesorami uczelni/instytutu nie powinny podpisywać się „prof. dr hab”, co niestety czasami się zdarza.

Piękna dekoracja

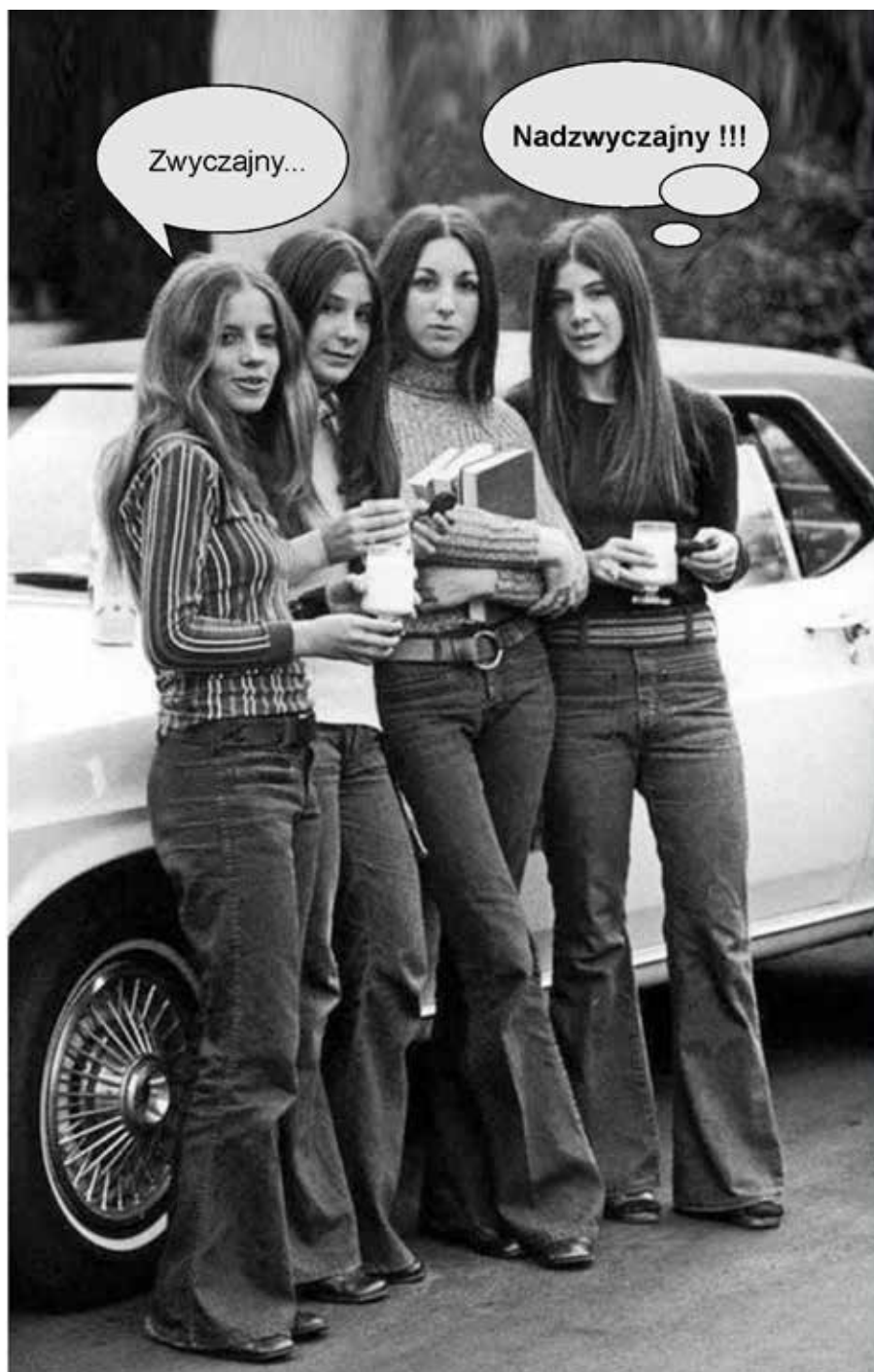
Wszystko to nie usuwa jednak problemu braku logiki, nierecznego we wszelkich przypadkach tytułomanii, np. w wojsku. Dla przykładu, kontradmirał nie jest przecież przeciwnikiem admirała, co sugerowałoby brzmienie tego słowa, a tylko niższym stopniem w hierarchii tytułów marynarki wojennej, generał (tylko „generał”) przez wiele lat był stopniem wyższym niż generał dywizji czy generał broni (od 2002 r. najwyższym stopniem generalskim jest generał armii). Czy jednak środowisko naukowe, wysoko ceniące przecież logikę w swojej pracy, nie mogłoby znieść nielogiczności w zakresie tytułu naukowego i stanowisk naukowych? Nasuwają mi się dwa proste rozwiązania: (i) zastąpienie stanowiska profesora uczelni/instytutu stanowiskiem docenta (upływ czasu zmył chyba z tego terminu odium „marcowości”), pozostawiając termin „profesor” w jedynym znaczeniu – tytułu naukowego (którego nadanie automatycznie powodowałoby zatrudnienie na stanowisku profesora) lub też (ii) zniesienie tytułu naukowego profesora i pozostawienie terminu „profesor” w innym, ale też jedynym znaczeniu – stanowiska. Wzdrygam się przed tą opcją, ale widzę także argumenty przemawiające za nią. Po pierwsze, Prezydent osobiście nominuje elitę armii (generałów) i elitę nauki (profesorów), ale czy obie te elity są równoważne pod względem liczebności, uposażenia i przywilejów? Zdecydowanie nie, więc te prezydenckie nominacje profesorskie są tylko piękną dekoracją, za którą kryje się bardzo niewiele.

Po drugie, artykuł 227 znowelizowanego Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce mówi iż: „Tytuł profesora może być nadany osobie, która „posiada stopień naukowy doktora habilitowanego oraz: a) wybitne osiągnięcia naukowe krajowe lub zagraniczne, b) uczestniczyła w pracach zespołów badawczych realizujących projekty finansowane w drodze konkursów krajowych lub zagranicznych lub odbyła staże naukowe w instytucjach naukowych, w tym zagranicznych, lub prowadziła badania naukowe lub prace rozwojowe w uczelniach lub instytucjach naukowych, w tym zagranicznych”. Inne, poprzednio istniejące wymagania zostały usunięte. Obecnie obowiązujące kryteria nie precyzują,

niestety, pojęcia „wybitności” osiągnięć naukowych „krajowych lub zagranicznych” (zostawiając ogromne pole dowolności indywidualnym wyobrażeniom recenzentów) ani stażu naukowego (czy tygodniowy pobyt w obcej uczelni jest stażem badawczym?), umożliwiając akceptację wniosków o tytuł naukowy o różnej wadze merytorycznej i tym samym znów deprecjonując wartość tytułu naukowego.

Może więc prościej byłoby znieść tytuł profesora śladem państw, w których taki tytuł o randze ogólnopaństwowej nie istnieje? Osobiście wolałbym powrót stanowiska docenta i doprecyzowanie kryteriów przyznawania tytułu naukowego, ale być może to przejaw konserwatyizmu moich poglądów.

*Prof. dr hab. Grzegorz Bartosz, Uniwersytet Rzeszowski,
Instytut Technologii Żywności i Żywnienia*



Rys. Sławomir Makal

100 NAJZDOLNIEJSZYCH MŁODYCH NAUKOWCÓW

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej ogłosiła listę stu najzdolniejszych polskich naukowców przed trzydziestką. Są to laureaci i laureatki konkursu w programie START (konkurs 2023), w którym Fundacja już od ponad 30 lat nagradza wybitnych przedstawicieli młodego pokolenia badaczy. W tym roku stypendia zostały przyznane po raz 31.

Program START Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest najstarszym w Polsce programem stypendialnym dla najlepszych młodych naukowców reprezentujących wszystkie dziedziny nauki. Jego celem jest wspieranie wybitnych młodych uczonych i zachęcanie ich do dalszego rozwoju naukowego. Laureaci programu START w edycji 2023 otrzymają roczne stypendium w wysokości **30 tys. zł.** Mogą je przeznaczyć na dowolny cel.

„Setka” nagrodzonych w tym roku badaczy została wybrana z grona **660** kandydatów. Dorobek siedmiu osób – głównie kobiet – został szczególnie wyróżniony przez recenzentów oceniających wnioski. 44% wszystkich nagrodzonych posiada stopień doktora (w Polsce przeciętny wiek uzyskiwania doktoratu wynosi około 35 lat), w tym 22 kobiety i 22 mężczyzn. Łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 31 konkursie w programie START to 3 056 000 zł.

Stypendyści programu START są wybierani w drodze wieloetapowego konkursu, w którym oceniana jest jakość ich dotychczasowego dorobku naukowego.

Wśród nagrodzonych w tym roku, najwięcej badaczy reprezentuje nauki biologiczne i medyczne – 28 stypendyistów. Na czele rankingu instytucji, z których pochodzi największa liczba laureatów uplasował się ponownie Uniwersytet Warszawski (14 stypendystów), na drugim miejscu znalazła się Politechnika Warszawska (11 stypendystów), a na trzecim Politechnika Wrocławska (8 stypendystów).

Od 2009 r. Fundacja przyznaje również w programie START **wyróżnienia** kandydatom, których osiągnięcia badawcze zostały ocenione przez recenzentów konkursu jako wybitne. Stypendia tych osób zostaną podwyższone do kwoty **38 tys. zł.** W tym roku wyróżnienia otrzymali:

- **dr inż. Dariusz Strugarek**, Wydział Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu
- **mgr Danuta Liberda**, Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego SOLARIS, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
- **mgr Aneta Karpińska**, Instytut Chemii Fizycznej Polskiej Akademii Nauk
- **mgr Agnieszka Sobolewska**, Wydział Polonistyki, Uniwersytet Warszawski

W ramach programu START przyznawane jest również **Stypendium im. Barbary Skargi**. Może je otrzymać osoba, której badania wyróżniają się odważnym przekraczaniem granic pomiędzy różnymi dziedzinami nauki, otwierają nowe perspektywy badawcze i tworzą nowe wartości w nauce. Tegoroczną laureatką została **dr inż. Zuzanna Miodońska**, Wydział Inżynierii Biomedycznej, Politechnika Śląska w Gliwicach.

Od roku 2015 r. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej w programie START przyznaje **wyróżnienie im. prof. Adama Sobiczewskiego**. Może je otrzymać laureat prowadzący badania naukowe w dziedzinie matematyki, fizyki teoretycznej bądź astronomii. Ponadto głównym kryterium wyróżnienia jest wyjątkowo wysoka jakość dorobku naukowego kandydata. W tym roku otrzymał je **dr Jan Kwapisz** z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego.

W bieżącym konkursie po raz drugi przyznane zostało stypendium z **wyróżnieniem im. prof. Wacława Szybalskiego**, które otrzymać może wybitny młody naukowiec prowadzący badania w dziedzinach nauki uprawianych przez Fundatora, czyli biotechnologii, genetyce lub biologii molekularnej. Stypendium otrzymała **mgr Izabela Stupka** z nCage Therapeutics sp. z o.o.

Stypendia w konkursie 2023 zostaną sfinansowane zarówno z budżetu Fundacji, jak i ze środków przekazanych przez partnerów programu, a także prywatnych darczyńców i z wpłat 1,5% podatku dochodowego.

Nabór wniosków do kolejnego konkursu rozpocznie się jesienią br.





Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Laureaci stypendium START dla młodych uczonych Fundacji na rzecz Nauki Polskiej edycja 2023

Stypendysta	Instytucja	Dziedzina
Karol Abratkiewicz	Politechnika Warszawska	telekomunikacja
Tomasz Barański	Uniwersytet Warszawski	archeologia
Wiktor Bednarczyk	Politechnika Warszawska	inżynieria materiałowa
Roksana Bernat	Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach	chemia
Ewelina Bik	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	biofizyka
Jakub Brzeski	Uniwersytet Gdański	chemia fizyczna
Ryszard Buchalik	Politechnika Śląska w Gliwicach	budowa i eksploatacja maszyn
Angjika Bulbul	Politechnika Warszawska	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna
Agnieszka Ewa Chowaniec-Michalak	Politechnika Wrocławska	budownictwo
Krystian Chudzik	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	inżynieria materiałowa
Łukasz Chyla	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	nauki prawne
Daria Ciecholewska-Juśko	Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie	biotechnologia
Kamil Deja	Politechnika Warszawska	informatyka
Małgorzata Draps	Instytut Psychologii, Polska Akademia Nauk	psychologia
Monika Drobna-Śledzińska	Instytut Genetyki Człowieka PAN w Poznaniu	biologia medyczna
Katarzyna Drozdowska	Politechnika Gdańska	elektronika
Wojciech Dziągiewski	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	biologia molekularna
Monika Gawałko	Warszawski Uniwersytet Medyczny	medycyna kliniczna
Mateusz Gielata	Uniwersytet Warszawski	biologia medyczna
Adriana Gilarska	Centrum Biomedycznych Technologii Aplikacyjnych	inżynieria materiałowa
Joanna Gorgol	Uniwersytet Warszawski	psychologia
Paweł Górecki	Uniwersytet Morski w Gdyni	elektronika
Emad Hasani Malekshah Fazel	Politechnika Śląska w Gliwicach	inżynieria środowiska
Piotr Jachimowicz	Uniwersytet Warmiński-Mazurski w Olsztynie	biotechnologia
Michał Jakubczak	Politechnika Warszawska	inżynieria materiałowa
Hubert Józwiak	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	fizyka
Aneta Karpińska	Instytut Chemii Fizycznej Polskiej Akademii Nauk	biofizyka
Paulina Konca	Uniwersytet Śląski w Katowicach	prawoznawstwo
Karolina Kot	Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie	biologia medyczna
Anna Kotowska-Zimmer	Instytut Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk	biotechnologia
Patrycja Kowalik	Politechnika Warszawska	chemia
Piotr Krajewski	Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu	medycyna kliniczna
Aleksandra Królicka	Politechnika Wrocławska	metalurgia
Mateusz Kusio	Uniwersytet Warszawski	historia
Jan Kwapisz	Uniwersytet Warszawski	fizyka
Anna Lewczuk	Uniwersytet Warszawski	ekonomia
Danuta Liberda	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	chemia fizyczna
Monika Lipińska	Uniwersytet Gdański	botanika
Dominik Łukowiak	Uniwersytet Warszawski	prawo
Bartosz Maćkiewicz	Uniwersytet Warszawski	filozofia
Daria Marczak	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	inżynieria środowiska
Krystyna Masłowska-Jarzyna	Uniwersytet Warszawski	chemia
Dawid Mehlich	IMol Polska Akademia Nauk	medycyna przedkliniczna
Bartosz Mierzejewski	Uniwersytet Warszawski	biologia medyczna
Zuzanna Miodońska	Politechnika Śląska w Gliwicach	językoznawstwo

Katarzyna Mróz	Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki	budownictwo
Mikołaj Nowak	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria materiałowa
Mikołaj Nowak	Politechnika Gdańska	elektrotechnika
Karol Nowosad	Uniwersytet Medyczny w Lublinie	biologia molekularna
Patryk Obstarczyk	Politechnika Wrocławska	inżynieria materiałowa
Andrzej Opala	Instytut Fizyki PAN w Warszawie	fizyka
Tomasz Osipiński	Politechnika Warszawska	telekomunikacja
Dominika Oziębło	Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu w Warszawie	biologia medyczna
Marzena Pander	Uniwersytet Wrocławski	chemia
Aleksandra Piejka	Instytut Psychologii, Polska Akademia Nauk	psychologia
Wojciech Piotrowski	Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN we Wrocławiu	inżynieria materiałowa
Paweł Plewa	Politechnika Wrocławska	matematyka
Natalia Płatosz	Instytut Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności PAN w Olsztynie	technologia żywności i żywienia
Natalia Porębska	Uniwersytet Wrocławski	biotechnologia
Anna Potoczek	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	psychologia społeczna
Maciej Próchnicki	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	nauki prawne
Mikołaj Rogalski	Politechnika Warszawska	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna
Michael Romano	National Centre for Nuclear Research	astronomia
Samanta Romanowska	Uniwersytet Gdański	chemia
Tadeusz Rubik	Uniwersytet Warszawski	filologia
Hanna Salmonowicz	IMol Polska Akademia Nauk	biologia molekularna
Krzysztof Sękowski	Uniwersytet Warszawski	filozofia
Wojciech Słomian	Politechnika Wrocławska	matematyka
Agnieszka Sobolewska	Uniwersytet Warszawski	kulturoznawstwo
Patrycja Sokołowska	Politechnika Warszawska	biotechnologia
Mariusz Specht	Uniwersytet Morski w Gdyni	geodezja i kartografia
Michał Stebel	Politechnika Śląska w Gliwicach	budowa i eksploatacja maszyn
Michał Stefańczyk	Uniwersytet Wrocławski	psychologia społeczna
Dariusz Strugarek	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	geodezja i kartografia
Izabela Stupka	nCage Therapeutics sp. z o.o.	biologia molekularna
Mateusz Szatkowski	Politechnika Wrocławska	fizyka
Rafał Szczepański	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	automatyka i robotyka
Zofia Szczuka	SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny w Warszawie	psychologia
Adrian Szewczyk	Gdański Uniwersytet Medyczny	inżynieria materiałowa
Piotr Szewczyk	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria materiałowa
Krzysztof Sztandera	Uniwersytet Łódzki	biologia medyczna
Klaudia Sztolcztener	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	biologia medyczna
Stanisław Szufa	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	informatyka
Maja Szymańska-Lejman	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	genetyka
Sabina Szymczak	Politechnika Gdańska	ekonomia
Dominik Terefinko	Politechnika Wrocławska	inżynieria środowiska
Dorota Tomaszewska-Rolla	Politechnika Wrocławska	elektronika
Monika Topa-Skwarczyńska	Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki	inżynieria chemiczna
Marlena Tynecka	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	biologia medyczna
Daniel Ura	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria materiałowa
Ewa Urbaniak	Uniwersytet Łódzki	językoznawstwo
Vladyslav Vivcharenko	Uniwersytet Medyczny w Lublinie	biologia medyczna
Jakub Wagner	Instytut Chemii Organicznej Polskiej Akademii Nauk	chemia
Aleksandra Wdowczyk	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	kształtowanie środowiska
Kinga Wiśniewska	Uniwersytet Gdański	hydrologia i oceanologia
Dominik Wołosz	Politechnika Warszawska	inżynieria chemiczna
Krzysztof Wołoszyk	Politechnika Gdańska	mechanika
Przemysław Zaręba	Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki	nauki farmaceutyczne
Michał Ziemczonok	Politechnika Warszawska	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna
Damian Zięba	Uniwersytet Warszawski	ekonomia

Stypendia START są przyznawane przez FNP od 1993 r. Do 2023 r. włącznie FNP nagrodziła **3400 osób** i przyznała **4036 stypendiów** (w latach 2002-2015 istniała możliwość otrzymania stypendium START dwukrotnie) w łącznej wysokości ponad 93,5 mln zł.

Stypendia START stanowią wyróżnienie dla młodych naukowców, którzy, choć dopiero rozpoczynają karierę naukową, mogą się już wykazać znaczącymi osiągnięciami badawczymi. O stypendium ubiegać się mogą młodzi naukowcy do 30 r.ż. (lub starsi, jeżeli korzystają z regulaminowych możliwości przedłużenia). Dorobek kandydatów – udokumentowany patentami lub publikacjami w uznanych polskich i zagranicznych periodykach naukowych – jest oceniany przez uczonych będących autorytetami w swoich dziedzinach. Formalnie poprawne wnioski najpierw ocenia panel ekspercki, który najlepsze kandydatury kieruje do recenzji. Każdemu wnioskowi zakwalifikowanemu do tego etapu przygląda się kolejnych trzech recenzentów. Na podstawie opinii zebranych na poszczególnych etapach oceny merytorycznej wyboru laureatów dokonuje Zarząd Fundacji. Decyzja Zarządu zatwierdzana jest przez Radę Fundacji.

Program START oferuje również dodatkowe finansowanie (stypendium wyjazdowe) na wyjazd studyjny do zagranicznego ośrodka naukowego oraz możliwość wzięcia udziału wybranych stypendystów w spotkaniu z noblistami w niemieckim Lindau.

Od 2004 roku stypendia START są finansowane ze środków przekazanych Fundacji na podstawie ustawy prywatyzacyjnej z 2000 roku (na mocy tej ustawy 2% środków z prywatyzacji jednoosobowych spółek Skarbu Państwa było przekazywane w latach 2003-2004 na majątek Fundacji; po zmianie ustawy adresatem 2% środków uzyskiwanych w dalszych etapach prywatyzacji został nieistniejący już Komitet Badań Naukowych). Kolejnymi źródłami finansowania stypendiów są darowizny przekazywane przez prywatnych darczyńców oraz firmy, a także wpłaty 1% podatku dochodowego (1,5% od 2023 r.).

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej istnieje od 1991 r. i jest niezależną, samofinansującą się instytucją pozarządową typu non-profit, która realizuje misję wspierania nauki. Jest największym w Polsce pozabudżetowym źródłem finansowania nauki. Do statutowych celów FNP należą: wspieranie wybitnych naukowców i zespołów badawczych oraz działanie na rzecz transferu osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej. Fundacja realizuje je poprzez przyznawanie naukowcom indywidualnych nagród i stypendiów, przyznawanie subwencji na wdrażanie osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej, inne formy wspierania ważnych przedsięwzięć służących nauce (jak np. programy wydawnicze). Fundacja angażuje się także we wspieranie międzynarodowej współpracy naukowej oraz zwiększanie samodzielności naukowej młodego pokolenia uczonych.



foto: Magdalena Wisniewska-Krasicka, Fichom FNP

Konkurs START 2023 w liczbach

3 056 000 zł – łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 31 konkursie w programie START;

660 wniosków do konkursu;

100 laureatów (15,2% spośród ubiegających się o stypendium);

55 mężczyzn i 45 kobiet wśród laureatów;

44% laureatów (44 osoby) ma stopień doktora (w momencie składania wniosku); w tym 22 kobiety i 22 mężczyzn;

Dziedziny najczęściej reprezentowane przez laureatów: nauki biologiczne i medyczne (28 stypendiów), nauki techniczne (32 stypendiów), nauki humanistyczne i społeczne (21 stypendiów), nauki fizyczne i matematyczne (9 stypendiów), nauki chemiczne (10 stypendiów);

Instytucje, z których pochodzi największa liczba stypendystów: Uniwersytet Warszawski (14 stypendystów), Politechnika Warszawska (11 stypendystów), Politechnika Wrocławska (8 stypendystów), Uniwersytet Jagielloński w Krakowie (7 stypendystów);

Miasta, z których rekrutuje się najwięcej stypendystów: Warszawa (35 stypendystów), Wrocław (16 stypendystów), Kraków (15 stypendystów), Gdańsk (9 stypendystów);

Placówki naukowe, z którymi związani są stypendyści, to: uczelnie (85, z czego 30 reprezentuje politechniki), instytuty PAN (10), inne instytuty badawcze (4) oraz z firma badawcza (1).

Więcej:

www.fnp.org.pl

start.fnp.org.pl

Zbigniew Drozdowicz

Uczony i przyjaciele

Grono moich okazjonalnych przyjaciół powiększyło się, gdy czasopismo naukowe, którego jestem redaktorem naczelnym, awansowało na ministerialnej liście z 70 do 100 pkt. O przyjacielskich relacjach przypomnieli sobie nawet ci, których znałem jedynie z okazjonalnych spotkań. W jakimś sensie ich rozumiem, bowiem szalejąca punktoza skłania niejednego do desperackich kroków.

Pozostawanie w relacjach przyjacielskich jest ważne zarówno dla tych uczonych, którzy w nauce dopiero zdobywają akademickie szczyty, jak i dla tych, którzy już się na nie wspięli. Problem w tym, że to, co umacniało przyjaźnie we wcześniejszym okresie wspinaczki, może je osłabiać w późniejszych, a nawet stanowić w nich swoisty balast.

Zdobywanie przyjaciół

Łatwiej jest oczywiście powiedzieć, że ktoś jest naszym przyjacielem niż pozyskać czyjąś przyjaźń, a jeszcze trudniej jest ją podtrzymywać przez długie lata. Takie przyjaźnie się jednak zdarzały i zdarzają nawet największego formatu uczonym, takim m.in. jak Albert Einstein. Do jego przyjaciół należeli zarówno niemiecki fizyk (laureata Nagrody Nobla z 1918 roku) Max Planck, jak i polski fizyk Leopold Infeld. O tej przyjaźni świadczy nie tylko ich wieloletnia listowna korespondencja, ale także naukowa współpraca. W przypadku Plancka przyjaźń wyraziła się m.in. w tym, że jako rektor Uniwersytetu Berlińskiego przyczynił się do zatrudnienia Einsteina w 1914 roku na stanowisku profesora (mimo że ten posiadał jedynie stopień magistra). Natomiast w przypadku Infelda jej wyrazem była m.in. wspólnie napisana książka pt. *Ewolucja fizyki* (przełożona została na wiele języków, w tym na polski). Istotny wpływ na nawiązywanie przyjacielskich relacji miało to, że Planck i Infeld nie tylko potrafili zrozumieć naukowe znaczenie sformułowanej przez Einsteina teorii względności, ale także byli jej propagatorami w środowisku akademickim. Jeśli tego rodzaju przykładów nie można podać wiele, wynika to nie tylko z tego, że tak dużego formatu uczonych jest stosunkowo niewiele, ale także z tego, że nawet wówczas, gdy takie przyjaźnie się pojawiały, to trwały one często do momentu, gdy między wielkimi uczonymi występowały rozbieżności naukowe sprawiające, że stawali się konkurentami do naukowej sławy i nie chcieli lub nie potrafili się nią podzielić.

Są różne drogi prowadzące do pozyskania przyjaźni w życiu akademickim. W niektórych przypadkach zaczynają się one już w szkole średniej, później kontynuowane są w okresie wspólnych studiów, a czasami nawet w okresie wspinania się po szczeblach naukowej kariery. Znam przypadek takiej przyjaźni dwóch fizyków z mojej uczelni, którzy mimo że osobowościowo mocno się różnili, to jednak potrafili naukowo ze sobą współpracować i podtrzymywać aż do śmierci przyjacielskie

relacje. Jeden z nich na pogrzebie drugiego w emocjonalnym wystąpieniu przyznał, że zmarły był jego największym przyjacielem. Znałem na tyle dobrze obu, aby potraktować te słowa nie jako „pogrzebowy” frazes, lecz jako świadectwo ich autentycznej przyjaźni. Wiernych przyjaciół miał również profesor mojego wydziału, o którym wiele można powiedzieć, ale raczej nie to, że jego pasją była praca badawcza. Na uroczystym posiedzeniu rady wydziału związanym z jego śmiercią jeden z jego przyjaciół stwierdził, że był on miłośnikiem „pięknych kobiet, wina i śpiewu”. Wprawdzie w tych okolicznościach zabrzmiało to dosyć dziwnie, ale mogło być bliskie prawdzie. Poza dyskusją była jednak jego umiejętność zdobywania przyjaciół, którzy nawet w smutnych okolicznościach chcieli o nim powiedzieć coś dobrego lub przynajmniej (jak im się zdawało) coś zabawnego. Spotkałem się również z przypadkiem, kiedy profesor starał się swojemu przyjacielowi ze stopniem doktora habilitowanego wydatnie pomagać w uzyskaniu tytułu profesora. Nie zakończyło się to wprawdzie powodzeniem, ale przede wszystkim dlatego, że powołana w procedurze komisja uznała, że kandydat do tytułu miał zdecydowanie zbyt skromne osiągnięcia naukowe, a jego „promotor” ani nie był członkiem komisji, ani też nie miał w niej przyjaciół. Mogę to powiedzieć z pełnym przekonaniem, bowiem byłem jednym z jej członków.

Różne są nie tylko początki takich przyjaźni, ale także okoliczności ich utrwalania. Bywa tak, że w momencie rozpoczęcia pracy na uczelni ma się jedynie koleżanki i kolegów. Z czasem niektórzy mogą stać się naszymi przyjaciółmi, natomiast inni nawet „wiernymi wrogami”. Zapewne tych drugich jest łatwiej pozyskać niż pierwszych i nie zawsze zależy to od naszego postępowania czy naszych chęci do zawierania przyjaźni. Czasami na przeszkodzie stają różnice pokoleniowe, a czasem wystarczy nie do końca przemyślana i nieopatrznie – publicznie lub prywatnie – wypowiedziana opinia. Wygłaszanie pozytywnych opinii o osiągnięciach przyjaciół jest przez nich z reguły oczekiwane i dobrze przyjmowane, a nawet może być traktowane jako swoisty test na autentyczność przyjaźni. Ma ono jednak granice, po przekroczeniu których stajemy się niewiarygodni nie tylko dla naszego bliższego i dalszego otoczenia, ale także tych przyjaciół, którym trudno uwierzyć, że to, co o nich mówimy, mówimy serio i nie kryje się za tym złośliwość. Podobnie to wygląda w przypadku świadczenia akademickiej usługi, jaką jest przywoływanie opinii zaprzyjaźnio-

nych z nami osób w swoich publikacjach, zwłaszcza wówczas, gdy przywołanie takie sprowadza się do wzmiankowania osiągnięcia przyjaciela w formie odsyłacza do jego publikacji i niewiele wskazuje na to, że cytujący zadał sobie trud chociażby przejrzenia tego, co napisał cytowany.

Tracenie przyjaciół

O ile pozyskiwanie przyjaciół i podtrzymywanie przyjaźni z reguły jest dosyć trudne, to ich tracenie wydaje się dużo łatwiejsze, a w każdym razie dużo więcej jest okoliczności, które temu sprzyjają. Jedną z bardziej prozaicznych jest naturalny proces starzenia się nas samych i naszych przyjacielskich relacji. Czasami stoi za tym zwyczajne znużeniu dotychczasowymi

formami kontaktów, takimi np. jak spotkania w rodzinnych gronach czy na imprezach, które spełniają wspólne upodobania. Znam „imprezowiczów”, którzy raz do roku wyjeżdżają na spotkanie amatorów piwa. Wprawdzie w nich nie uczestniczyłem, jednak w internecie można zobaczyć zdjęcia, na których widać, że towarzystwo bawiło się dobrze. Jeśli dzisiaj skłonni są oni nadal zaspokajając swoje piwne upodobania, to przynajmniej niektórzy robią to już bez wyjazdowych „sesji”, bowiem stały się one zbyt męczące. Do prozaicznych okoliczności sprzyjających utracie przyjaciół skłonny jestem zaliczyć również rozchodzenie się dróg akademickiego życia. Już przeniesienie się do innego ośrodka akademickiego (nawet krajowego) może być poważną próbą dla przyjaźni. Na jeszcze poważniejszą trafia ona

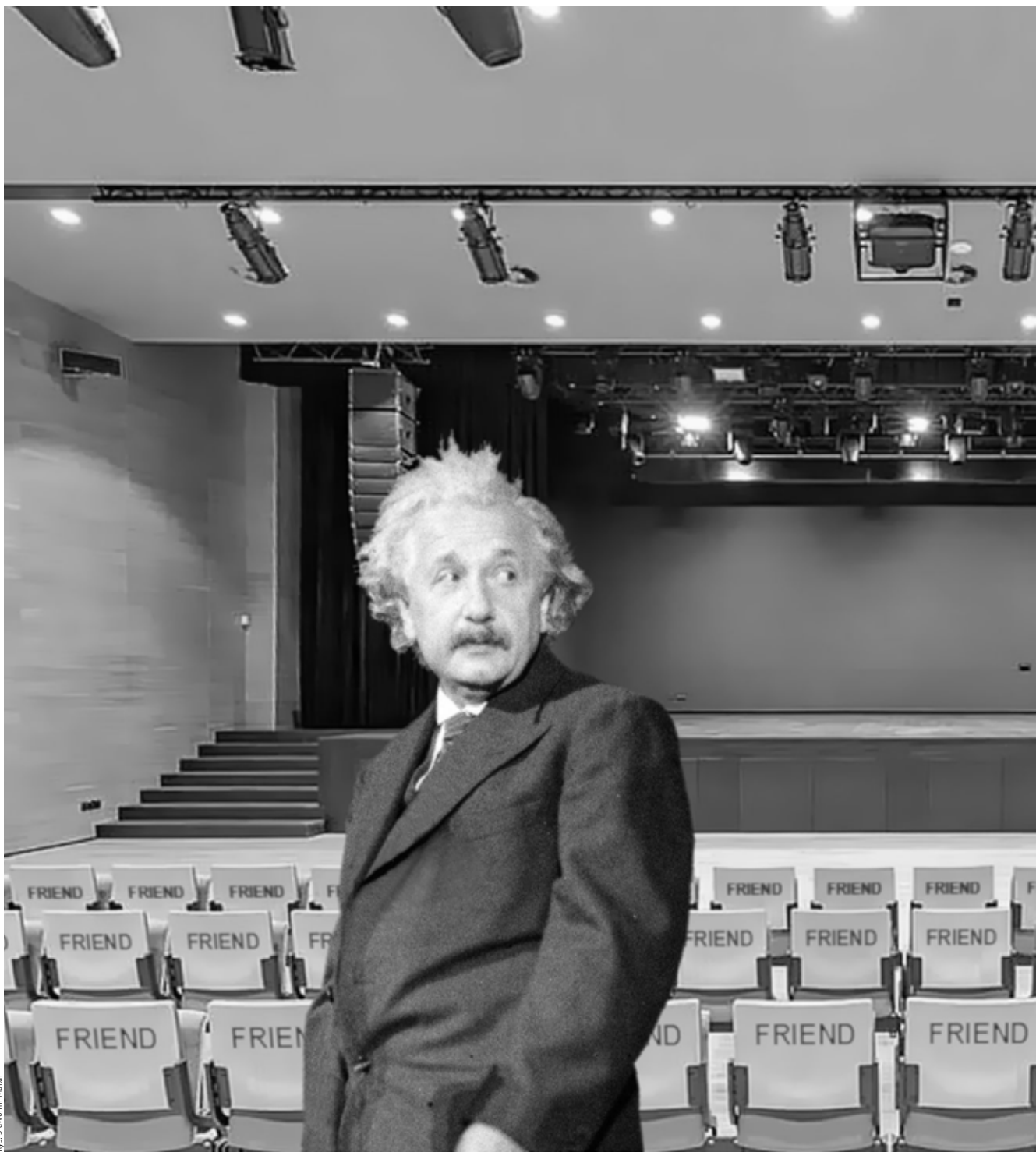


Foto: Sławomir Makal

wówczas, gdy jeden z przyjaciół osiąga znaczące wyniki badawcze i wyższą pozycję w akademickiej hierarchii niż jego przyjaciele. Tłumaczenie, że awans zawdzięcza przede wszystkim wyjątkowej pracy, może być przez nich odebrane jako wytknięcie, że w zbyt małym stopniu angażują się w wykonywanie zawodowych obowiązków. Jeszcze gorzej może być odebrane twierdzenie, że zawdzięcza sukces swoim osobistym uzdolnieniom, bowiem wychodziłoby na to, że brakuje ich przyjaciołom, którzy ich nie odnoszą albo osiągają je w ograniczonym stopniu.

Trudno jest się z tym pogodzić zwłaszcza osobom, które swoją obecność w akademickim życiu zawdzięczają nie tyle uzdolnieniom, co szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, np. trafieniu na życziwego promotora lub więzom rodzinnym.

Taka droga życiowa jest jednak obciążona ryzykiem, że wraz z utratą promotora można stracić prawo do bycia członkiem akademickiej społeczności. Zdarza się to wprawdzie stosunkowo rzadko, ale jednak się zdarza, przede wszystkim tym, którzy nie pomyśleli o takim zagrożeniu wcześniej i nie zadbali o zabezpieczenie przed wykluczeniem. Przydarzyło się to m.in. jednemu z moich kolegów ze szkoły średniej. Zatrudniony był na ówczesnej Politechnice Szczecińskiej (obecnie jest to Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny) i uzyskał na niej doktorat. Karierę akademicką przeżyła śmierć jego opiekuna naukowego. Na spotkaniu koleżeńskim żalił się, że tak niespodziewanie musiał poszukać sobie innego miejsca zatrudnienia. Nie bardzo wypadało mi powiedzieć, że powinien mieć o to pretensje przede wszystkim do samego siebie. Z całą pewnością powiedzenie mu tego nie poprawiłoby naszych koleżeńskich relacji. Podobnie rzecz się miała z moim kolegą z instytutu, który po kilkunastu latach pracy na uczelni nie otrzymał przedłużenia zatrudnienia, bowiem nie wywiązał się z obowiązku przygotowania i obrony doktoratu. Nasze relacje przez te lata były przyjacielskie. Z tym większą przykrością wysłuchałem jego dramatycznego stwierdzenia, że przecież nie zrobił niczego złego w pracy na uczelni. Nie zdobyłem się jednak na powiedzenie mu, że miał wystarczająco dużo czasu, aby zrobić coś dobrego dla siebie i uzyskać doktorat lub wykazać się innymi formami przydatności na uczelnianym etacie. Dzisiaj

spotykamy się okazjonalnie i wymieniamy grzecznościowe uwagi. Jednak nie wracamy do tej drażliwej kwestii.

Okazjonalni przyjaciele

Jeśli miarą autentyczności przyjaźni jest jej podtrzymywanie niezależnie od zmieniających się okoliczności życiowych i zawodowych, to nie mogą do nich należeć sytuacje, gdy demonstrowana przyjaźń ma pomóc w załatwieniu jakichś interesów, a potem, niezależnie od efektu zabiegów, zanika, a nawet przeciwnie radza się w nieskrywaną niechęć. Rzecz jasna tacy przyjaciele są lepsi niż żadni. Sposobności ich pojawiania się w akademickim życiu jest wiele. Zjawisko to można zaobserwować m.in. podczas wyborów władz uczelni. Trzykrotnie miałem mandat elektorski w wyborach władz rektorskich i za każdym razem wyglądało to podobnie. Wokół kandydatów gromadziło się grono okazjonalnych przyjaciół, którzy nie tylko zapewniali o swojej przyjaźni, ale także w miarę możliwości wspierali w kampanii wyborczej. Jeśli jednak kampania kończyła się niepowodzeniem ich kandydata, to „dziwnym” zbiegiem okoliczności gwałtownie topniały szeregi przyjaciół, a ci, którzy zbyt otwarcie nie zaangażowali się w kampanię wyborczą, niejednokrotnie zapewniali wygranych, że w gruncie rzeczy byli po ich stronie albo przynajmniej nie byli przeciwko nim. Przyznam, że zdumiewała mnie wiara przegranych w kampanijne deklaracje poparcia, które po jej zakończeniu okazywały się nie mieć pokrycia. Być może jednak ta wiara była tyle samo warta, co okazywana przyjaźń.

Podobnie to zresztą wyglądało w wyborach dziekanów. Wielokrotnie brałem w nich udział jako elektor, a dwukrotnie jako kandydat na dziekana i obie kampanie wyborcze zakończyły się moim sukcesem. Nie mam jednak złudzeń co do tego, że sukces zawdzięczałem nie tyle moim licznym przyjaciołom na wydziale, co wielu osobom, które w udzielonym mi poparciu widziały możliwość załatwienia swoich zawodowych potrzeb. Po objęciu przeze mnie stanowiska o spłatę udzielonego mi kredytu zaufania upominali się jednak nie tylko oni, ale także wielu z tych, którzy poparcia wprawdzie odmówili, ale uważali, że im również jakaś spłata się należy. Pełniąc obowiązki, starałem się jednak nie dzielić pracowników mojego wydziału na „swoich” i „obcych”. Rzecz jasna nie mnie oceniać, na ile te starania były udane. Przyznam jednak, że chętniej przyjmowałem na dziekańskich „pogawędkach” osoby, co do których nie miałem wątpliwości, że byli wprawdzie okazjonalnymi przyjaciółmi, ale jednak nie angażowali się mocno we wspieranie kontrkandydatów.

Grono moich okazjonalnych przyjaciół powiększyło się również po tym, gdy czasopismo naukowe, którego jestem redaktorem naczelnym, na ministerialnej liście czasopism punktowanych awansowało z 70 do 100 pkt. O łączących nas przyjacielskich relacjach przypomnieli sobie nawet ci, których znałem jedynie z okazjonalnych spotkań, jakimi są konferencje naukowe. W jakimś sensie ich rozumiem, bowiem szalejąca punktoza skłania niejednego uczonego do desperackich kroków, jak „odgrzebywanie” starych znajomości, a nawet „pudrowanie” przypadkowych kontaktów, tak aby wyglądały na coś dużo poważniejszego. Zabiegi te kończą się z reguły w momencie, gdy zgłaszane do druku przez okazjonalnych przyjaciół artykuły otrzymują negatywną recenzję lub wnioski o dokonanie gruntownych poprawek. Tłumaczenie, że jest to standardowa procedura w czasopiśmie naukowym, jest o tyle akceptowane, o ile znajdzie się w miarę przyjazny recenzent. Na korzystanie z pomocy takich recenzentów nie może sobie jednak pozwolić żadne poważne czasopismo naukowe, a co za tym idzie, funkcja redaktora naczelnego również może przyczyniać się do utraty przyjaciół.



Rozmowa z prof. Andrzejem Bednarczykiem, rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie

Artysta niegooglowalny

Muszę oddać społeczeństwu sztukę, zasypać to katastrofalne pęknięcie pomiędzy społeczeństwem polskim a sztuką wysoką, gdyż to prowadzi do śmierci naszej tożsamości. Wrzeszczę o tym na lewo i prawo. Z zasady jestem egalitarny i mam nadzieję, że uda się trochę odczarować sztukę, aby ludzie tak bardzo się jej nie bali.

Co otaczało pana i „karmiło” jako studenta Akademii Sztuk Pięknych?

Studia na Akademii rozpocząłem w październiku, w listopadzie założyliśmy strajk okupacyjny, a w grudniu uczelnię zamknięto po wprowadzeniu stanu wojennego. Nie chcę, żeby to zabrzmiało kombatancko, ale trudno pominąć takie doświadczenia, dla młodego człowieka bazowe. Byłem wówczas na Wydziale Grafiki, który długo nie funkcjonował, ponieważ jakiś oficer zobaczył maszyny drukarskie i wyobraził sobie, że na maszynie wkłęsłodrukowej będziemy produkować ulotki. Oczywiście nie było wówczas Internetu, telefony wyłączono, a jedyny kontakt z uczelnią zapewnił nam dziekan, prof. Witold Skulicz, który w liście do studentów ogłosił konkurs na cykl rysunkowy. Zadbał, żebyśmy nie marnowali czasu. I tu zrobię przebitkę do współczesności. Gdy w czasie lockdownu po raz pierwszy spotkałem się z moimi studentami on-line, powiedziałem im, że to nie pierwszy lockdown w moim życiu i pokazałem cykl rysunków, które wówczas stworzyłem. Wracając do pani pytania, doświadczyliśmy pęknięcia przestrzeni kulturowej i cywilizacyjnej na dwie wręcz odrębne planety: sfera oficjalna – obca i sfera naszych wewnętrznych nieformalnych światów.

Rzeczywistość PRL-u, a potem stanu wojennego na pewno pogłębiała te podziały?

Tak, wychowywaliśmy się w przekonaniu, że przestrzeń publiczna i przestrzeń niepubliczna to są dwa różne światy. Kiedy udało nam się obejrzeć *Dziady* Swinarskiego w Teatrze Starym z niesamowitą rolą Jurka Treli, to nie myśleliśmy o tym spektaklu w kategoriach kultury oficjalnej, bo to co oficjalne kojarzyło się z tym co rządowe. Jak wiadomo kultura, szkoła i środowisko rodzinne w istotny sposób kształtują młodego człowieka.

Z domu rodzinnego wyniósł pan ogromny kapitał kulturowy.

Nasz dom był takim nieprzynależącym światem. Jak się w dzieciństwie przeżyje dwa czy trzy przeszukania domu i jest się uświadomionym przez rodziców, że nie o wszystkim należy mówić – to kształtuje. Jednak wyniosłem z domu, za co do śmierci będę wdzięczny moim rodzicom, przekonanie, że nie należy żywić nienawiści do nikogo. Traumatyczne doświadczenia ojca z czasów wojny, ucieczka z obrzeży Wołynia, poskutkowały w dziwny sposób tym, że uczył nas, aby rozmawiać ze wszystkimi.

Moi rodzice byli światłymi ludźmi. Wiem od dziadków, że ojciec, z zawodu inżynier konstruktor, od dzieciństwa wykazywał cechy genialności. Gdy na początku wakacji otrzymywał nowe podręczniki, to zanim rok szkolny się rozpoczął, miał już wszystkie przerobione. Z pasji był osobą duchowną, pastorem jednego z kościołów ewangelikalnych. Mieszkaliśmy z rodzicami w pewnym sensie w bibliotece – książki były wszędzie, także w naszych pokojach. Domowa biblioteka obejmowała wiele działów: od poezji i literatury pięknej, przez filozofię, teologię, po książki techniczne w różnych językach: polskim, angielskim, niemieckim, rosyjskim, zdarzały się też w grece i łacinie. Ten świat zderzył się ze światem dziecka tkniętego jakąś patologią estetyki. Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia mój ojciec wraca z pracy i zastaje w bibliotece wszystkie książki ułożone według kolorów. Pracowałem nad tym calusienki dzień i myślałem tylko o tym, jak pięknie będą wyglądać na nowo posegregowane.

A co na to ojciec?

On mi złego słowa nie powiedział, za co byłem mu wdzięczny. Kto wie, czy nie dlatego zostałem artystą, bo gdyby mnie zrugał... Ojciec nigdy nas nie bił, tylko upominał, a my czasami marzyliśmy, żeby nam po prostu wlał i byłby święty spokój. Takie mam wspomnienia z tych światów, w których wyrosłem.

Jak pan wspomina studia na ASP?

Kochaliśmy swoich profesorów, ale nie poprzestawaliśmy na samej uczeni. W czasach studenckich organizowałem może nie tyle obiady czwartkowe, co kolacje środowe. Zapraszałem do domu koleżanki i kolegów, zasada była jedna: nie wolno pić i palić ze względu na moich rodziców. Ja zapewniam herbatę, a co kto przyniesie, to będzie. Wcześniej ustalaliśmy plan: ktoś prezentował swoje rysunki, ktoś inny pisał, ktoś rzucał jakiś problem do przedyskutowania, a ja do tego wszystkiego aranżowałem wariacką scenografię. Spotykaliśmy się regularnie i to było cudowne, czuliśmy się trochę jak na tajnych kompletach, ponieważ nasz dom był obserwowany przez odpowiednie służby. W pobliżu parkował samochód z trzema smutnymi panami, ale nie spotkałem się z żadnym naciskiem z tamtej strony, bo też nic podejrzanego politycznie nie robiliśmy. Spotkania zakończyły się, gdy zrobiło się o nich głośno wśród koleżenstwa i ludzie koniecznie chcieli w nich uczestniczyć. Tymczasem my spotykaliśmy się dlatego, że byliśmy kumplami,



Fot. Edyta Duda

ufaliśmy sobie, że możemy gadać największe głupoty, ale nie wyjdzie na zewnątrz. Muszę przyznać, że zastosowałem tę metodę w pracy ze studentami – gdy w pracowni robimy przeglądy czy prowadzimy dyskusje, to zasady są dwie: po pierwsze nie może być żadnej osoby z zewnątrz, a po drugie, jeśli nakryję kogoś na plotkowaniu o tym, co dzieje się w pracowni, robię gigantyczny raban.

Studenci mają więc poczucie bezpieczeństwa.

Młodzi ludzie tak bardzo boją się ośmieszenia, co jest pokłosiem mediów społecznościowych, że muszę im zapewnić bezpieczeństwo, bo inaczej zaczną wygłaszać jakieś poprawne formułki. Tymczasem bez prawa do powiedzenia głupoty nie ma wolności myśli. Ja sobie też czasami pozwalam na mówienie przed nimi głupot, co pozytywnie zaognia sytuację. Ale wracając do okresu moich studiów, istotną rzeczą, która kształtowała nasze życie, była dychotomia pomiędzy Kapistami, którzy w dość istotny sposób opanowali Akademię, a Grupowcami. Uważam tę wojnę trzydziestoletnią za piękny krakowski rys charakterystyczny. To, że nie da się wszystkiego sprowadzić do wspólnego mianownika, jest cudowne, prawdziwe i czyste. Najgorszą sytuację w kulturze mamy, gdy pojawiają się masywne gwiazdy, na krawędzi masywności czarnej dziury, których oddziaływanie na otoczenie jest śmiertelne. Jedną z nich był Kantor. Oczywiście nie umniejszam Kantora, zresztą sam byłem pod jego potężnym wpływem. Moje pierwsze próby parateatralnych działań skończyły się, gdy uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie wydobyć się spod tego przemożnego wpływu. Tacy geniusze jak Kantor nie nadają się na nauczycieli.

Tak więc w krakowskiej akademii Kapiści i Grupowcy walczyli między sobą, a w tle tych zmagania pojawiali się Wprostowcy, czyli Jacek Waltoś czy Zbylut Grzywacz, który darł ze mną koty, w czasie gdy byłem studentem. Żaden z nas nie zmienił zdania, ale Zbylut zaczął mnie szanować. Biorąc pod uwagę różnicę pokoleń, to był dowód jego wielkiej otwartości i klasy.

Mogliśmy rozmawiać ze sobą, zachowując odmienność. Właśnie takie sytuacje i wartości budowały atmosferę studiów za moich czasów.

Jak młodzi ludzie odnajdywali się w sporach pomiędzy Kapistami i Grupowcami?

Bardzo różnie. Mieliśmy dwa rodzaje korekt jednego obrazu: „Panie Andrzeju, ta marchewka w pana obrazie nie brzmi” – mówimy o Kapistach, albo „Panie Andrzeju, to jest dobrze skomponowane – no ale co z tego?” – mówimy o Grupie.

A która postawa była panu bliższa?

Ja byłem zawsze bliższy Grupy z tego powodu, że duch i idea były dla mnie istotniejsze niż kształt, który próbowałem im nadać. Nigdy nie byłem w stanie spojrzeć na obraz jako doskonały układ pustych form. Jestem jakoś skażony tym naładowaniem duchowym, emocjonalnym, skojarzeniowym. Nawet jeśli przez wiele lat pracowałem w czystej, niekiedy wręcz matematycznej abstrakcji, to moje działania zawsze były obciążone tradycją ikony itd. To, że mogliśmy otrzymywać przeróżne korekty, uważam za wartość. Uczyliśmy się w ten sposób zachowywać pewien dystans do korekty, czyli pozostawać z koniecznością podjęcia własnej decyzji ostatecznej. Ale też żadna z tych korekt nie była bzdurna.

Studenci mogli dostrzec różne aspekty własnych działań twórczych.

Moi profesorowie, czy to Kapiści, czy Wprostowcy, to byli ludzie świetli. Takie osoby jak Jacek Waltoś czy Zbylut Grzywacz, na miły Bóg, toż to chodzące encyklopedie! Żadna z korekt nie była bzdurna.

A co zmieniło się w Akademii? Co dziś otacza i „karmi” pańskich studentów?

Zmieniły się relacje pomiędzy nauczycielami i uczniami, ponieważ za moich czasów mawiało się, że student nie jest

artystą – ma studiować, a nie wydziwiać. Dzisiaj traktujemy studentów jako młodszych partnerów. To są często ludzie już pokaleczeni przez życie, jakby z wojny wrócili, i przeważnie nie mają wsparcia w swoich rodzinach i środowiskach, co ja z kolei wyniosłem z domu. Mój ojciec powiedział kiedyś: „nie rozumie go, ale popieram” i zamknął usta wszystkim krytykom. Tu jest inaczej, młodzi ludzie nie są w stanie zidentyfikować się z tożsamością, która była im wtłaczana. W czasie studiów przechodzą autentycznie załamania. Ale ja jestem akuszerem, przeprowadzam ich przez takie doświadczenia, bo uważam, że bez załamania żaden artysta się nie narodzi. Muszę przyznać, że mój stosunek do oceniania studentów jest negatywny. Daję im do zrozumienia, że to jest wymóg formalny, który musimy spełnić, ale w sztukach czystych to czy student dostanie plus, czy minus, jest absurdem.

A jaki ma pan stosunek do oceny wykładowcy przez studenta? Jest to także wymóg formalny, wprowadzony stosunkowo niedawno.

Z tych ocen akurat bardzo się cieszę, bo potrzebuję informacji zwrotnej. W relacjach ze studentami dostrzegam pewne zmiany pokoleniowe. Są studenci i studentki, dla których świat na ekranie jest światem pierwszym. Zredefiniowało się także pojęcie środowiska artystycznego. Ja studiowałem pomiędzy dwoma lub trzema krakowskimi środowiskami twórczymi, a moi studenci żyją w globalnym środowisku. Każdy z nich ma także swoje indywidualne środowisko internetowe, mają też mocne środowisko pokoleniowe. Skutek jest taki, że student łatwiej sprzeciwi się wykładowcy niż swojej grupie. Odczuwają strach przed wypluciem przez grupę, są uzależnieni od lajków. Na szczęście moja pracownia stanowi sitwę, która bardzo mocno wzajemnie się kształtuje.

Studenci zyskują więc alternatywne środowisko w stosunku do internetowego.

Tak, chociaż ciągle bardziej związani są ze środowiskiem internetowym. Pamiętam ten krzyk rozpacz, prawie jak z *Ferdydurke*, gdy student nie mógł znaleźć w internecie prac pewnego artysty: Panie profesorze! On jest nieogłoglowalny! To był kamień milowy w moim rozumieniu świata, w którym żyją studenci.

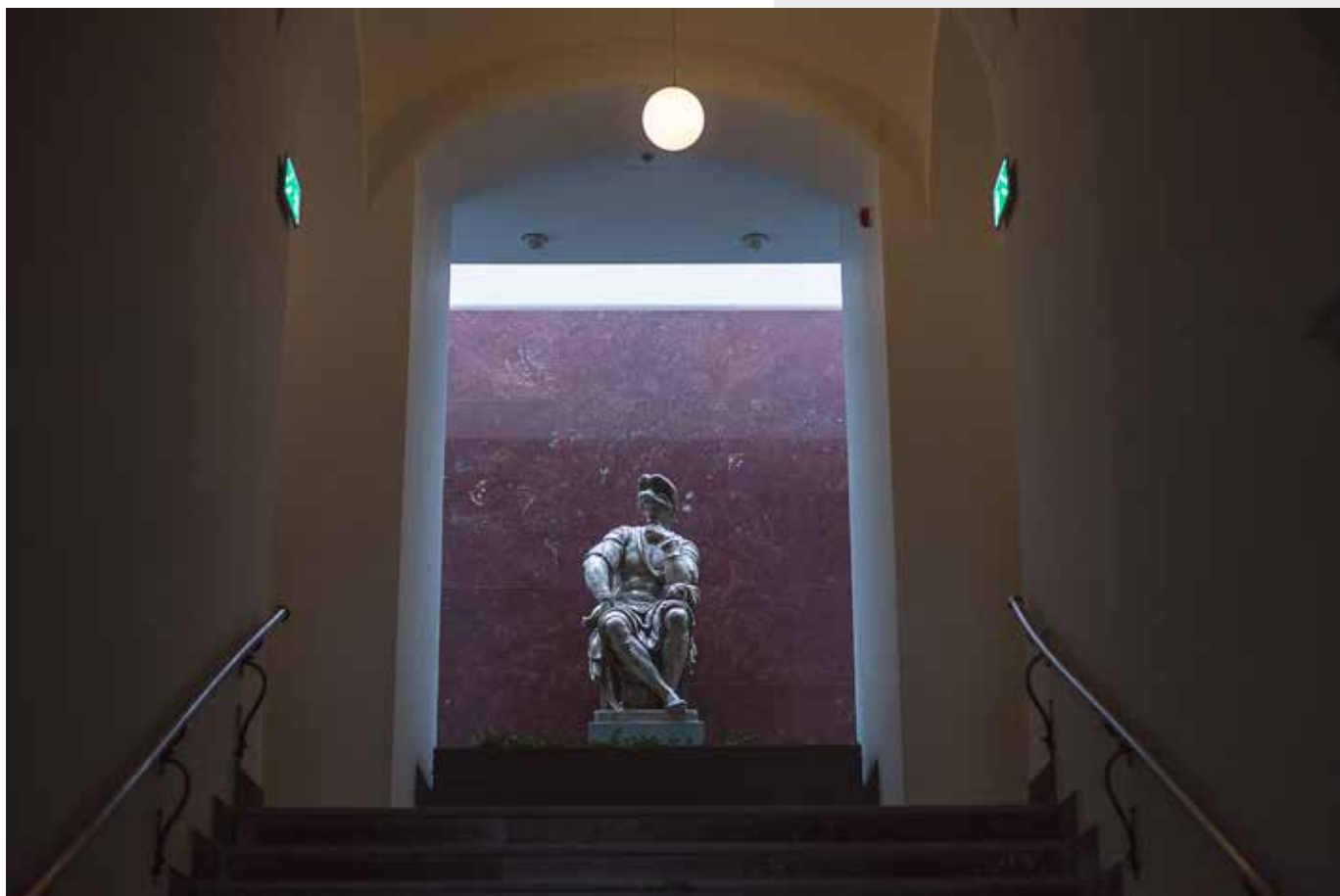
„Artysta nieogłoglowalny” obecnie to największa potwarz!

„Jak zachwyca, kiedy nie zachwyca!” – przebiecie do *Ferdydurke* jest wyraźne. Jesteśmy na krawędzi przemiany, czyli kolejnej śmierci Europy. Tak jak Gombrowicz w sposób cudowny opisał koniec starej Polski, wiele przewidział, wiele nazwał, jak Canetti czy Musil dali wyraz agonii starej Europy, co doprowadziło do torsji I wojny światowej, tak ja mam świadomość, że jesteśmy teraz już w kolejnym etapie.

Kolejna różnica pokoleniowa jest taka, że studenci mogą podróżować po Europie i odwiedzać różne uczelnie, co dla nas było niemożliwe. Zachęcam też, żeby przyjeżdżali do nas studenci z zagranicy. Posiadanie we własnym plemienu kilkorga obcych jest cudowne, działa jak akcelerator rozpędzający cząstki do niebotycznych prędkości. Swoich studentów także prowokuję do wyjazdów, bo po wytrąceniu z kolein dokonuje się wiele prawdziwych przemian.

I kolejna rzecz: gdyby mój profesor zauważył, że ktoś inny robi mi korektę, to byłoby gigantyczne faux pas. Tymczasem ja sugeruję studentom, aby konsultowali swoje prace także z innymi profesorami. Ważna jest konfrontacja odrębnych stanowisk, co kiedyś było niedopuszczalne. Często stosuję tzw. obce oko. Zapraszamy na zajęcia, na których studenci prezen-

Krakowska ASP



Fot. Edyta Duda

tują swoje prace, osoby spoza Akademii: historyków sztuki, przedstawiciele muzeów czy galerii. Muszę przyznać, że największe przeskoki fazowe w rozwoju osobowości dokonywały się pod wpływem tych spotkań. Czasami bywało ostro, ale mam świadomość, że dzięki takim działaniom wypuszczam z pracowni ludzi przygotowanych do tego, aby nie zdechli zaraz po wyjściu z Akademii.

Jak po zakończeniu studiów radzą sobie absolwenci sztuk czystych?

Bardzo różnie, ale stosunkowo nieźle. Odkąd zarządzam uczelnią, budujemy program przygotowania biznesowego i ekonomicznego: prowadzenie pertraktacji, czytanie i podpisywanie umów, zakładanie własnej działalności. Badamy oczekiwania kandydatów i losy absolwentów, ponieważ moim celem nie jest wypuszczenie ludzi z piątką plus na dyplomie, tylko przygotowanie studentów do odnalezienia się na rynku pracy i w realnym świecie. Tego wcześniej brakowało, niektórzy profesorowie wręcz twierdzili, że mamy zajmować się tylko sztuką. Pamiętam takie wypowiedzi: „Jak będziesz dobry, to cię znajdą”. Moze mieli trochę racji w latach 80. ubiegłego wieku, ale w latach 20. obecnego – już nie. Obecnie istotna dla artystów staje się wiedza, jak wskoczyć w obieg informacji.

Czyli jak stać się googlowalnym?

Wcześniej Akademia nie uczyła tego i to jest fundamentalna zmiana. Współpracujemy z otoczeniem biznesowym i otoczeniem społecznym i dzięki temu przestaliśmy być uczelnią anonimową dla społeczeństwa. Niedawno podpisałem porozumienie z Małopolską Agencją Rozwoju Regionalnego i z Krakowskim Parkiem Technologicznym, czyli z tymi firmami

i agendami, które pracują z wielkim, średnim, małym i mikro-biznesem. Budujemy wspólne projekty, wierzę więc, że jeśli ktoś przyjdzie do firmy i powie: „Ukończyłem krakowską Akademię Sztuk Pięknych”, to jego szef będzie wiedział, z kim ma do czynienia.

Kończy się epoka pewnego eskapizmu...

Tak, obraz uczelni jest zupełnie inny niż za moich czasów. Akademia to obecnie firma, a moim obowiązkiem jest budowanie wizerunku firmy. Jako rektor ASP często jestem obecny w mediach. Powołałem do istnienia pierwszy w dwustuletniej historii akademii Dział Promocji. Choć sztuki czyste mają prawo odbywać się w „wieży z kości słoniowej”, ale – to może zabrzmieć jak hasło wyborcze – ja muszę oddać społeczeństwu sztukę, zasypać to katastrofalne pęknięcie pomiędzy społeczeństwem polskim a sztuką wysoką, gdyż to prowadzi do śmierci naszej tożsamości. Wrzeszczę o tym na lewo i prawo. Z zasady jestem egalitarny i mam nadzieję, że uda się trochę odczarować sztukę, aby ludzie tak bardzo się jej nie bali.

Z nazewnictwa pracowni w krakowskiej ASP zniknęło określenie „pracownia mistrzowska”. Czy jest to zmiana czysto formalna, czy jakiś znak czasu?

Redefinicja mistrzostwa jeszcze się nie dopełniła. Na pewno naszym celem nie jest wyprodukowanie artysty, który w sposób rozpoznawalny będzie kontynuatorem artystycznej postawy profesora. Wręcz przeciwnie, często powtarzam studentom, że mają mi zaprzeczyć, a nie podążać moją ścieżką. Klasy mistrzowskie to były środowiska artystyczne noszące w sobie immanentne cechy, po których można było rozpoznać, kto jaką pracownię skończył. Ja się temu sprzeciwiam, bo nie takie jest zadanie uczelni artystycznej. Nie powinniśmy forma-

Open Eyes Art. Festival



Fot. Wira Kosina-Polajska

tować ludzi. Mamy być akuszerami i akuszerkami, a nie tymi, którzy obciosują.

Największa zmiana, jaka się u nas dokonuje, polega na poszerzeniu spektrum pracowni, które mogą dyplomować. Na Wydziale Malarstwa wszystkie pracownie, kiedyś tzw. mistrzowskie, dyplomują, można też zrobić dyplom w pracowni interdyscyplinarnej. A przed nami rewolucja. Ostatnia konferencja rektorów w Walencji, w której uczestniczyłem, to był miód na moje serce. Choć cały czas mówiło się o otoczeniu biznesowym, społecznym i badaniach naukowych, to ja krzychałem: „Jesteście kulawi, bo bez kultury i sztuki się przewrócicie!”. I czułem, że znajduję zrozumienie. Może u nas nie ma jeszcze takiego problemu, czy praca zaliczeniowa została napisana przez studenta, czy przez ChatGPT, ale mamy już świadomość, że trzeba tworzyć elastyczną, może nawet płynną strukturę programowania studiów.

ChatGPT w sztukach pięknych i projektowych nie stanowi jeszcze większego zagrożenia. A co z innymi nowymi technologiami?

Sztuki piękne i sztuki projektowe od lat są tworzone z wykorzystaniem wysoko zaawansowanych programów komputerowych. Na szczęście w sposób oczywisty i łatwy rozpoznajemy, kogo komputer pokonał, czyli narzędzie stało się mistrzem, a artysta stał się narzędziem. Byłem ostatnio promotorem bardzo frapującej pracy doktorskiej, w której doktorant rozważał kwestie traktowania komputera jako podmiotu procesu twórczego, można powiedzieć, że antycypował to, co niebawem wybuchnie. Marzy mi się pójście w kierunku przemysłu kreatywnego, tymczasem dysponujemy sprzętem, który się starzejże szybciej niż zdąży na siebie zarobić. Musimy więc pracować na sprzeczce biznesowym, który właściciele udostępnią nam, wiedząc, że w ten sposób uzyskają z Akademii wysokiej

klasy specjalistów. Powinni jednak mieć wpływ na kształtowanie programu, gdyż mają świadomość, czego potrzebują. Podobnie jest ze sztukami pięknymi – muszą mieć możliwość prowadzenia debaty z przedstawicielami społeczeństwa o potrzebach i oczekiwaniach nie po to, żeby malować pod publiczność, ale żeby kształtować kompetencje pomagające absolwentom stać się pełnoprawnymi członkami społeczeństwa. Trzeba kategorycznie przerwać ten trend, że albo ktoś się załapie na obieg galerijny, albo jako artysta znika i idzie do korporacji, co przydarzyło się wielu genialnym ludziom z Akademii, którzy teraz nierzadko są zgorzkniali. Ważna jest także kwestia języka. Często jesteśmy mistrzami bełkotliwych wypowiedzi. Ludzie nas słuchają, nie rozumieją i myślą, że są kretykami. Powinniśmy uczyć studentów mówienia językiem ludzkim o swojej pasji i o swojej pracy. W mojej pracowni nie wygłaszam kazań, tylko rozmawiam ze studentami i każę im atakować siebie nawzajem, żeby uczyli się mówić, bo tego wymaga od nich nowa rzeczywistość. Muszę także wspierać ich działania w sieci i przygotować do wejścia w skład zespołów kreatywnych. Moje pokolenie było kształtowane do samotniczej pracy twórczej w zaciszu, obecnie studenci potrafią pracować w zgiełku, w smogu informacyjnym i robić siedemnaście projektów artystycznych jednocześnie, komunikując się nieustannie między sobą. To są głębokie różnice międzypokoleniowe. A to dopiero początek, bo naprawdę nadchodzi trzęsienie ziemi. Tąpnięcie, które czeka rynek pracy, będzie gigantyczne i nie ominie też sztuki, w której wiele jeszcze trzeba będzie przededefiniować. Jest to zarazem i lękotwórcze, i fascynujące.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Open Eyes Art. Festival



Marek Misiak

Check... check... check...

Jeśli autorzy nie tylko wypełnią checklistę, ale też dostosują tekst do zawartych w niej wytycznych, rośnie szansa, że recenzenci nie będą zgłaszać uwag do aspektów pracy ujętych na liście; w rezultacie proces peer review będzie krótszy, bo praca mniej razy będzie odsyłana do autorów, a szanse na pozytywny werdykt wzrosną.

W powieści szwajcarskiego noblisty Friedricha Dürrenmatta *Podejrzenie (Der Verdacht, 1951)* lekarz zdaje sobie sprawę, że jego rzekomy dawny znajomy, który powrócił po latach z Ameryki Południowej, jest oszustem. Podaje się za osobę, która opuściła III Rzeszę przed II wojną światową, na podstawie zmiany stylu artykułów naukowych, które (wciąż pod tym samym nazwiskiem) ukazują się w anglo- i niemieckojęzycznych czasopiśmie naukowych. Wybitni naukowcy, tacy jak (na gruncie języka angielskiego) Richard Feynmann, byli cenionymi stylistami naukowej odmiany angielszczyzny nie tylko w pracach eseistycznych, ale też stricte naukowych. Te czasy w naukach ścisłych, przyrodniczych czy medycynie wydają się należeć do odległej przeszłości, gdyż obfitość artykułów publikowanych w czasopiśmie naukowych powoduje postępującą standaryzację tekstów, nie tylko na poziomie języka, ale przede wszystkim struktury. Celem jest zarówno uproszczenie selekcji manuskryptów do publikacji, jak też przyspieszenie lektury (czytelnik zawczasu wie, które partie jedynie przeskanować, a nie uważnie czytać) i ułatwienie porównywania wyników zaprezentowanych w artykułach na podobny temat. Przykładem narzędzia wymuszającego – całe szczęście dla autorów, tylko do pewnego stopnia – są tzw. checklisty (z braku ustalonego polskiego odpowiednika pozwolę sobie pozostać przy terminie anglojęzycznym). Ponieważ jestem redaktorem przede wszystkim czasopism medycznych, chciałbym posłużyć się przykładami z tego obszaru, z zaznaczeniem, że podobne mechanizmy spotkać można (choć z mniejszą intensywnością) również w kilku innych dziedzinach nauki i generalnie wydaje się, że tego rodzaju narzędzia będą spotykane coraz częściej.

W niektórych anglojęzycznych medycznych periodykach naukowych od autorów wymaga się przy nadsyłaniu artykułu wyboru checklisty, determinującej strukturę artykułu i niektóre zawarte w nim treści. Nie jestem w stanie stwierdzić, na ile rozpowszechnione jest stosowanie tego narzędzia – nie bez powodu wielu autorów od lat obecnych w obiegu naukowym deklaruje, że to składając artykuł do któregoś z redagowanych przeze mnie czasopism zetknęli się z checklistami po raz pierwszy. Mogę tylko wskazać, że wymóg załączania takiej wypełnionej listy jest znany w medycznych periodykach naukowych z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii i Australii. I tam nie stanowi normy, ale systematycznie się upowszechnia. Checklisty są opracowywane od lat dziewięćdziesiątych przez zespoły doświadczonych badaczy. Czasem w ich powstawaniu uczestni-

czą też redaktorzy pism naukowych, ale nie jest to regułą. Różnią się stopniem szczegółowości zawartych w nich wskazówek, a także formą. Większość należy wypełnić, wpisując przy kolejnych podpunktach numer strony lub sekcję pracy, gdzie poruszono dane zagadnienie lub wyjaśniając krótko, dlaczego przy konkretnym manuskrypcie dany wymóg nie ma zastosowania. Bywają jednak i takie, gdzie trzeba jedynie oznaczyć, który podpunkt ma dla artykułu znaczenie, a który nie. Wypełnioną checklistę należy dołączyć do zgłaszanego artykułu – niektóre używane przez redakcje systemy komputerowe przeznaczone do przedkładania manuskryptów i zarządzania ich obiegiem przewidują w tym celu osobny etap podczas składania pracy do oceny. Pusta checklista stanowi podstawę do odesłania artykułu przez redakcję do uzupełnienia.

Szanse na publikację rosną

Narzędzia te są czasem odbierane przez autorów jako dodatkowe utrudnienie przy zgłaszaniu artykułu do czasopisma, ale wybranie właściwego dokumentu tego typu i dostosowanie manuskryptu do ujętych w nim wymogów jest ważne również z punktu widzenia właśnie badaczy odpowiedzialnych za daną pracę. Odzwierciedlają coraz szerzej przyjmowane w naukowych czasopiśmie medycznych standardy, którym powinny odpowiadać różne rodzaje artykułów. Jeśli praca zostanie dostosowana do odpowiednich dla niej wymogów, szanse na publikację (a potem na zacytowanie) rosną. W niektórych czasopiśmie o wysokim współczynniku odrzuceń checklista są obowiązkowe i artykuł, któremu nie towarzyszy wypełniona checklista, w ogóle nie będzie rozpatrywany. Podkreślam tu teoretycznie oczywistą konieczność jej wypełnienia, gdyż zdarza mi się przynajmniej kilka razy w tygodniu wstępnie weryfikować artykuły, których autorzy poprawnie dobierają checklistę, ale załączają tylko pusty formularz. Nie mogę się tu oprzeć pokusie pewnej złośliwości. Z rozmów z niektórymi autorami wnioskuję, że nie podejmują oni nawet próby zrozumienia, jaki cel ma narzędzie, jakim są checklisty, i posługują się nimi na zasadzie mechanizmu, który wspomniany już Richard Feynmann określił mianem „nauki spod znaku kultu cargo” (ang. cargo cult science) – spełnianie pewnych wymogów czy stosowanie pewnych procedur bez refleksji nad ich sensem. Pusta checklista niczego nie weryfikuje i o niczym nie świadczy. Przy wypełnianiu takich list warto też zwrócić uwagę na zawartość nagłówka tabeli nad rubrykami przeznaczonymi do uzupeł-

nienia, w przypadku większości tego rodzaju narzędzi trzeba tam podać numer strony lub sekcję artykułu, w której poruszono dane zagadnienie; odpowiedzi tak/nie lub V i X mogą nie wystarczyć, gdyż nie stanowią potwierdzenia, że artykuł ma odpowiednią strukturę. Liczy się nie tylko to, czy poruszyliśmy dane problemy, ale i to, w jakiej kolejności.

Jeśli autorzy nie tylko wypełnią checklistę, ale też dostosują tekst do zawartych w niej wytycznych, rośnie szansa, że recenzenci nie będą zgłaszać uwag do aspektów pracy ujętych na liście. W rezultacie proces peer review będzie krótszy, bo praca mniej razy będzie odsyłana do autorów, a szanse na pozytywny werdykt wzrosną. Nie chodzi tu o to, co jest częstym nieporozumieniem wśród mniej doświadczonych autorów: że każdy recenzent będzie rozpoczynał sprawdzanie artykułu od zweryfikowania, czy lista jest poprawnie wypełniona. Stanowi ona jedynie narzędzie wymuszające określony kształt artykułu, a nie cel sam w sobie. Ma w ostatecznym rozrachunku pomóc autorom, a nie recenzentom. Dlatego warto być świadomym, że takie narzędzia istnieją, dobrać odpowiednią checklistę już na etapie planowania i pisania tekstu (a być może już na etapie samych badań) i tworzyć manuskrypt z uwzględnieniem jej wymogów (niektóre listy dostarczają wręcz gotowej struktury artykułu). Zniknie wówczas stres, że nie wszystkie rubryki danej listy jesteśmy w stanie wypełnić. Warto zauważyć, że każda checklista zawiera cały szereg wymogów, ale nigdy nie trzeba spełnić wszystkich naraz, naturalne jest zatem, że w części rubryk znajdzie się odpowiedź N/A (not applicable). Jeśli dobierzemy odpowiednią listę jeszcze przed napisaniem manuskryptu, będziemy dobrze wiedzieć, dlaczego dany wymóg danej checklisty nas nie obowiązuje.

Najczęściej stosowane w czasopismach medycznych checklisty

STROBE (Strengthening the Reporting of Observational Studies in Epidemiology) – do artykułów prezentujących wyniki badań obserwacyjnych (jedna z najczęściej, i słusznie, wybieranych checklist w czasopismach medycznych);

CONSORT (Consolidated Standards of Reporting Trials) – do prac opisujących badania kliniczne różnego typu;

ARRIVE (Animal Research: Reporting of In Vivo Experiments) – do artykułów opisujących wszelkiego rodzaju eksperymenty medyczne na zwierzętach (niezależnie od tego, jaka jest szczegółowa tematyka pracy);

STARD (Standards for Reporting Diagnostic Accuracy) – do prac dotyczących precyzji w diagnostyce;

SQUIRE (Standards for Quality Improvement Reporting Excellence) – do artykułów o jakości opieki medycznej;

REMARK (REporting recommendations for tumor Marker prognostic studies) – do prac o markerach nowotworowych;

PRISMA (Preferred Reporting Items for Systematic Reviews and Meta-Analyses) – do systematycznych prac poglądowych i metaanaliz; w niektórych czasopismach wymagana do wszystkich artykułów poglądowych (wszelkich review); wówczas w dużej części rubryk znajdzie się N/A, ale dostosowanie artykułu do wymogów tej checklisty i tak sprawi, że jego struktura stanie się bardziej sformalizowana.

Niektóre checklisty zostały stworzone z myślą jedynie o artykułach z bardzo konkretnego zakresu tematycznego (np. lista TRIPOD – Transparent Reporting of a multivariable prediction model for Individual Prognosis or Diagnosis), ale więk-

Obfitość artykułów publikowanych w czasopismach naukowych powoduje postępującą standaryzację tekstów.



Rys. Sławomir Makal

szość obejmuje szerokie kategorie prac (PRISMA, CONSORT, STROBE czy ARRIVE). Niektóre checklisty mają kilka, a nawet kilkanaście podrodzajów powiązanych z różną tematyką prac, ale zastosowanie ogólnej listy danego typu na ogół wystarczy. Checklisty nie są natomiast wymagane przy pracach bardzo krótkich, w których narzucenie konkretnej struktury pracy i zawarcia w niej licznych dodatkowych treści byłoby niemożliwe lub niecelowe, np. tak jest w przypadku edytoriali, research letters i artykułów typu research-in-progress. Nie ma też checklist dla prac z pogranicza nauki i eseistyki, np. z zakresu historii medycyny.

Medyczne artykuły naukowe, do których w ogóle nie sposób dobrać checklisty, trafiają się bardzo rzadko, a zdarza się, że autorzy zamiast dobrać checklistę, załączają jedynie stwierdzenie, że ich artykuł wymyka się takim klasyfikacjom. Może się zdarzyć, że redaktor podzieli taką optykę, ale wcale tak być nie musi. Warto zdawać sobie sprawę, że w niektórych czasopiśmie medycznych checklisty nie jest elementem dodatkowym, ale obowiązkowym. Jeśli tak jest, musi to być wyraźnie ujęte w regulaminie lub instrukcji dla autorów zamieszczonych na stronie internetowej danego periodyku lub w innym łatwo dostępnym źródle.

Lepiej załączyć niż nie załączyć

Może być tak, że nie ma specjalnej listy dla danej tematyki w medycynie lub danego typu artykułów, ale wówczas zawsze można spróbować z listą CASP (Critical Appraisal Skills Programme). To lista najbardziej ogólna, dająca się zastosować przy ogólnie pojętych pracach badawczych różnego typu – ma kilkanaście podtypów przeznaczonych do różnych rodzajów artykułów naukowych, a jednocześnie nie determinuje struktury artykułu – zawiera jedynie konkretne zagadnienia, do których trzeba się odnieść za pomocą odpowiedzi tak/nie/nie dotyczy. Także pomagają podnieść poziom manuskryptu i własną samoświadomość badawczą, ale jednocześnie może stanowić „koło ratunkowe” dla autorów mniej typowych artykułów. Warto tego jednak nie nadużywać i zanim zastosujemy listę CASP, upewnić się, że żadna inna checklisty nie znajduje zastosowania do naszego tekstu. Redaktor może zakwestionować nasz wybór checklisty, jeśli do tematyki artykułu w oczywisty sposób pasuje inna lista.

Jeśli żadna checklisty nie wydaje się pasować, zawsze można spróbować z listą STROBE lub CASP, a generalnie lepiej dołą-

czyć wypełnioną checklistę, nawet nie będąc pewnym, czy to ta właściwa, niż nie załączyć żadnej, bo wtedy praca na pewno nie przejdzie wstępnej weryfikacji. Jeśli autor jest autentycznie w kropce i nie wie, co wybrać, zawsze warto spytać redaktora, co robić. Z jednym wszakże zastrzeżeniem. Redaktor czasopisma medycznego stanowiący pierwszy kontakt dla autorów niekoniecznie jest z wykształcenia lekarzem (może być np. – jak piszący te słowa – filologiem) i nie zawsze będzie w stanie pomóc, jeśli dobór checklisty wymaga specjalistycznej orientacji w danej dziedzinie. Dobór checklisty należy w pierwszej kolejności do autora i nie należy go przerzucać na redaktora. Warto pamiętać, że wiele czasopism w ogóle nie oferuje takiego wsparcia i nie można traktować go jako oczywistości.

Niektórzy autorzy odbierają taki wymóg jako brak zaufania do ich kompetencji. Dla doświadczonych badaczy zawartość checklisty do sprawy oczywiste. Niestety moje doświadczenie jako redaktora odpowiada mi, że nawet utytułowani naukowcy potrafią zapominać o podstawach. Jeśli przyjrzem się systemom do przekładania manuskryptów w czasopiśmie naukowych, często można zauważyć, że są one skonstruowane podobnie, jak np. elektroniczne formularze w urzędach państwowych czy bankach – uniemożliwiają przejście do kolejnych etapów, jeśli nie zostaną podane określone informacje. Nawet to nie chroni jednak przed sytuacjami, których regularnie doświadczam: autorzy podczas przekładania manuskryptu zapominają np. podać, że artykuł został już publicznie udostępniony jako preprint lub że badania zostały dofinansowane przez zewnętrzną instytucję. Takie pominięcia nie wynikają rzecz jasna ze złej woli, lecz z pośpiechu, stresu czy złej organizacji pracy, ale jeśli mają one miejsce w kwestiach formalnych, to dlaczego miałyby do nich nie dochodzić także w odniesieniu do merytoryki? Czas poświęcony checkliście nigdy nie jest stracony, zawsze może się zdarzyć, że wykryjemy za jej pomocą jakieś nasze czy naszych współpracowników niedopatrzanie.

Wszystkie wspomniane wyżej checklisty (z wyjątkiem CASP) są dostępne na stronie <https://www.equator-network.org/>. Można tam znaleźć same listy w formie PDF-ów i edytowalnych plików DOCX, a także linki do artykułów omawiających cele danej listy i sposób jej wypełniania na przykładach. Z kolei różne rodzaje checklisty CASP pobrać można ze strony <https://casp-uk.net/casp-tools-checklists/>.

Prenumerata

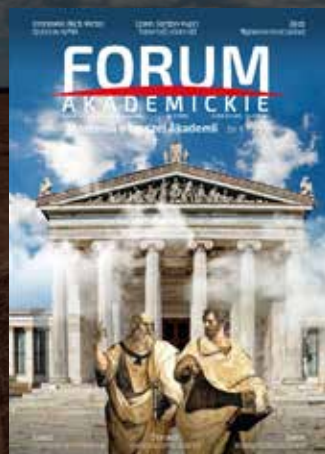
„Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Inna perspektywa

O metodologicznych dylematach i priorytetach badań w naukach o zarządzaniu. Cz. I

Każda racjonalna działalność człowieka, zarówno indywidualna, jak i zbiorowa, oparta być powinna na doborze oraz zastosowaniu odpowiedniej do jej przebiegu i wyników wiązki rozwiązań o charakterze metodologicznym o różnych stopniach szczególności.

Refleksja metodologiczna w naukach o zarządzaniu jako jednej z dyscyplin szerszej ich grupy – nauk społecznych (abstrahując tu od obowiązującego nazewnictwa i systematyki nauk) – może być i bywa podejmowana z różnych perspektyw. Dwie z nich wydają się godne szczególnej uwagi. Jedna zajmuje się opisem, oceną i rozwojem całego arsenału metodologicznych rekomendacji dotyczących: podejść, zasad, metod i narzędzi badań naukowych w naszej dyscyplinie na tle metodologii nauk społecznych i – szerzej – ogólnej metodologii nauk. W ramach tej perspektywy warto odnotować spory postęp, jaki dokonał się w ostatnich kilkunastu latach w naszym kraju, wyrażający się znaczną liczbą publikacji z tego zakresu, w tym publikacji monograficznych z ambicjami holistycznego ujmowania tego obszaru zagadnień. Jest to zjawisko godne uznania, zwłaszcza w kontekście znacznych w tym zakresie zaniedbań i opóźnień, choćby w porównaniu z innymi dyscyplinami nauk społecznych (np. socjologią, psychologią). Na polskim rynku wydawniczym, w gronie wielu autorów podejmujących tę problematykę w okresie kilkunastu ostatnich lat, wyróżniają się udział przypadają w moim przekonaniu profesorom: Wojciechowi Czakonowi, Markowi Lisińskiemu, Łukaszowi Sułkowskiemu i Hubertowi Witczakowi.

Ale jest też możliwa i potrzebna inna perspektywa refleksji metodologicznej w obrębie naszej dyscypliny, refleksji nad przesłankami, zakresem, przejawami oraz rezultatami stosowania owego arsenału rekomendacji metodologicznych odnoszących się do procesów przygotowania i prowadzenia badań naukowych w dyscyplinie. Tę właśnie perspektywę chciałbym uczynić przedmiotem mojej uwagi w tym opracowaniu. Widzę w niej bowiem z jednej strony wiele źródeł słabości obniżających poziom jakościowy badań naukowych, z drugiej zaś strony wiele możliwości działań na rzecz poprawy stanu w tym zakresie. Przyjmując ten punkt widzenia, nie można oczywiście abstrahować od poprzednio wskazanej perspektywy, będącej „dostarczycielem” koncepcyjno-metodyczno-instrumentalnej „aparatury”, która niezależnie od walorów i możliwości wsparcia w rozwiązywaniu problemów metodologicznych,

niewłaściwie użyta może także takie problemy generować lub wzmacniać.

Dla jasności dodam, że interesuje mnie perspektywa badań naukowych, a zatem wyłączam tu z rozważań całość problematyki określanej tradycyjnie mianem metodologii organizowania, a współcześnie częściej metodologii zarządzania, która tworzy normatywną warstwę (część) nauk o zarządzaniu, w skład której wchodzi bogata oferta: orientacji, podejść, koncepcji, metod i narzędzi zarządzania, skierowana na potrzeby praktyki zarządzania, wraz z problematyką przesłanek oraz metod ich doboru i wdrażania.

W kontekście zarysowanej wyżej sytuacji problemowej w dalszej części opracowania będę chciał się podzielić moimi spostrzeżeniami i opiniami płynącymi głównie z wieloletnich (1970-2020) doświadczeń badacza, wskazującymi, jakie elementy składowe (etapy) procesu badawczego w naukach o zarządzaniu oraz stosowane w ich ramach rozwiązania w warstwie metodologicznej (podejścia, koncepcje, zasady, metody, narzędzia badawcze itp.) należałoby poddawać szczególnej obserwacji, ocenie i doskonaleniu w poszukiwaniu warunków do polepszenia jakości przebiegu i uzyskiwanych wyników badania. Jakiego rodzaju reorientacja w postawach i zachowaniach badacza (w tym w zastosowaniach koncepcyjno-instrumentalnych rozwiązań sfery metodologicznej) powinna służyć osiągnięciu tych celów.

W dokonywaniu wszelkich ocen w zarysowanym wyżej obszarze problemowym widzę zasadność posługiwania się kryteriami znajdującymi swe źródła i oparcie w teoretyczno-filozoficznych nurtach metodologicznego realizmu, pragmatyzmu i racjonalizmu (w sensie kartezjańskim).

Do zaprezentowania rozważań wybrałem formę eseju naukowego o charakterze przyczynkarskim, a nie dzieła z ambicjami stricte naukowymi. Taki wybór wydaje się usprawiedliwiony moimi aktualnymi możliwościami, wynikającymi ze splotu wielorakich przesłanek. Wierzę, że nie zaszkodzi to znacząco spełnieniu moich głównych, wiązanych z tym opracowaniem intencji.

Poziom filozofii nauki

Każda racjonalna (rozumna) działalność człowieka, zarówno indywidualna, jak i zbiorowa, oparta być powinna na doborze oraz zastosowaniu odpowiedniej do jej przebiegu i wyników wiązki (kompozycji) rozwiązań o charakterze metodologicznym (czyli odnoszących się do sposobu postępowania) o różnych stopniach szczególności (orientacji, koncepcji, metod i narzędzi). Jeśli zaś w arsenale dostępnych rozwiązań brakuje takich, które odpowiadają potrzebom, rodzi się zadanie ich opracowania, dostosowania, doskonalenia itp. Zadania w powyższym zakresie kierowane są pod adresem metodologii, a w przypadku działalności naukowej – metodologii badań naukowych. Ten rodzaj metodologicznej refleksji na najbardziej ogólnym poziomie, obok takich elementów składowych odnoszących się do sfery badań naukowych jak: ontologia, epistemologia, aksjologia, jest częścią filozofii nauki. Jest to gałąź wiedzy naukowej leżącej u podstaw poznania naukowego, wspólnie znacznie już rozbudowana, zawierająca w sobie wiele cennych i ważnych założeń, ale też niepozbawiona kontrowersji i słabości.

Metodologia badań naukowych w ogólności, a dalej (w wyniku jej pogłębienia i rozwinięcia) w poszczególnych dziedzinach i dyscyplinach nauki, powinna być niewątpliwie osadzona w całym systemie filozofii nauki, koherentna z innymi (w/w) jej częściami. Można i należy zakładać, że w opracowaniach, zwłaszcza monograficznych, całościowych, poświęconych metodologii badań (niekiedy w połączeniu z innymi składowymi filozofii nauki) w wybranych dziedzinach i dyscyplinach nauki, w tym w naukach o zarządzaniu, owo osadzenie i koherentność są przez ich autorów zapewnione.

Powyższe założenie pozwala zasadniczo na uwolnienie każdego badacza (zarówno adepta, jak i doświadczonego) od obowiązku każdorazowego nawiązywania do owych filozoficznych

podstaw badania naukowego i deklarowania zindywidualizowanych założeń w tym zakresie. Tego rodzaju praktykę, według mojego rozeznania chyba najpowszechniej spotykaną w publikacjach badaczy z zakresu nauk o zarządzaniu, skłonny byłbym uznać za dopuszczalną, a nawet rekomendowaną. Oznaczałoby to brak rekomendacji dla wybiórczego deklarowania niektórych założeń w dyskusowanym tu zakresie, np. dotyczących przyjmowanego za podstawę postępowania badawczego paradygmatu, a tym bardziej dla prób demonstrowania holistycznego ujęcia tej grupy założeń. Zapewne każdy czytelnik odnajdzie w swej pamięci (bo ja odnajduję) przypadki rozbudowanych deklaracji dotyczących założeń o najwyższym poziomie ogólności, a więc mieszczących się w kategorii filozofii nauki, z których nic lub niewiele dla dalszego toku postępowania nie wynikało.

Jednak w ostatnich latach można zaobserwować narastającą tendencję do wybiórczego bądź całościowego artykułowania stanowiska w odniesieniu do założeń na poziomie filozofii nauki. W obliczu takiej tendencji mój powyższy postulat może wydać się kontrowersyjny. Ale czyż nie bardziej kontrowersyjne, by nie powiedzieć pozbawione sensu, jest np. operowanie terminem paradygmat w sytuacji, kiedy na dobrą sprawę sposobów jego/ich pojmowania i nazywania jest niemal tyle, ilu jest czynnych badaczy, przy czym niektórzy z nich nie bez powodu uważają, że nauki o zarządzaniu znajdują się w fazie przed- lub multiparadygmatycznej (przy czym, w tym ostatnim przypadku, zwykle brakuje jasnego wskazania i uzasadnienia obieranej wiązki paradygmatów).

Wśród większej liczby przesłanek, które powinny hamować pokusę szerokiego wkraczania przez badaczy w naukach o zarządzaniu w dyskurs na poziomie filozofii nauki, a zwłaszcza w sferę ontologii i epistemologii, warto, jak sądzę, wskazać na niską realną przydatność takiego dyskursu do modelowania dalszych elementów procesu badawczego oraz nie-



Zdjęcie: pixabay

uprawnione odwracanie uwagi czytelnika od najistotniejszych dla danego projektu badawczego kwestii metodologicznych i merytorycznych.

Wystarczające wydaje się tu (jawne lub ciche) założenie, że podlegające badaniu organizacje (systemy zorganizowane i zarządzane) są tworami (bytami) sztucznymi (wykreowanymi przez człowieka), celowymi, realnymi, poznawalnymi, posiadającymi pewien potencjał zdolności do samoregulacji i autodestrukcji, podatnymi na oddziaływania regulujące. Przyjmując powyższe założenia odnoszące się do niektórych właściwości organizacji, w szczególności wyżej wyróżnionych, takich jak: poznawalność, zdolności, podatność, warto mieć na uwadze, że są one jednak w pewnej mierze ograniczone, co w procesie badawczym nakierowanym na poznawanie i wyjaśnianie rzeczywistości organizacyjnej może być źródłem pewnego oporu, z którym badacz musi się mierzyć. Do tego jest mu potrzebna m.in. „dobra” i „dobrze użyta” metodologia oraz aksjologia.

Sugerowanej tu badaczowi zorientowanemu na rozwiązywanie problemów natury merytorycznej, a nie metodologicznej, zasadności stosowania samoograniczeń w eksponowaniu założeń badawczych na poziomie filozofii nauki nie należy jednakże odnosić do problematyki aksjologicznej, której istotą jest definiowanie podstawowych założeń dotyczących zasad przygotowania sądów wartościujących (ocen) w ramach prowadzonych postępowań badawczych. Szeroko pojmowaną jakość tych ocen, a w konsekwencji jakość bazującej na nich funkcji wyjaśniającej badań, wymaga stosowania odpowiednio dobranych kryteriów oceny, opartych na właściwych przesłankach, a w dalszej kolejności zastosowania właściwych metod i narzędzi oceny oraz zapewnienia odpowiednich dłań (co do rodzaju, ilości, rzetelności) informacji.

Wspomniane „właściwe przesłanki” doboru kryteriów oceny badanego fragmentu systemu organizacyjnego to, przypomnę, z jednej strony stawiane przed nim priorytetowe zadania (cele) odnoszące się do sposobu funkcjonowania i/lub wyników, z drugiej zaś wielorakie, pozytywnie i negatywnie oceniane skutki (efekty, nakłady) związane ze stosowaniem rozwiązań tego systemu. Właściwe zaś kryteria oceny owego systemu, to takie cechy (właściwości), które mieszczą się jednocześnie zarówno w sferze stawianych przed nim zadań (celów), jak i skutków stosowanych rozwiązań organizacyjno-menedżerskich. Kolejne ważne dla badacza zagadnienia natury aksjologicznej związane z formowaniem i stosowaniem kryteriów oceny to: refleksja nad „godziwością” celów (czyli kwestią ich etyczności, co wymyka się spod możliwości naukowej weryfikacji), hierarchizacja potencjalnych kryteriów i ich selekcja, syntetyzacja (integracja) kryteriów, radzenie sobie z wielokryterialnością ocen. Sygnalizując jedynie powyższe kwestie, w tym miejscu chciałem zwrócić uwagę na ich doniosłość i potrzebę poważniejszego, niż to ma zazwyczaj miejsce, traktowania. Podołanie powyższym warunkom i wyzwaniom nie jest łatwe, kryje w sobie wiele pułapek.

Kolejnym godnym uwagi problemem, nie zawsze właściwie zauważanym i rozwiązywanym, jest wyodrębnienie w/w celów i skutków funkcjonowania systemu organizacyjnego (stosowanych rozwiązań organizacyjno-menedżerskich) z ogółu celów podmiotu (np. przedsiębiorstwa) oraz skutków jego funkcjonowania. Jedne i drugie są bowiem „wtopione” w cele i skutki funkcjonowania całego podmiotu (przedsiębiorstwa). I tak np. automatyczne, bezrefleksyjne przypisywanie dobrych wyników funkcjonowania przedsiębiorstwa (np. osiągniętych zysków) sprawności stosowanych rozwiązań systemu organizacyjno-menedżerskiego w tym przedsiębiorstwie należy traktować jako niedopuszczalne uproszczenie.

Rozwiązania organizacyjno-menedżerskie stanowią tylko jedną grupę czynników wywołujących liczne, wielorakie konsekwencje: zarówno procesowe, jak i wynikowe; bezpośrednie i pośrednie; w krótkiej i dłuższej perspektywie czasowej; po stronie przychodowej i kosztowej itd. Jednoznaczne wyodrębnienie wpływu (konsekwencji oddziaływania) tej grupy czynników, często silnie powiązanych z różnorodnymi czynnikami innej natury (rynkowymi, fiskalnymi, technicznymi, społecznymi itd.) i ich konsekwencjami, graniczy z niemożliwością.

O sygnalizowanych wyżej kwestiach miałem okazję wielokrotnie i szerzej wypowiadać się we wcześniejszych publikacjach, poczynawszy od mojej pracy habilitacyjnej z roku 1982 pt. *Kryteria i metody oceny efektywności przedsięwzięć organizatorskich w przedsiębiorstwie*, do monografii z roku 2015 pt. *Praktyczny wymiar nauk o zarządzaniu* włącznie. W krajowym piśmiennictwie naukowym problematyce tej, zarówno historycznie, jak i współcześnie, nie poświęca się, jak sadzę, wystarczającej uwagi. Skutkuje to tym, że zbyt często stosowane kryteria oceny badanych rozwiązań (rzeczywistości organizacyjnej) mają charakter przypadkowy, schematyczny, wygodny dla badacza z operacyjnego punktu widzenia, a wykorzystywane w procesie oceniania informacje źródłowe nie dostarczają wystarczająco kompletnego i wiernego obrazu rzeczywistości. A zatem i wyniki oceny trudno uznać wtedy za prawidłowe.

Ograniczanie ryzyka związanego z jakością ocen w postępowaniach badawczych wymaga na wszystkich ich etapach stałej, wzmożonej troski. Badacz powinien zatem wykazywać wysoką wrażliwość na te kwestie. Oznacza to, iż już na poziomie przyjmowanych założeń filozofii badania naukowego, jego świadomości metodologicznej (o czym niżej), towarzyszyć powinna odpowiednio wysoka świadomość aksjologiczna. Na najbardziej ogólnym poziomie refleksji filozoficzno-metodologicznej widzę potrzebę reorientacji priorytetów we wskazanym wyżej zakresie i kierunku.

Kończąc ten fragment rozważań poświęconych zagadnieniom aksjologii, pozwolę sobie jeszcze na dwie uwagi. Pierwsza sprowadza się do stwierdzenia, iż problematyka aksjologiczna w tej samej postaci, z analogicznymi rekomendacjami, w równym stopniu odnosi się do metodologii badań naukowych w naukach o zarządzaniu, co jest tutaj głównym obszarem moich zainteresowań, jak też do metodologii organizowania (zarządzania). W obu bowiem przypadkach, tzn. do poznania i lepszego zrozumienia procesów i struktur organizacyjnych (w tym zarządczych), tudzież do ich tworzenia i doskonalenia, potrzebny jest opis i ocena przedmiotu badania. A do tego niezbędna jest „dobra” i „dobrze użyta” aksjologia.

Jeśli zgodzimy się z powyższą uwagą, to powinniśmy uznać za słuszną także kolejną. Sprowadza się ona do potwierdzenia sygnalizowanego już niezadowolenia z braku należytej uwagi poświęcanej problematyce aksjologicznej w literaturze z zakresu naszej dyscypliny. Jeśli mamy pozycje (w tym monografię) poświęcone epistemologii i metodologii zarządzania, dlaczego nie doczekaliśmy się podobnych pozycji dotyczących metodologii i aksjologii zarządzania? Nie chciałbym, aby prawdziwe okazało się przypuszczenie, że niedostatek uwagi poświęcanej aksjologii w naszej dyscyplinie jest przejawem zbyt powszechnego, także w innych sferach życia, przekonania, że co jak co, ale ocenianie wszystkiego co nas otacza, przychodzi nam łatwo i nie wymaga specjalnego wysiłku.

CDN

Prof. dr hab. Jan Lichtarski, obecnie profesor emerytowany, wcześniej związany z Katedrą Ekonomiki i Organizacji Przedsiębiorstwa Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Przez dwie kadencje członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Przez wiele kadencji członek Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania PAN.

Tadeusz Sucharski

Od Parandowskiego do Stasiuka

Rosja w literaturze polskiej ostatniego stulecia

Wieloletnie lektury dzieł polskich pisarzy emigracyjnych, wolnych od jakichkolwiek nacisków politycznych, utwierdziły mnie w słuszności przekonania Mariana Zdziechowskiego, że „dla nas, Polaków, poznanie psychiki rosyjskiej jest palącą koniecznością”. I żadne okoliczności polityczne nie mogą nas do tego zniechęcić.

Kolejnym „wejściom” Rosji w granice Polski towarzyszyło jednoczesne jej „wchodzenie” w polskie życie, w polskie myśli i wiersze, jak przed laty pisał Adam Zagajewski. Rosja zagarniała nasze ziemie, zniewalała naszą świadomość, ale także „anektowała” piśmiennictwo. Przez co najmniej czwartą część naszej historii była (i jest) Rosja jednym z głównych problemów literatury, jeśli nawet nie artykułowanym *expressis verbis*, to obecnym mimo pozornej nieobecności. W epoce romantyzmu, w czasach walk o odzyskanie niepodległości „zagadnienie rosyjskie” osiągnęło rangę problemu niemal podstawowego. O jego roli najlepiej świadczy obszerne hasło „Rosja” w słowniku poświęconym literaturze polskiej XIX wieku. Adekwatnego hasła w *Słowniku literatury polskiej XX wieku* nie znajdziemy, brakuje też prac, w których podjęta byłaby próba spojrzenia na „całość” problematyki, aczkolwiek temat ten w naszym piśmiennictwie minionego stulecia zajmuje miejsce nawet bardziej znaczące niż w wieku go poprzedzającym. Znaczące nie tylko ze względu na ilość dzieł, ale przede wszystkim ze względu na konieczność przekroczenia dotychczasowych horyzontów poznawczych, zmierzania się z absolutnie nowym zjawiskiem, z Rosją komunistyczną, z „państwem doskonałym”, jak pisał Czesław Miłosz.

Nie znaczy to wszakże, że skoncentrowani na Rosji sowieckiej pisarze polscy XX wieku „odrzucili” Rosję carską; wytyczała ona czasem (nawet zbyt często) kierunek refleksji nad despotyzmem rosyjskim, który w „dziedzictwie” jakoby przejęło państwo komunistyczne. Taką perspektywę przyjmowali najczęściej pisarze emigracji niepodległościowej, aczkolwiek to właśnie na uchodźstwie wypracowana została koncepcja „innej Rosji” (Gustaw Herling-Grudziński, Józef Czapski). Twórcy krajowi tylko sporadycznie nawiązywali do dramatycznych momentów XX-wiecznej historii. Literatura oficjalnie wydawana w kraju, nawet wybitna, starała się bezpiecznie

nie wykraczać poza epokę Romanowów. Trwała w wieku XIX, który „rozciągnął się” aż do roku 1917.

W tej różnorodności i obfitości dzieł trzeba doszukiwać się jednej z głównych przyczyn unikania prób zsyntezowania problemu Rosji w literaturze polskiej XX wieku. Do mnogości i gatunkowej wielorakości tekstów dodać trzeba bezmiar niezbędnych do uwzględnienia problemów, by studium owo spełniło wymogi syntezy. W ostatnich dwóch dekadach pojawiły się jednak liczne monografie zbiorowe, studia szczegółowe, przyczynki poświęcone różnym formom i formułom polskiego namysłu nad dramatycznymi przeobrażeniami ustrojowymi Rosji XX wieku, które dają nadzieję na wypracowanie oczekiwanej i niezbędnej syntezy. Moja książka *Od Parandowskiego do Stasiuka. Rosja w literaturze polskiej ostatniego stulecia* wpisuje się w ten właśnie nurt badań.

Od Lenina do Putina

Zależy mi na tym, by choćby w minimalnym stopniu przyczyniła się do powstania większej monografii poświęconej problemowi Rosji w literaturze polskiej XX wieku. Dlatego jej problematyka obejmuje bardzo szeroki, aczkolwiek odbiegający od niezbędnego minimum, wachlarz zagadnień. Przedmiotem namysłu objęte bowiem zostały: literackie ujęcia rosyjskiej i polsko-rosyjskiej historii, polska recepcja literatury i kultury rosyjskiej, zagadnienie antyrosyjskiej obsesji i próby jej przewyciężenia. Horyzont badawczy wytyczają teksty literackie i publicystyczne z początku międzywojnia i powstałe niemal sto lat później. Od roku 1919 do 2014. Z perspektywy rosyjskiej historii owo czasowe spektrum można by zamknąć w formule „od Lenina do Putina”, obejmującej przeobrażenia naszego groźnego sąsiada. Ale formuła ta okazuje się słuszna tylko w odniesieniu do chronologicznego porządku publikacji tekstów, artystyczna wizja prezentowanych w książce twórców powieści historycznej zmusza do przesunięcia pierwszej daty

i spersonifikowania jej w postaci Iwana Groźnego. Zaborcza współczesność nie odcięła bowiem polskich pisarzy od przeszłości, odcisnęła piętno na podejmowanej problematyce. Bardzo często szukali oni bowiem w historii Rosji źródeł „czerwonego caratu”, widząc w nim emanację „odwiecznej”, wrogiej Polsce imperialnej rosyjskości.

Z perspektywy historii literatury polskiej natomiast przyjęte w książce czasowe spektrum, obejmujące dzieła międzywojenne i powojenne, można zamknąć w pojemnej, może i zaskakującej formule „od Parandowskiego do Stasiuka”. Pojemnej, bo pozwalającej włączyć do jednej książki jako niemal równorzędnych jej „bohaterów” Ferdynanda Ossendowskiego i Czesława Miłosza, Jerzego Bandrowskiego i Marię Dąbrowską, Józefa Mackiewicza i Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Parandowskiego i Andrzeja Stasiuka wreszcie. Zaskakującej, bo trudno przyjąć, by wymienieni twórcy zaakceptowali taką parantelę. W prezentowanej książce łączy ich jednak wspólna płaszczyzna, która wydaje się w ogóle platformą ogólnonarodową, pozwalającą zjednoczyć najbardziej nawet zwaśnione polskie orientacje: ROSJA.

Łączy jednak tylko w zainteresowaniu tematem, rozwiązania bowiem bywają absolutnie odmienne. Zasadnicze różnice dotyczą zarówno poetyki i języka dzieł, ich poziomu artystycznego i analitycznego, jak i, co w tym przypadku najważniejsze, stosunku ich autorów do Rosji, sposobu jej postrzegania. Otóż przyjęcie takiej płaszczyzny pozwoliło pomieścić w monografii utwory pisarzy afirmujących Rosję i jej zdeklarowanych przeciwników, twórców międzywojennych i powojennych, krajowych i emigracyjnych, wolnych od nacisków cenzury i podejmujących z nią „grę”. Pozwoliło także omówić dzieła wybitne artystycznie, ale także drugorzędne; utwory ważne, które stanowią próbę głębokiego „wglądu” w „rosyjskość” i sowieckość, ale również takie, które ujawniają zasklepienie w stereotypie. Przyjęte rozwiązanie wynikało wprost z założenia, że synteza musi ująć, uwzględnić i zdiagnozować wszelkie rozbieżności i różnice, wszelkie odcienie polskiego namysłu nad tym olbrzymem, który wszedł w nasze życie, w nasze myśli i wiersze.

Przywołane w tytule nazwiska nie mają charakteru przypadkowego. Rozpoczyna książkę Jan Parandowski jako naoczny świadek upadku imperium carów i początków późniejszego „imperium zła”. Znany polskiemu czytelnikowi głównie jako autor dzieł na tematy antyczne rozpoczęła swą twórczość broszurą *Bolszewizm i bolszewicy w Rosji*, książką dzisiaj niesprawiedliwie zapoznaną, choć wytyczającą na dziesiątki lat kierunki polskich refleksji nad sowieckim komunizmem i jego konsekwencjami dla człowieka. Zamyka zaś Andrzej Stasiuk jako eksplorator reliktyw (?) bolszewizmu na dalekich rubieżach Federacji Rosyjskiej po jego ostatecznym (?) krachu. Zamyka jako autor *Wschodu*, jako pisarz, który po rozpadzie „utopii u władzy” (tytuł monografii Michaiła Hellera i Aleksandra Niekricza *Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego*) próbuje zrozumieć nie tylko jeden z najważniejszych problemów minionego stulecia, ale i własne zaangażowanie emocjonalne w rosyjsko-wschodni komunizm.

Podobną postawę prezentuje większość twórców przywołanych w tej publikacji, dla których analiza społeczna bądź polityczna stanowiła właściwie tylko punkt wyjścia do refleksji nad miejscem człowieka w dramatycznie odhumanizowanej, komunistycznej rzeczywistości. Najpierw w granicach zrewoltowanej Rosji, po ćwierćwieczu także poza jej granicami, w polskim świecie. A to pozwoliło spojrzeć inaczej na „wiecznego” Rosjanina, stwarzało szansę podjęcia dialogu z Rosją, z jej twórcami. Skorzystali z niej tylko nieliczni polscy pisarze.

Satanizacja i angelizacja

W kolejnych rozdziałach książki przedstawiam chronologicznie polskie zmagania duchowe i poznawcze z Rosją/Związkiem Sowieckim. Zapoczątkowali je twórcy, którzy przeżyli rewolucję rosyjską i wojnę domową w Rosji (wspomniani już Parandowski, Ossendowski, Bandrowski, ale także Zofia Kosak, Maria Dunin-Kozicka, Eugeniusz Małaczewski, Ferdynand Goetel). Książki tych pisarzy ukazały się na początku lat dwudziestych i spotkały się z dużym zainteresowaniem czytelników. Ujawniały specyfikę polskiego postrzegania wydarzeń rewolucyjnych, ale także polskich postaw wobec Rosji w ogóle (przekonanie o wyższości kultury polskiej nad kulturą rosyjską). Twórcy ci z nadzieją powitali rewolucję lutową, która w ich ujęciu stwarzała realne szanse na odzyskanie przez Polskę niepodległości, z wrogością natomiast odnosili się do bolszewików, wśród których widzieli przede wszystkim Żydów i Azjatów. Podkreślali nie tylko ich niewiarogodne okrucieństwo, ale także szczególnie akcentowane chamstwo. Większość pisarzy wieszczyła nieuchronną klęskę bolszewickiej Rosji.

Po kilkunastu latach od zwycięstwa bolszewików, po podpisaniu w roku 1932 paktu o nieagresji między II Rzeczpospolitą a Związkiem Sowieckim, polscy pisarze i reportażyści uzyskali możliwość wjazdu do „ojczyzny proletariatu”, by zaspokoić głód wiedzy o mitycznej rzeczywistości pierwszego państwa komunistycznego. Owe kurtuazyjne wizyty stwarzały niewielkie szanse przekonania się, czy jest to państwo „czerwonego terroru”, czy też „żywego socjalizmu, o którym przecież każdy z nas marzył od dziecka”, jak pisał Antoni Słonimski (*Moja droga do Rosji*). Z perspektywy lat bez wątpienia uznać należy, że najważniejszą spośród kilkunastu wydanych wówczas prac o sowieckiej codzienności była książka *Myśl w obcęgach* Stanisława Cata-Mackiewicza, w której na sugestywnie zarysowanym tle sowieckiej rzeczywistości poruszony został problem skolektywizowania myśli, podporządkowania „świadomości” Partii jej Nieomylnemu Wodzowi. Tej publikacji poświęciłem drugi rozdział monografii. Cat-Mackiewicz, głęboko osadzony w kulturze rosyjskiej, wykazał się nieprześcignoną w okresie Dwudziestolecia biegłością w sztuce obserwacji społeczno-politycznej i umiejętnościami analitycznymi. Żaden z jego międzywojennych następców nie przestępował tak sugestywnie przed realnym zagrożeniem sowieckiego komunizmu dla świata. Dlatego też jego książkę traktuję nie tylko jako znaczący zapis totalitaryzmu sowieckiego in statu nascendi, ale także jako obraz bezwzględного systemu gotującego się do przekroczenia swoich granic.

Równoległe do wysiłków z opisaniem współczesności sowieckiej w międzywojennej prozie uaktywnił się nurt historyczny, w którym pisarze polscy, po raz pierwszy od blisko dwustu lat wolni od nacisków rosyjskiej cenzury, podjęli problem stosunków polsko-rosyjskich. Zabrakło wielkich dzieł poświęconych naszym relacjom (może poza *Opowieściami biograficznymi* Wacława Berenta), wszakże publikowane wcześniej powieści, co staram się dowieść w rozdziale trzecim, stanowią ważne źródło dla zrozumienia polskiego stosunku (także współcześnie) do Rosji. Polska proza historyczna opisywała kilka wieków sąsiedztwa, prawie bez wyjątku wrogich. Pokazywała klęski Polski, opisywała próby wyzwolenia się narodu spod dominacji Rosji, szukała sposobów na zrekompensowanie tych wszystkich katastrof. Ale jednocześnie umacniała antyrosyjskie stereotypy, upewniała w przekonaniu o wyższości kultury polskiej, o duchowym zwycięstwie naszego narodu. Satanizacji Rosji towarzyszyła angelizacja Polski. Polscy pisarze kwestionowali zasadność włączenia Rosji do Europy, odmawiali Rosjanom prawa do bycia Słowianami.

Dwa upadki

Powojenna literatura polska aż do roku 1989 powstawała w dwóch równoległych nurtach; literaturze krajowej, poddanej komunistycznej cenzurze, towarzyszyło wolne piśmiennictwo emigracyjne. Owe uwarunkowania miały fundamentalne znaczenie dla możliwości pisania o Rosji i Związku Sowieckim, w której literaturze rosyjskiej, relacjach Polski z tzw. Krajem Rad. W kolejnych szkicach przedstawiam problematykę rosyjsko-sowiecką w publicystyce emigracyjnej, w prozie wspomnieniowej.

Niezwykle miejsce w wychodźczej prozie zajmują mało znane wspomnienia pisarzy wywodzących się z ostatniego pokolenia ziemian polskich, urodzonych i wychowanych na terenie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego (Michał Pawlikowski, Maria Czapska, Juliusz Godlewski, Karol Wędrziaszowski, Wacław Lednicki, Janina Żółtowska z Puttkamerów, Walerian Meysztowicz), nazywanego przez administrację carską „krajem północno-zachodniego” imperium rosyjskiego. Specyfika tych książek polega przede wszystkim na postrzeganiu Rosji jako państwa emocjonalnie bliskiego autorom, co w polskiej literaturze jest niezwykle rzadkie. Dlatego Rosja przedstawiona w tych wspomnieniach zasadniczo różni się od polskiego stereotypowego postrzegania państwa carów. Autorzy skupiają swoją uwagę na panowaniu Mikołaja II, za czasów którego Rosja przeżywała niezwykle rozwój we wszystkich dziedzinach życia, a mieszkańcy cesarstwa, w tym Polacy, uzyskali znaczne swobody obywatelskie. Dla pamiętnikarzy polskich Imperium Romanowów było monarchią o ustroju, w którym polscy właściciele ziemscy mieli takie same prawa jak Rosjanie, mogli też pełnić ważne funkcje państwowe. Ale zapisy memuarystyczne byłych ziemian pozwalają także przyjrzeć się bliżej kolejnym etapom upadku potężnego Cesarstwa Romanowów. Przejęcie władzy przez Lenina oznaczał upadek ich świata, dlatego nie kryjąc emocjonalnego zaangażowania, rozważają twórcy przyczyny katastrofy, wskazując czynniki, które przyczyniły się do zwycięstwa bolszewików.

Z problematyką tego rozdziału koresponduje ustęp mojej książki poświęcony *Sławie i chwale* Jarosława Iwaszkiewicza, przede wszystkim pierwszej jej części. W epickiej opowieści o życiu w pierwszej połowie XX wieku (pisanej w kraju poddanym władzy komunistycznej) Iwaszkiewicz zwracał szczególną uwagę na przemiany społeczno-polityczne w Europie Środkowej i Wschodniej, głównie na ziemiach ukraińskich w granicach Rosji i ZSRS. Zrekonstruował proces przemian od I wojny światowej przez czasy wielkiego terroru stalinowskiego do II wojny światowej. Autor *Sławy i chwały* (głównie w obrazach Odessy, miasta pełnego życia i kultury w przeddzień sierpnia 1914) zarejestrował kolejne etapy postępującej degradacji Rosji w czasach rewolucji (rewolucja lutowa, pucz październikowy) i wojny domowej. Sugestywny opis Odessy czasów stalinowskiego terroru, miasta w stanie duchowej agonii, urasta niespodziewanie do niezwyklej diagnozy świata totalitarnego.

Okna na Rosję

W monografii zwracam uwagę na wysiłki popularyzujące kulturę i literaturę rosyjską podejmowane zarówno w periodykach emigracyjnych, jak i krajowych. Akcentuję wszakże również spory i „dialogi” prowadzone z twórcami rosyjskimi. Polscy pisarze na Obczyźnie pisali przede wszystkim o wolnej literaturze rosyjskiej publikowanej przez wydawnictwa emigracyjne oraz samizdat. Twórcy krajowi starali się w ograniczonych cenzuralnie możliwościach wskazywać interesujące zjawiska w oficjalnych wydawnictwach sowieckich (Anna Achmatowa, Josif Brodski).

Godna uwagi wydaje się dyskusja polskich pisarzy na temat osoby i twórczości Aleksandra Sołżenicyna, która miała miejsce na łamach londyńskiego tygodnika „Wiadomości” w dziesięcioleciu 1965-1976. Wzięli w niej udział wybitni przedstawiciele polskiej emigracji, znawcy kultury rosyjskiej: Józef Mackiewicz, Józef Łobodowski, Michał Kryspin Pawlikowski, Adam Prągier. „Sprawa” Sołżenicyna dotyczyła dylematów absolutnie fundamentalnych dla polskiej emigracji: stosunku do sowieckiego komunizmu i polskiej niepodległości. Nie wielką rolę w dyskusji odgrywały problemy strictly estetyczne. Prągier wytykał naiwność w koncepcjach społeczno-politycznych pisarza; Łobodowski zaczął od apologii odważnego artysty, by na koniec wyrazić rozczarowanie naiwnym politykiem i „wielkorosyjskim” nacjonalistą; Mackiewicz, jako zagorzały antykomunista, najbardziej interesowała kwestia powiązań autora *Archipelagu GUŁag* z władzami sowieckimi. I uparcie bronił

tezy o Sołżenicynie – „agencie Chruszczowa”.

Znamiona odważnej oryginalności nosiły wysiłki popularyzujące literaturę rosyjską. „Wiadomości” londyńskie, przede wszystkim piórem Michała Kryspina Pawlikowskiego, przez lata zaznaczały polskiego odbiorcę z twórczością Rosjan z „pierwszej” i „drugiej fali” emigracji. Opublikował on w emigracyjnym tygodniku około dwustu „okien na Rosję” (taki tytuł nosiły jego przeglądy różnych publikacji), w których przybliżał codzienność rosyjskiej emigracji, jej spory i osiągnięcia. Paryska „Kultura” z Herlingiem-Grudzińskim na czele wyławała i komentowała największe dzieła samizdatu i emigracji „trzeciej fali”. Krajowej „Współczesności” przypadła najmniej wdzięczna rola prezentowania akceptowanej oficjalnie i cenzuralnie dopuszczanej, zazwyczaj więc lekceważonej literatury sowieckiej. Wiele tekstów opublikowanych przez dwutygodnik nie powinno nigdy doń trafić, ale wcale nierzadko pośród zideologizowanego chłamu zajaśniały autentycznym blaskiem prawdziwe klejnoty literackie, które „Współczesność” oferowała czytelnikowi krajowemu. Oczywiście, jeśli tylko zdołał przezwyciężyć w sobie niechęć do wszystkiego co rosyjskie, utożsamiane zbyt łatwo z sowieckim. W połowie lat sześćdziesiątych „Współczesność”, pewnie wbrew założeniom jej partyjnych redaktorów, stała się dobrym piśmem literackim, które wniosło niebłahy wkład w proces przemycania rzeczywistych wartości literatury rosyjskiej.



Lekcja do odrobienia

Refleksja nad literaturą rosyjską zajmuje poczesne miejsce w eseistyce emigracyjnej. Tworzyli ją najwybitniejsi polscy twórcy: Herling-Grudziński, Czapski, Stanisław Vincenz. W prezentowanej monografii omawiam szkice Miłosza napisane w języku angielskim i opublikowane w książce *Emperor of the Earth*. Zwracam uwagę na kilka istotnych problemów poruszonych w esejach przez poetę-profesora. Próbuje on wyjaśnić amerykańskiemu odbiorcy specyfikę życia w Europie Środkowej, ukazuje zasadnicze różnice między amerykańskim (zachodnim) klimatem życia (także zachodnią literaturą) i klimatem rosyjskim. Amerykańskie zachwyty nad rosyjską literaturą dowodzą według Miłosza pewnej hipokryzji, bo dominują w niej wartości, których brakuje obojętnej na nie sztuce Zachodu. Ważnym wątkiem książki jest problem rewolucji totalitarnej, poza jej społecznymi źródłami Miłosz podkreśla motywy metafizyczne. Poeta podejmuje również kwestię stosunków polsko-rosyjskich, stara się wytłumaczyć Amerykanom przyczyny wzajemnej niechęci między naszymi narodami, kontentowania się stereotypem, posługiwania kliszami.

W ostatnim rozdziale poddaję refleksji problem reorientacji poglądów Andrzeja Stasiuka na sowiecki komunizm. Korzystam głównie z wydanego już w drugiej dekadzie bieżącego stulecia *Wschodu*. Kontekstem rozważań czynię jego wcześniejsze książki, co pozwala mi w pełni dostrzec ewolucję przekonań pisarza. Od najmłodszych lat Stasiuk odczuwał „atawistyczną” niechęć do sowieckiej Rosji, ale podkreślał swoją tożsamość wschodnioeuropejską. Dostrzegał przy tym pozytywne elementy systemu komunistycznego w Polsce, z których najważniejszym był stosunek władz do najuboższych grup społeczeństwa, zlikwidowanie problemu głodu. Istotne miejsce w rozumieniu przez Stasiuka sowieckiego komunizmu, a także w zintegrowaniu jego myślenia o tożsamości wschodniej i komunizmie odegrała twórczość Andrieja Płatonowa.

Czytam więc *Wschód* także jako rodzaj „dialogu” pisarza polskiego z rosyjskim, podjęcia przez Stasiuka „mickiewiczowskiej” tradycji trudnego sporu-dialogu z „przyjaciółmi Moskalami”.

Brutalna agresja putinowskiej Rosji na Ukrainę nie tylko zniechęciła (i zniechęca) do rosyjskiej kultury, nie tylko spotęgowała tendencje rusofobiczne (obecne przecież od wieków), ale „wymusiła” niejako poddanie się imperatywowi wymazania Rosji z polskiego horyzontu myślowego. Wieloletnie lektury dzieł polskich pisarzy emigracyjnych, wolnych od jakichkolwiek nacisków politycznych, utwierdziły mnie w słuszności przekonania Mariana Zdziechowskiego, że „dla nas, Polaków, poznanie psychiki rosyjskiej jest palącą koniecznością”. I żadne okoliczności polityczne nie mogą nas do tego zniechęcić. Największe polskie dzieła poświęcone Rosji, by przywołać choćby *Dziadów część III* czy *Inny świat*, powstały w latach najcięższych polskich cierpień spowodowanych okrutnym terrorem rosyjskim/sowieckim. Nie powstrzymało to Herlinga-Grudzińskiego, jednej z ofiar terroru, przed ostrzeżeniem i wskazówką: „Lekcję komunizmu i sowietyzmu musimy solidnie przerobić, we wszystkich jej składnikach, bo należy do naszego doświadczenia narodowego, bo w jakiś sposób staniemy się dzięki niej dojrzałsi w spojrzeniu na współczesny świat”. Pamięcią tych słów kierowałem się (i kieruję dotychczas) w swoich pracach nad miejscem Rosji w polskiej literaturze, w polskiej świadomości.

Aleksander Hercen, jeden z największych rosyjskich przyjaciół Polski, z bólem stwierdził, że „nie ma narodu sąsiadującego z Rosją, który by znał mniej Rosję niż Polska. Na zachodzie najprościej nie znają Rosji, ale Polacy nie znają jej z p r e m e d y t a c j ą”. Nie poddawajmy się łatwo takiej pokusie.

Prof. dr hab. Tadeusz Sucharski, Katedra Filologii Polskiej Akademii Pomorskiej w Słupsku

Książki nadesłane

Mieczysław KORALEWSKI, *Podstawy neurologiki. Podręcznik dla międzynarodowych studiów doktoranckich*, Wyd. Nauk. USz, Szczecin 2023.

Michael BUTTER, *Teorie spiskowe. Nic nie jest takie, na jakie wygląda*, tłum. Joanna Gilewicz, Wyd. UJ, Kraków 2022.

Andrzej PIASECKI, *Kryzysy Polski współczesnej 1990-2022*, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2022.

Carl Eduard CLUDIUS, *„Faust” Goethego jako apologia chrześcijaństwa*, tłum., przedślowie Elżbieta Zarych, wstęp, oprac. tekstu i red. Jarosław Ławski, Temida 2, Białystok 2022.

Mariusz NOWAK, *Umiarkowany konserwatysta wobec XIX-wiecznych przemian socjopolitycznych w Europie Zachodniej w świetle piśmiennictwa Henryka Lisickiego*, Wyd. UJK, Kielce 2022.

Marcin POPKIEWICZ, *Zrozumieć transformację energetyczną. Od depresji do wizji albo jak wykopywać się z dziury, w której jesteśmy*, Sonia Draga, Katowice 2022, seria: Post factum.

Aktywne społeczeństwo w zmieniającej się rzeczywistości. Refleksje po 5 latach działalności Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, pod red. Wojciecha KACZMARCZYKA i Konrada BURDYKI, Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, Warszawa 2022.

David WALLACE, *Filozofia fizyki*, tłum. Wojciech Sady, Wyd. UŁ, Łódź 2022, seria: Krótkie wprowadzenie.

Paweł KUCIŃSKI, *Nacjonalizm, romantyzm, poezja w latach 30. XX wieku*, Wyd. Nauk. UKSW, Warszawa 2022.

Sabina BIENIECKA, Krzysztof PIĄTEK, *Empowerment w polityce społecznej. Koncepcja Women’s Empowerment jako kategoria wyjaśniająca aktywność kobiet w Polsce*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022.

Paweł RAFAŁOWICZ, *Dziedziczenie. Perspektywa aksjologiczna*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022, seria: Monografie FNP.

Alicja PIECHUCKA, *Poblask współczesności. Szkice o literaturze*, Wyd. UŁ, Łódź 2022.

Lubow ŻWANKO, Dmytro KIBKAŁO, *Per aspera ad astra. Listy Leona Cienkowskiego (1822-1887)*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022.

Piotr PRACHNIO, *Miasto potencjalne. Warszawa w latach 1945-1980 w wybranych utworach prozy polskiej*, Instytut Literatury, Kraków 2022, seria: Biblioteka Pana Cogito.

Adam WIELOMSKI, Yuval Noah Harari, *Grabarz człowieczeństwa*, Fundacja Pro Vita Bona, Warszawa 2022.

Paweł MOŚCICKI, *Wyższa aktualność. Studia o współczesności Dantego*, Wyd. UJ, Kraków 2022, seria: Hermeneia.

Kształcenie akademickie. Współczesne konteksty i wyzwania, red. Beata MIKOŁAJCZYK, Danuta KONIECZKA-ŚLIWIŃSKA, Wyd. UMCS, Lublin 2022.

Małgorzata Grupa

Czas żupanów, czas czechmanów

Strój polski w źródłach archeologicznych, ikonograficznych i pisanych

Strój polski znany przede wszystkim z przedstawień ikonograficznych, na których zawsze pojawiała się najdroższa i najokazalsza odzież z ozdobami. Jest to jednak niewielki promil ubiorów noszonych w Rzeczypospolitej. Archeologia troszkę poszerza tę wiedzę.

W czasie badań odzieży grobowej z obecnych terenów Polski zawsze w pierwszej kolejności dzielono materiał tekstylny (w mojej ekipie badawczej) na trzy podstawowe grupy: elementy stroju polskiego, odzież o kroju zachodnim i suknie grobowe niewykazujące żadnych podobieństw do dwóch poprzednich grup. Oczywiście takie podziały mogły wykonać osoby, które znały krój poszczególnych elementów. Nie było to proste zadanie, często zdarzały się pomyłki, dlatego należało bardzo ostrożnie podchodzić do każdego reliktu ubrania. Jednak trzydziestoletnia praktyka pozwoliła na weryfikację wcześniejszych pomyłek. Stąd też pomysł na monografię o stroju polskim z uwzględnieniem innych źródeł.

Moja początkowa wiedza na temat stroju polskiego oparta była na ustaleniach historyków sztuki i wydawało się, że wystarczy dokładnie opisać i dopasować poszczególne fragmenty do ustalonego schematu i potwierdzić, że tak było w poszczególnych wiekach. Właściwie od samego początku zawsze było coś nie tak. Jak zawsze źródła archeologiczne nie dały się wstawić w ustalone schematy i pracę nad strojem polskim zaczęliśmy od początku, potwierdzając lub negując wcześniejsze ustalenia.

Kształtowanie się stroju polskiego

Może czytelników mojej książki zdziwi, a może nawet oburzy fakt, że analizę ubiorów zaczęłam od wczesnego średniowiecza. Co ten okres ma wspólnego ze szlacheckim strojem polskim? Otóż ma, bo w tym czasie zaczyna się historia tkanin jedwabnych sprowadzanych z Bizancjum na tereny Polski. W owym czasie koszt jednego jedwabnego czołka z wzorem kształtowanym złotą nicią to żelazny miecz, kolczuga i miecz z opasaniem. Niewielu było na to stać. Sprowadzanie luksusowych tkanin miało istotny wpływ na kształtowanie się ubiorów dworskich w całej Europie, także na naszych terenach. Fakt ten wpłynął na poszerzenie moich zainteresowań i kopanie tak głęboko w nowinkach modowych tamtego okresu.

Studiowanie ikonografii przede wszystkim w zachodnich manuskryptach i weryfikowanie tej wiedzy na unikatowych przedstawieniach z terenu Polski dawało możliwości wychwylenia bardzo nielicznych detali wpływających na zmiany w ubiorze. Na podstawie tych ustaleń adaptowanie elementów wschodnich ozdób lub wręcz pełnego zestawu ubiorów stało się bardziej czytelne. Męskie ubiory wschodnie były zawsze dostosowane do potrzeb życia w siodle, stąd odzież, która nie krępowała ruchów i pozwalała swobodnie dosiadać konia. Wobec pozyskanych informacji początki ukształtowania się stroju polskiego należy przesunąć na przełom XV i XVI wieku. Szesnastowieczne źródła pisane i ikonografia doskonale oddają okazałość stroju polskiego wzbudzającego ogromne zainteresowanie i podziw wśród obcych. A więc nie było już wątpliwości, że polski strój był absolutnie odmienny od zachodniego.

Strój polski

Co właściwie kryje się za określeniem strój polski? Należy pamiętać, że reprezentacyjny strój polski przechodził kosmetyczne metamorfozy i składał się z następujących elementów: żupan był najtrwałszym elementem stroju, bo występował zarówno w XVI, jak i XIX wieku; w XVIII w. częściej zastępowano go czechmanem nazywanym również żupanem, stąd duże problemy z interpretacją źródeł pisanych. W pierwszym okresie kształtowania się stroju odzieniem wierzchnim był najpierw giermak, a później delia i ferezja. W XVII wieku zastąpił je kontuszem. Wydawałoby się, że ta wiedza jest wystarczająca i kolejne badania nie są już konieczne.

To co nowego w kwestii stroju polskiego?

Oczywiście można pozostać na poziomie wiedzy ogólnej i nie przejmować się zmianami, jakie zachodziły w odzieży. Jednak badania archeologiczne dostarczają nowych źródeł i to właśnie na ich podstawie można mówić o kontaktach handlowych,



Fot. D. Grupa

Lublin, rekonstrukcja nietypowego żupana z tkaniny atlasowej



Szczuczyn, krypta wsch. B – ossuarium, rekonstrukcja watowanego czechmana z podcinanym dołem, a) przód, b) tył



Fot. T. Dudziński

rozwoju wytwórczości tekstylnej i metalurgicznej oraz zmianach w kroju odzieży i nowinkach modowych.

Strój polski znany przede wszystkim z przedstawień ikonograficznych, na których zawsze pojawiają się najdroższa i najokazalsza odzież z ozdobami. Jest to jednak niewielki promil ubiorów noszonych w Rzeczypospolitej. Archeologia trochę poszerza tę wiedzę. W większości obracamy się w dalszym ciągu w kręgu bogatych strojów dworskich wykonanych przede wszystkim z jedwabiu, jednak dodatki czasami są inne. Naj-

ważniejszą kwestią jest zapięcie odzieży i tu nie mamy do czynienia z guzami wykonanymi ze szlachetnych kruszców, tylko z kneflami, tzn. guzami jedwabnymi plecionymi na drewnianych podkładkach. Taki drobiazg, ale przy np. 32 guzikach ta zamiana była znacznie tańsza, a drogocenne guzy można było przekazać w testamencie swojej rodzinie. Te informacje potwierdzają zapisy na temat zakupów guzików (knefli) szmuklerskiej roboty wykonywanych najczęściej w miastach i sprzedawanych na jarmarkach.

Kolejna rzecz to dość duża niefrasobliwość w cytowaniu ks. Jędrzeja Kitowicza, który opisywał Rzeczpospolitą z końca I połowy XVIII w. Pisze on, że żupany na Litwie, obojętnie z jakiego sztytu materiału, miały zawsze wszywane lniane plecy. I zapewne była to prawda, ale nie można tego stwierdzenia przenosić na wcześniejsze okresy. Książę Janusz XI Radziwiłł, który zmarł w 1655 r., został pochowany w Kiejdanach, w żupanie uszytym w całości z tkaniny jedwabnej.

Unikatowym znaleziskiem, ale sprawiającym duże problemy w rekonstrukcji, okazał się atlasowy żupan z Lublina o zaburzonych proporcjach w kroju. Najprawdopodobniej żupan uszyty dla osobnika z dość znaczną wadą postawy. Być może była to skolioza, w wyniku której rozwija się garb żebrowy mocno rzucający się w oczy i powodujący optyczne skrócenie kręgosłupa. Nie ulega wątpliwości, że taki żupan sztytu na indywidualne zamówienie, uwzględniając wszelkie niedoskonałości postawy.

Do 2010 roku nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z obecności odzieży zimowej w ubiorze grobowym. Takim przełomowym momentem były badania w szczuczynskich kryptach, gdzie zachowało się ponad 60 naturalnie z mumifikowanych ciał. Doskonała wentylacja w kryptach pod prezbiterium miała nie tylko wpływ na mumifikację, ale także na zachowanie różnego rodzaju tkanin. Dlatego można było identyfikować odzież uszytą przede wszystkim z tkanin lnianych i wełnianych oraz podać cały zestaw ubioru grobowego. Jednak największym zaskoczeniem były watowane żupany, czechmani i kontusze, a watolina (wełniana, lniana lub bawełniana) nierzadko miała od 5 do 8 cm grubości. Było to dużym zaskoczeniem dla wszystkich z ekipy, a do autorki monografii darło proste przesłanie: natychmiast należy zweryfikować wcześniejsze ustalenia na temat pochówków w za dużej odzieży grobowej. Szok, ale też radość, że wreszcie można bez obaw zinterpretować wcześniej-

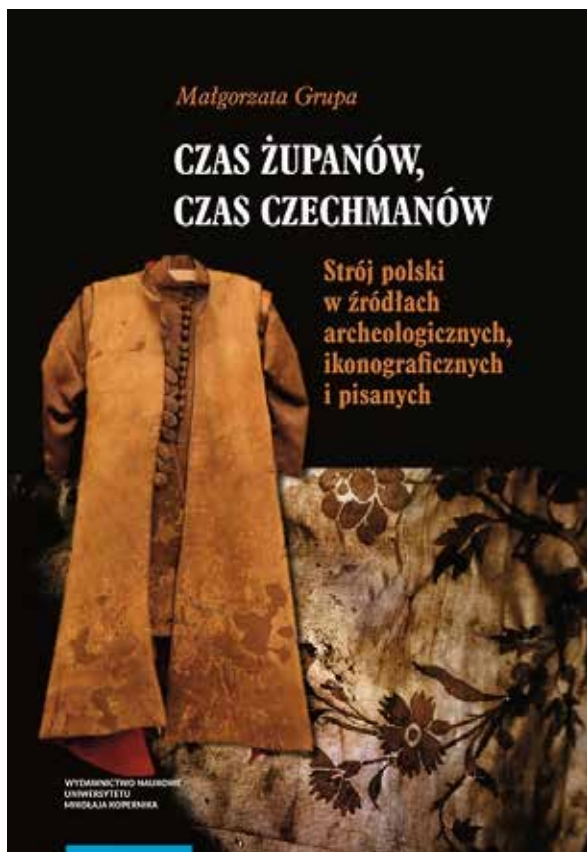


Szczuczyn, pochówek Rydzewskiego, krypta zach. A, pas kontuszowy z pozioma sygnaturą FS



Szczuczyn, pochówek 4, krypta wsch. A, przycięty fragment tureckiego pasa kontuszowego z półkami czerwono-żółtymi

Fot. D. Grupa



sze znaleziska. Najbardziej intrygującym egzemplarzem ubioru było połączenie cech żupana z czechmanem. Imitowanie zapięć od żupana, a wykorzystanie w praktyce rozwiązań z czechmana jest unikatowym rozwiązaniem. Czyżby praktyczniejszymi zapięciami były jednak te wykorzystywane w czechmanach? A może właściciel miał jeszcze sentyment do klasycznych żupanów? Trudno to ustalić, ale jest to ewenement w badaniach kostiumologicznych. Za ewenement można jeszcze ewentualnie uznać czechman z wyłożonym żabotem od koszuli i falbankowatymi mankietami, skąd była pierwotna interpretacja wskazująca na rubdeszan, a jak się w rezultacie okazało – strój polski z elementami zachodnimi. Tyle że w tym przypadku zestaw montowano z uszytych wcześniej rzeczy, a czechman można było przy odpowiednim ułożeniu detali potraktować jak opisany w stroju zachodnim rubdeszan. Wydaje się, że w tym przypadku, pomimo pochówku w czechmanie, osoba ta chciała być kojarzona ze strojem o kroju zachodnim, co jej się znakomicie udało, bo to pierwsze wrażenie zmyliło nawet archeologów.

Zazwyczaj jeśli mówimy o pasach do stroju polskiego, to wymieniamy kontuszowe, produkowane w Słucku lub Kobyłce, nie zdając sobie sprawy, jak krótki był to okres w dziejach tego ubioru. Wspaniałe tekstylne pasy odegrały ważną rolę w przemianie stroju polskiego. Gdy w XVII w. dominowały kwieciste kontusze, zakładano do nich pasy jednobarwne, ale gdy w początkach XVIII w. weszły wielokolorowe kwieciste pasy perskie i tureckie, wymusiły monochromatyczny strój, na którym znacznie lepiej się prezentowały. Pasy nie mogły przeszkadzać w dosiadanu konia czy szermierce, więc na pewno nie były takie szerokie jak to czytelne jest w XIX w., składano je wielokrotnie, co czytelne jest właśnie w źródłach archeologicznych. Dlatego w monografii pasy opisane są dużo szerzej, a zaskakujące znaleziska ze Szczuczyna lub Łukowa dają nam nowe spojrzenie na przygotowanie wyposażenia grobowego. Dopiero po analizie tych materiałów dociera do badaczy, jak ważnym elementem w kulturze materialnej w okresie nowożytnym

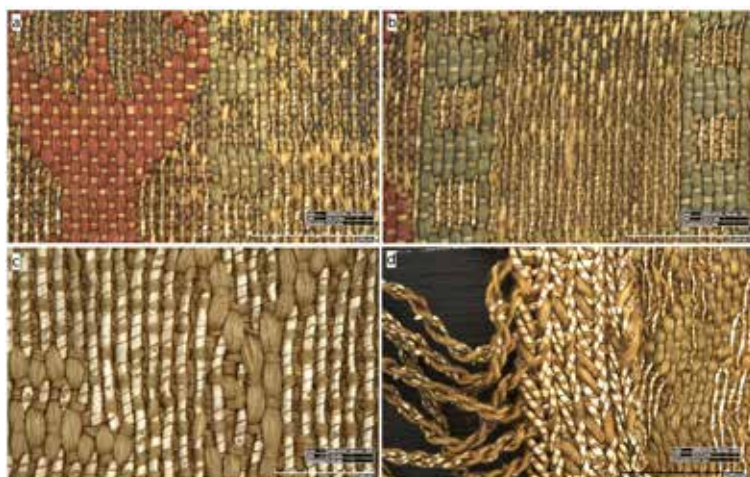
było wtórne wykorzystywanie odzieży i tkanin, co starałam się wykazać w przygotowanym materiale.

Czy to już wszystko w tego typu badaniach?

Nie byłabym sobą, gdybym nie apelowała o intensyfikację badań w kościołach. Remonty świątyń wprowadzają dość duże zmiany środowiska w kryptach, a podgrzewane posadzki dodatkowo potęgują rozkład materii organicznej. Z zestawienia danych wynika, że każde badanie wniosło nowe wartości do badań kultury materialnej i funeralnej. Jak skomplikowany jest człowiek, tak skomplikowana jest jego historia. Archeologia burzy ustalone schematy, co przedstawiłam w monografii na temat stroju polskiego. Jego historia to niekończąca się opowieść i mam nadzieję, że będzie kontynuowana.

Książka *Czas żupanów, czas czechmanów* to efekt ponad 30-letnich prac autorki związanych m.in. z poznawaniem zagadnień kultury funeralnej czasów nowożytnych: badań archeologicznych prowadzonych w kościołach na terenie Polski, analiz materiału zabytkowego i jego konserwacji oraz rekonstrukcji. Wydało ją Wydawnictwo Naukowe UMK.

Dr hab. Małgorzata Grupa, prof. UMK. W centrum jej zainteresowań nieodmiennie znajduje się kultura materialna średniowiecza i czasów nowożytnych.



Szczuczyn. Różowo-żółty pas. Obrazy mikroskopowe metalowych nici z jedwabnym rdzeniem z różowo-żółtego pasa

Fot. B. Miazga



Szczuczyn, skórzane buty z wysoką cholewką wykończone sercowato noszone do stroju polskiego

Fot. T. Dudziński

Jeśli nie uniwersytet, to co?

Miejsce kształcenia podyplomowego w świetle badań

Nawiązując do weberowskiej tradycji w naukach społecznych, chciałam zobaczyć procesy w szkolnictwie wyższym oczami ich uczestników. Książka ma charakter interdyscyplinarny, tak jak interdyscyplinarne są badania nad szkolnictwem wyższym. Wyniki przeprowadzonych badań stanowią jej zasadniczą część.

Szkolnictwo wyższe w Polsce właściwie nieprzerwanie od trzech dekad dostarcza badaczom bogatego materiału do analiz nie tylko z zakresu socjologii, ale też pedagogiki, ekonomii czy nauk o zarządzaniu. Lata dziewięćdziesiąte XX wieku to wyraźny wzrost aspiracji edukacyjnych Polaków. Jednocześnie uczelnie publiczne zaczynają stopniowo tracić monopol na kształcenie na poziomie wyższym. Dywersyfikacja szkolnictwa wyższego oraz wprowadzenie odpłatnych usług edukacyjnych, związane z pojawieniem się zupełnie nowego w polskich realiach sektora uczelni niepublicznych, zmieniły jego obraz nieodwracalnie. Upowszechnienie kształcenia na poziomie wyższym w Polsce w pierwszej dekadzie XXI wieku z czasem przełożyło się na zmiany w strukturze wykształcenia, a w połączeniu ze zróżnicowaniem jakości usług edukacyjnych również na spadek wartości dyplomów na rynku pracy. Wiele tematów związanych z kolejnymi reformami szkolnictwa wyższego było i jest przedmiotem szeroko zakrojonej debaty publicznej. Nic nie wskazuje na to, aby temat edukacji, w tym edukacji na poziomie wyższym, stracił na znaczeniu. Z uwagi na wyzwania współczesnego świata edukacja pozostanie w centrum zainteresowania nie tylko naukowców, ale i decydentów oraz praktyków szkolnictwa wyższego. Jednym z takich wyzwań są niewątpliwie zmiany zachodzące w tradycyjnie rozumianej ścieżce edukacyjnej i wzrost znaczenia kształcenia się przez całe życie (lifelong learning). Jeden z jego obszarów – edukacja dorosłych – interesuje mnie szczególnie i z tego zainteresowania wyrosła moja książka.

Dynamika rynku pracy oraz nowe modele kariery zawodowej, które zakładają pracę na rzecz wielu pracodawców czy też wykonywanie różnych profesji w ciągu całego życia sprawiają, że trudno mówić o finalizacji edukacji na początkowym etapie kariery zawodowej, czego sama jestem dobrym przykładem. Edukacja całościowa wyrosła na jedno ze strategicznych wyzwań w obszarze europejskiej edukacji i stanowi przedmiot debaty nie tylko w ramach środowiska naukowego, ale i wielu ponadnarodowych organizacji działających na płaszczyźnie kultury i edukacji. Pojawiła się w strategii libońskiej (2000) uważanej za jeden z filarów rozwoju gospodarczego Unii Europejskiej, a w 2009 roku kształcenie całościowe ustanowiono jednym z priorytetów Europejskiego Obszaru Szkolnic-

twa Wyższego. Instytucje szkolnictwa wyższego stanęły w obliczu istotnego wyzwania: określenia roli i znaczenia obszaru kształcenia dorosłych w kontekście ich dotychczasowej misji i strategii.

Dokumenty i rozmowy

Szereg wspomnianych wyżej przemian miałam okazję obserwować z perspektywy podmiotów sektora szkolnictwa wyższego, ponieważ od blisko piętnastu lat pozostaję z nim zawodowo związana. Płynące stąd doświadczenia, którym towarzyszyła obserwacja wybranych trendów na rynku edukacyjnym, stały się inspiracją do postawienia pytania o miejsce i rolę kształcenia podyplomowego w polskich uczelniach.

Interesowało mnie przede wszystkim, czy i na ile różne typy uczelni działające w polskim systemie dostrzegają potencjał w grupie osób w nietradycyjnym wieku studenckim (pracujących dorosłych) i jakie przyjmują w stosunku do tej grupy strategię. Słowem, czy i w jakim stopniu polskie uczelnie są gotowe na wcielenie idei lifelong learning w życie.

Od początku moim zamierzeniem było zrekonstruowanie rzeczywistych strategii (strategii „w działaniu”), nie zaś li tylko formalnych deklaracji zawartych w dokumentach strategicznych. Dokumenty te stanowiły dla mnie punkt wyjścia do rozmów z przedstawicielami władz i wykładowcami, które następnie uzupełniałam opiniami słuchaczy studiów podyplomowych. Założyłam, że osoby z wnętrza organizacji, w różny sposób powiązane ze studiami podyplomowymi, będą najlepszym źródłem wiedzy na temat priorytetów, przyjętych reguł funkcjonowania i wewnętrznych mechanizmów rządzących tym obszarem działalności uczelni. Nawiązując do weberowskiej tradycji w naukach społecznych, chciałam zobaczyć procesy w szkolnictwie wyższym oczami ich uczestników.

Książka ma charakter interdyscyplinarny, tak jak interdyscyplinarne są badania nad szkolnictwem wyższym. Wyniki przeprowadzonych badań stanowią jej zasadniczą część. Założyłam, że mogą one ukazać nie tylko odmienne podejścia różnych typów uczelni do problemu eksploracji obszaru edukacji dorosłych, lecz będą też w pewnym stopniu diagnozą instytucjonalnej dojrzałości różnego typu instytucji szkolnictwa wyższego do implementacji w ramach swojej działalności idei

kształcenia całościowego. Do zapoznania się z nimi oraz moimi refleksami na temat przyszłości tego segmentu usług edukacyjnych serdecznie zachęcam wszystkich czytelników „Forum Akademickiego”.

Mam szczerą nadzieję, że zainteresują one nie tylko badaczy szkolnictwa wyższego, lecz również osoby na różnych szczeblach uczelnianej administracji, które w swojej codziennej pracy mają do czynienia z uczącymi się dorosłymi i podejmują decyzje na temat kierunków rozwoju oferty kształcenia. Wyniki badań mogą być również wykorzystane w debacie na temat wybranych aspektów zarządzania szkołą wyższą oraz doskonalenia jakości kształcenia. Wnioski płynące z badań mogą zaś okazać się przydatne dla osób kształtujących politykę w zakresie rozwoju obszaru kształcenia podyplomowego, czy to na poziomie instytucjonalnym (poszczególnych uczelni), czy też systemowym.

Fragment książki

Trudno oprzeć się wrażeniu, że tak jak w przypadku uczelni niepublicznych strategie wydają się zorientowane „na zewnątrz” i na zaspokajanie potrzeb klientów, tak strategie uniwersyteckie zorientowane są „do wewnątrz”, na własne środowisko. Uniwersytety sytuują swoje aspiracje na tle innych uniwersytetów, dążąc w nich nad wyraz zgodnie do, po pierwsze, zajmowania czołowych pozycji wśród polskich szkół wyższych, po drugie zaś, do rozpoznawalności poza granicami kraju. Nawiązują przy tym do tradycyjnych uniwersyteckich wartości, takich jak dążenie do prawdy, solidarność, szacunek i zaufanie wewnątrz wspólnoty akademickiej czy tolerancja dla odmienności poglądów.

(...)

Z jednej strony przedstawiciele uczelni mają świadomość zwiększającej się roli kształcenia dorosłych oraz uwarunkowań zewnętrznych, które wpływają na proces przemian w tym obszarze. Wielu pracowników uczelni (często zatrudnionych również w strukturach uczelni niepublicznych) z uwagi na obserwowane wokół potrzeby inicjuje działania, które mają wyjść naprzeciw potrzebom klientów zewnętrznych. Wykładowcy zdają sobie sprawę ze specyfiki i wymagań tej grupy studentów, jaką stanowią osoby dorosłe, co również można potraktować jako dobry prognostyk dla powodzenia prowadzonych przez nich studiów podyplomowych. W zakresie, który leży w granicach ich odpowiedzialności, dbają o wysoką jakość kształcenia, praktyczny charakter nauki, dobór atrakcyjnych



metod i budowanie relacji ze słuchaczami. Implementacja praktyk zaczerpniętych z uczelni niepublicznych sprawia, że w pewnym stopniu (tam, gdzie zależy to od twórców studiów) oferta podyplomowych studiów uniwersyteckich upodabnia się do tej zapewnianej przez podmioty prywatne. Ów izomorfizm instytucjonalny przybiera w tym przypadku wymiar mimetyczny – w strukturach uniwersyteckich powielane są praktycznie zorientowane modele kształcenia podyplomowego charakterystyczne dla szkół niepublicznych, które stanowią jeden z czynników ich rynkowego sukcesu.

Z drugiej jednak strony oddolne inicjatywy nie są skoordynowane, mają bardziej doraźny niż strategiczny charakter. Ma



Agnieszka Anielska jest absolwentką Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, w 2021 roku obroniła tu rozprawę doktorską przygotowaną pod kierunkiem dr. hab. Dominika Antonowicza, prof. UMK. Jej zainteresowania naukowe usytuowane są na pograniczu socjologii edukacji i zarządzania w szkolnictwie wyższym. Od lat zawodowo związana z tym sektorem, aktualnie pracuje w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym jako koordynatorka ds. popularyzacji nauki.

Jej monografia *Szkolnictwo wyższe wobec studentów nietradycyjnych. Strategie uczelni w obszarze kształcenia dorosłych na przykładzie studiów podyplomowych* została nagrodzona w konkursie Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji na najlepszą monografię naukową poświęconą edukacji i ukazała się nakładem Wydawnictwa FRSE w języku polskim i angielskim. Badania będące jej podstawą zostały zrealizowane w ramach projektu sfinansowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki w ramach programu Preludium. Elektroniczna wersja książki jest dostępna na stronie <https://www.frse.org.pl/czytelnia>.

Wśród licznych projektów badawczych, w które była zaangażowana, szczególnie bliski jest jej ten poświęcony roli uczelnianej administracji w budowaniu doskonałości naukowej. Jego pokłosiem jest raport *Niewidoczni, niebędący, niezbadani*, o którym informacja ukazała się na łamach „Forum Akademickiego”.

to zapewne związek z sygnalizowaną w wywiadach (widoczną również w dokumentach strategicznych) silną orientacją na działalność naukową, której podporządkowane są pozostałe obszary działalności uczelni. Kluczowymi dla uniwersytetów miernikami sukcesu będą osiągnięcia w tym obszarze, gdyż to poziom działalności naukowej decyduje o statusie uczelni w środowisku oraz ma wpływ na pozyskiwane przez uczelnię środki – i to nie tylko ministerialną subwencję, ale też granty od instytucji zewnętrznych. Z uwagi na skalę kształcenia w trybie stacjonarnym (bezpłatnego z punktu widzenia studenta, bo opłacanego ze środków publicznych) przychody z czesnego pobieranego bezpośrednio od studentów niestacjonarnych w przypadku uczelni publicznych mają znaczenie nieporównywalnie mniejsze, niż jest to w przypadku uczelni prywatnych. Zatem również układ sił i wpływów między uczelniami publicznymi i ich interesariuszami rozkłada się w tym przypadku inaczej. Choć i te uczelnie są również nierozdzielnie związane z otoczeniem, w którym funkcjonują, to ciężar finansowania instytucji akademickich spoczywa nie na bezpośrednich odbiorcach usług edukacyjnych, a na państwie, które za pośrednictwem wyznaczonego dysponenta (właściwego ministerstwa) dokonuje alokacji środków. Z uwagi na to uczelnie publiczne inną rangę nadają obowiązkom, które na mocy odpowiednich regulacji nakłada na nie państwo finansujące badania naukowe i dydaktykę, na dalszym planie stawiając oczekiwania studentów. W pierwszej kolejności będą się koncentrować na tym, aby wywiązać się ze zobowiązań w stosunku do kluczowego z ich per-

spektywy aktora i ich model zarządczy będzie zorientowany przede wszystkim na ten cel.

(...)

Sprawia to wrażenie, że jeśli chodzi o studia podyplomowe, uniwersytety nie wykorzystują posiadanego potencjału i dobrowolnie oddają pole swoim konkurentom niepublicznym. Dla uczelni publicznych studia podyplomowe nie są formą pozyskiwania strategicznych zasobów, a raczej sposobem generowania dodatkowych dochodów dla poszczególnych pracowników. Z tego powodu wykładowcy w dużej mierze wydają się pogodzeni z obecnym stanem rzeczy i, co więcej, rozumieją preferencje kandydatów. Zwracają uwagę na to, że status uczelni (tradycja, prestiż) nie ma dla nich takiego znaczenia jak praktyczny charakter i aktualność oferty edukacyjnej, w przypadku których uczelnie niepubliczne dzięki swojej specyfice mają przewagę nad uniwersytetami i wykazują znacznie większą aktywność i skuteczność.



Agnieszka Anielska, Szkolnictwo wyższe wobec studentów nietradycyjnych. Strategie uczelni w obszarze kształcenia dorosłych na przykładzie studiów podyplomowych, Wydawnictwo Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji, Warszawa 2022, doi: 10.47050/65591661. Książka została wydana w serii Monografie „Forum Akademickie” jest patronem konkursu „Monografie” Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji.

Nowi profesorowie

22 maja 2023 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: Iryna Betko (UWM), Bogumiła Burda (UZ), Zygmunt Mazur (UJ), Janusz Pasterski (URz), Sobiesław Robert Szybkowski (UG), Tomasz Torbus (UG)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: Sławomir Tymoteusz Francik (URK), Katarzyna Ewa Grabowska (PŁ), Michał Kulka (PP), Lech Łobocki (PW), Jerzy Ryszard Nawrocki (PP), Adam Jan Niesłony (PO), Janusz Ryszard Piechna (PW), Dariusz Jerzy Sawicki (PW), Rafał Scherer (PCz), Dawid Stawski (PŁ), Stanisław Szwaja (PCz), Zbigniew Roman Wójcicki (PW), Zbigniew Wojciech Wzorek (PK)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: Monika Helena Adamczyk-Sowa (SUM), Wojciech Eugeniusz Baran (UMWr), Agnieszka Urszula Błachnio-Zabielska (UMB), Monika Anna Bowszyc-Dmochowska (UMP), Michał Marian Bronikowski (AWF Poznań), Agata Urszula Chmurzyńska (UPP), Bartłomiej Waldemar Ciesielski (GUMed), Elżbieta Czekajską-Chehab (UML), Leszek Czupryniak (WUM), Jakub Tomasz Dobruch (CMKP Warszawa), Adam Hermanowicz (UMB), Joanna Katarzyna Jurewicz (IMP Łódź), Bolesław Kalicki (WIM Warszawa), Hanna Karakuła-Juchnowicz (UML), Przemysław Jacek Kotyla (SUM),

Krystyna Teresa Kozakiewicz (SUM), Grzegorz Mikołaj Kozera (GUMed), Katarzyna Agata Kucharska (UKSW), Jacek Dariusz Kusa (SUM), Krzysztof Henryk Kuziemski (GUMed), Sławomir Kwiecień (UJ), Przemysław Lisiński (UMP), Anna Lutyńska (NIKSKW – PIB Warszawa), Janusz Maciaszek (AWF Poznań), Grażyna Ewa Markiewicz-Łoskot (SUM), Iwona Anna Maruniak-Chudek (SUM), Jarosław Marusiak (AWF Wrocław), Anna Monika Moniuszko-Malinowska (UMB), Barbara Nieradko-Iwanicka (UML), Aleksander Jerzy Owczarek (SUM), Danuta Owczarek (UJ), Tomasz Pawłowski (UMWr), Małgorzata Ewa Pihut (UJ), Paweł Roman Reichert (UMWr), Krzysztof Roszkowski (UMK), Robert Czesław Sabiniewicz (GUMed), Ewa Sierko (UMB), Beata Agnieszka Smolarz (I„CZMP” Łódź), Arkadiusz Jarosław Stanula (AWF Katowice), Mariusz Paweł Stasiołek (UMŁ), Krzysztof Tomaszewicz (UML), Halina Weker (IMiD Warszawa)

NAUKI SPOŁECZNE: Dagmara Lewicka (AGH), Bartosz Józef Witkowski (SGH)

NAUKI TEOLOGICZNE: ks. Zbigniew Wanat (UMK)
SZTUKI: Jacek Marek Glenc (AMuz Katowice), Joanna Maria Glenc (AMuz Katowice), Andrzej Edward Ryłko (UAM)

Podczas uroczystości Prezydent RP przekazał na ręce rodziny nominację śp. Profesora Witolda Józefa Matwiejczyka.

Piotr Hübner

Likwiduję poprzednią epokę

Będąc pełnomocnikiem ministra Głębockiego, zająłem stanowisko sekretarza Komitetu Badań Naukowych, co ułatwiało uruchamianie nowej struktury ministerialnej. Miałem świadomość, że likwiduję całą poprzednią epokę. Nabyłem prawo do korzystania z lecznicy rządowej i dyspozycyjnego kierowcę z samochodem.

Pół roku po upadku władzy komunistycznej, 15 grudnia 1989 roku, przyjąłem etat w administracji rządowej. Znalazłem się w sferze podejmowania decyzji, a nie – jak dotychczas – w sferze oddziaływań opiniotwórczych. Byłem osobą nową, co było widoczne, bowiem na poziomie aparatu ministerialnego wszystko było kontynuacją starego ustroju. Nie starałem się o ten etat, niespodziewanie otrzymałem podczas dyżuru w IFiS karteczkę z informacją, że szuka mnie pani Agata, sekretarka Stefana Amsterdamskiego. Ten był nowym sekretarzem Komitetu do spraw Nauki i Postępu Technicznego. Ówczesnie funkcjonowały dwa odrębne budżety na naukę i dwa odrębne „ministerstwa”. Jednym było Ministerstwo Edukacji Narodowej, które zajmowało się szkolnictwem, a drugim komitet, struktura powołana po to, żeby zająć się badaniami naukowymi. Kierunek badań był oczywiście utylitarny.

Amsterdamski był „podziemnym” ministrem nauki. Znałem jego komunistyczne zaangażowanie w czasach stalinizmu. Należał do „grona towarzyszy” – tak podpisał sporządzony przez siebie nekrolog Stefana Żółkiewskiego. Amsterdamski znał mnie z okazji swej pracy w Zakładzie Historii Nauki, Oświaty i Techniki, do którego dzięki Suchodolskiemu trafił na etat po wydarzeniach marca 1968 roku. Nie pytał mnie o poglądy, miałem pomóc przekształcić Urząd Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń, działający jako agenda ministerialna przy komitecie.

Amsterdamski wiedział, że nie jestem dysydem. Wiedział też, że wiem sporo o polityce naukowej. Powiedział, że jest sam w komitecie i mnie potrzebuje. Przez dwa czy trzy miesiące moja praca polegała na przygotowywaniu ustawy o Radzie Badań Naukowych, przy czym Amsterdamski cały czas zachowywał dominującą rolę. Korzystałem ze zgromadzonych przez siebie materiałów, ale także z wiedzy prawniczej, ponieważ potrafiłem redagować teksty prawnicze. Gdy zorientował się, że nie jestem elastyczny (tak bym to nazwał) i wolałbym przedwojenne wzory organizacji nauki, zaprosił najpierw do współpracy dyrektorkę Departamentu Badań Barbarę Bolkowską, a później przy konstruowaniu mechanizmu

grantów współpracował najbliżej z Julią Jabłęcką, która była wychowanką Instytutu Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego. Koncepcja Komitetu Badań Naukowych, organu oficjalnie kolegiального, daleka była od planowanej początkowo rady, mającej reprezentować interesy środowiska naukowego. Przewodniczący komitetu miał posiadać status ministra, jego zadaniem była walka o środki budżetowe. Dobrane zespoły uczonych dokonywałyby rozdziału środków w nowoczesnym trybie przydzielanych ad personam grantów.

Zostałem najpierw doradcą w sekretariacie komitetu. Było to korzystne także z tego względu, że płace urzędnicze były wtedy wyższe. W momencie gdy Jan Janowski, koalicjant rządu Tadeusza Mazowieckiego, prezes Stronnictwa Demokratycznego, wycofał się z Rady Ministrów i Komitetu do spraw Nauki i Postępu Technicznego, zostałem dyrektorem sekretariatu (od 1 I 1991). W dyrekcyjnej szafie zastałem różne śmieci, ale i „szymelki” stosowanych przez wiele lat dokumentów. Zacząłem wtedy mieć poczucie – czego nigdy jakoś szczególnie nie ceniłem – że mam rosnącą władzę decyzyjną. Amsterdamski zajął się sprawami związanymi z ustawą o Komitecie Badań Naukowych (12 I 1991), ale razem z rządem Mazowieckiego ustąpił. Pamiętam, z jakim gniewem mówił wtedy o „Kaczorach”, czyli braciach Kaczyńskich, jako przyczynie zła. Uważano, że Kaczyńscy manipulują Wałęsą. Na swojego zastępcę Amsterdamski wyznaczył Witolda Karczewskiego. Po ustąpieniu rządu Mazowieckiego Amsterdamski nie był ani sekretarzem, ani ministrem, a nie powołano jeszcze nowego komitetu z Karczewskim. Ten ostatni był neurologiem i naukę znał ze swojej praktyki, był członkiem PAN, pracował w Komisji do spraw Krzywdzących Decyzji, więc znał mnie wcześniej. Na początku zaprosił mnie do domu prywatnie, kiedy decydowało się, kto ma być tym podsekretarzem stanu – rozmawiał ze mną tak, jak gdyby widział mnie w tej roli. Decydował jednak nie Karczewski, a Amsterdamski, co robił nieraz dosyć brutalnie. Amsterdamski wskazał na działacza „Solidarności” Jana Krzysztofa Frąckowiaka, a nie na mnie, jako tego, który ma być podsekretarzem stanu przy Witoldzie Karczewskim.

Podatek na rzecz badań naukowych

Jan Krzysztof Frąckowiak skierował mnie do ministra edukacji narodowej Roberta Głębockiego, pochodzącego z Gdańska, który był jednym z bliskich współpracowników Wałęsy. Profesor Głębocki zapytał mnie, na czym polega sprawa środków, które zostały po Funduszu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń. Kiedy powstał Komitet do spraw Nauki i Postępu Technicznego, opodatkowano zakłady pracy określonym procentem od zysków na rzecz badań naukowych. Powstał w połowie lat osiemdziesiątych fundusz, ale Unia Europejska nie zgodziła się, by w Polsce utrzymywać fundusze parabudżetowe, traktując je jako „lewą kieszeń”. Wymyślono więc Fundację na rzecz Nauki Polskiej, która przejmie te środki. To była kwota rządu 1 mld zł, ogromne pieniądze. Wirtualne, bowiem nie były to środki leżące na koncie w banku. Wiele zakładów było opóźnionych we wpłatach.

Minister Głębocki dowiedział się ode mnie, że na przewodniczącą fundacji – osobę, która będzie faktycznie zarządzać środkami – przygotowany przez Amsterdamskiego jest Marek Bogucki, który zajmował do tego czasu funkcję podsekretarza stanu przy Janowskim. Był uprzednio pracownikiem KC PZPR, traktowanym jako „opiekun partyjny” Janowskiego. Bogucki był „szarą eminencją” odpowiedzialną za przekazywanie informacji do partii i wytycznych z partii. Tak była skonstruowana dyspozycja i przepisy przy tworzeniu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, że osoba kierująca miała mieć doświadczenie ze sfery postępu naukowo-technicznego i wdrożeń. W rozmowie Głębocki zapytał mnie o ocenę tej sytuacji. Zapytał też o moją orientację ideową. Powiedziałem mu, choć rzadko się tym dzieliłem, że mój ojciec był pracownikiem Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK i że zginął w obozie Mauthausen-Gusen w 1944 roku, a mój wuj był szefem kontrwywiadu AK. Gdy Głębocki to usłyszał, utwierdził się w następującej decyzji: zostają pełnomocnikiem ministra do spraw likwidacji Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń. Komitet zlikwidowano jedną ustawą, ale był problem, co zrobić z aparatem złożonym z trzystu urzędników agendy ministerialnej.

Będąc pełnomocnikiem ministra Głębockiego od 25 lutego do 31 maja 1991 roku, zająłem od 5 marca, jako „pełniący obowiązki”, stanowisko sekretarza Komitetu Badań Naukowych, co ułatwiało uruchamianie nowej struktury ministerialnej. Miałem świadomość, że likwiduję całą poprzednią epokę. Nabyłem prawo do korzystania z lecznicy rządowej i dyspozycyjnego kierowcę z samochodem. Już po miesiącu cierpiały moje kolana. Dawniej często chodziłem piechotą. Uzyskałem bezpośredni wpływ na sprawy kadrowe. Karczewski bez zastrzeżeń przyjmował moje propozycje. Nie stosowałem zasady, że wszystkich dyrektorów departamentów należy zwolnić. Zostawiłem



Stefan Amsterdamski

Fot. Archiwum

też dyrektora gabinetu Andrzeja Senczyszyna, który był byłym wojskowym. Dyrektorzy Gabinetu Ministra były to osoby najwyższej rangi, czasem „szare eminencje”. Wspomniany dyrektor powiedział mi w rozmowie, że jest gotów klęknąć przed nowym ministrem, aby tylko pozostać na stanowisku. Przeszedł przez cztery gabinety ministerialne i nie wyobrażał sobie innego życia. Powrotu do wojska już nie miał. Miał zasadę, że pomagał ludziom i cieszył się dobrą opinią. Był bardzo skrupulatny, a ja starałem się oceniać merytorycznie. Natomiast zmieniłem dyrektora Departamentu Gospodarczego, którego uważałem za „szuje”, kombinatora, manipulatora, osobę wykorzystującą kontakty partyjne. Gdy ten człowiek został zwolniony, od razu został analogicznym dyrektorem w PAN. Miał więc przygotowane „miękkie lądowanie”.

Trwałość ustroju komunistycznego

Sekretarzem Komitetu został Jan Krzysztof Frąckowiak, czyli zastępca Karczewskiego. Przez jakiś czas nie było jeszcze ministra, a już był jego zastępca. Będąc pełnomocnikiem ministra, objąłem – od 5 marca 1991 roku – stanowisko dyrektora Departamentu Polityki Naukowej. Przedem mną kierował tym departamentem schematycznie działający wojskowy.

Praca urzędnicza wymagała codziennej obecności, a do tego dyspozycyjności wobec szefa. Trwała „od-do”, w określonych godzinach. Nie było pełnego kontaktu z klientelą, choć starałem się o wyjazdy do instytucji uzależnionych od KBN oraz chętnie przyjmowałem gości w gabinecie dyrektorskim. Personel był rozproszony po pokojach, więc zorganizowałem parę spotkań plenarnych departamentu, co było ministerialną nowością. Nie brałem udziału w „drugim życiu” personelu, ale

dochodziły do mnie wiadomości o animozjach, które starałem się neutralizować.

Do obsady stanowisk dyrekcyjnych skierowałem ludzi z sekretariatu, który znałem, gdy pracowałem jako doradca. Ci ludzie znali problemy nauki „od środka”. Zostawiłem w „moim” departamencie w roli wicedyrektora osobę „partyjną”, Lesława Hofmana, przed którym mnie ostrzegano. Okazało się, że popełniłem błąd – mataczył w pracy, „kopał doły”, mówiąc potocznym językiem. Sprowadziłem do pracy ministerialnej kilkoro kolegów i koleżanek, którzy interesowali się socjologią nauki lub historią nauki. Osobą z największym talentem okazał się Janek Kozłowski. Był cały czas na etacie kierownika biblioteki i doradcy ministra. Zgromadził bardzo duży zasób tzw. szarej literatury. Opracowania przygotowywał na poziomie zachodnich odpowiedników, a więc unowocześnił Komitet Badań Naukowych.

Okazało się, że jako pełnomocnik ministra umiałem prowadzić posiedzenia i występować publicznie. Proszono mnie nawet sporadycznie o uczestniczenie w obradach rządu. Praca w roli pełnomocnika otworzyła przede mną sferę luksusów dyplomatycznych. Przewodniczyłem delegacji polskiej w spotkaniu z ambasadorem Chin, co zorganizowano w rządowej willi naprzeciw Ambasady ZSRR. Od 4 czerwca 1989 roku – dnia masakry na placu Tiananmen w Pekinie – relacje z agendami Chin były napięte. Umiejętność improwizacji ułatwiła mi wzniesienie toastu: „Pan ambasador studiował literaturę polską. Pojawia się w jej dziełach postać starego, mądrego Chińczyka – zdrowie wszystkich mądrych Chińczyków!”. Zbierałem „od środka” obserwacje z reżimowych ambasad, nie tylko Chin, Korei Północnej (przyjęcie poprzedzał seans propagandowy w postaci filmu), ale i ZSRR. Zachowałem zaproszenie do udziału w pogrzebie Związku Radzieckiego w warszawskiej ambasadzie (31 XII 1991). Pito toasty na rzecz Federacji Rosji i jej trójkolorowej flagi. W centrum uwagi znalazł się pop. Niewiele wiedzy o mechanizmach władzy uzyskałem, przewodnicząc delegacji KBN, mających przygotować przedłużenie dwustronnych umów o współpracy naukowej, sięgały czasów komunistycznych. Wyjazdy do Moskwy, Mińska i Kijowa przyniosły efekt krajoznawczy. Rozmowy ujawniały trwałość ustroju komunistycznego, a przyjęcia – konieczność usunięcia się z fazy toastów pod pretekstem słabego zdrowia. Osoba niepijąca nie mogła pozostać przy stole, by nie być podejrzaną o zapamiętywanie nieoficjalnych wypowiedzi.

Bywałem też w Sejmie na posiedzeniach Komisji ds. Nauki. Czas pracy w roli likwidatora urzędu bardzo szybko minął. Profesor Karczewski objął stanowisko przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych z tytułem ministra.

Program upodmiotowienia ludzi nauki

Podobnie jak w szkole, realizowałem w Komitecie Badań Naukowych własny, „ukryty program”, polegający na przełamywaniu schematów instytucjonalnych oraz podmiotowym traktowaniu personelu i klienteli. Utrzymywałem „osobiste” podejście do pracowników Departamentu Polityki Naukowej. Zgodnie z przyjętą w administracji zasadą jednoosobowego kierowania, odpowiadałem

za pracę departamentu oraz podejmowane decyzje. Pracowali w departamencie doświadczeni urzędnicy, więc nie musiałem stosować nadzoru bezpośredniego. Oceniałem pracowników po efektach pracy.

Perspektywicznie najdonioślejszym moim działaniem był „ukryty program” upodmiotowienia ludzi nauki. Do czasu upadku władzy komunistycznej dominowało podejście instytucjonalne. Jego przejawem był układ *Informatora Nauki Polskiej*: w I tomie podawano dane o instytucjach nauki, wybranych placówkach infrastruktury oraz o części towarzystw naukowych, w II tomie publikowano „indeks nazwisk pracowników nauki” oraz indeks placówek. Sprawując nadzór nad Ośrodkiem Przetwarzania Informacji, doprowadziłem do zmiany, co odzwierciedlał nowy podział tomów *Informatora* (XXV, 1992/93): w I tomie wyodrębniono „Instytucje decyzyjne i doradcze”, w II – „Instytucje naukowe”, w III – „Społeczny ruch naukowy”, a w IV – dane tytułowane „Ludzie nauki”. Idąc w podobnym kierunku, zachęciłem Andrzeja Śródkę, by opracował w prostym układzie alfabetycznym edycję *Uczeni polscy XIX-XX stulecia* (cztery tomy i suplement, 1994-2002). W czasach władzy komunistycznej biogramy uczonych polskich ukazywały się od 1983 roku w tomach podzielonych dziedzinowo, poczynając od „Nauk społecznych”, zgodnie z „obecną strukturą wydziałów PAN”.

Z dniem 30 września 1993 roku odszedłem z funkcji dyrektorskich. Zasadniczym powodem było narastające poczucie, że faza przebudowy mechanizmów władzy nad nauką już się skończyła, a pojawia się zwykle urzędowanie. Do tego dołączyły się sprawy osobiste, o których nie chcę pisać. Popadłem też w niełaskę. Minister Karczewski miał do mnie pretensje o krytykę dyrektorki Departamentu Prawnego. Ta komórka KBN miała początkowo tylko status biura. Kierownikiem biura była Anna



Robert Głębocki

Fot. Archiwum

Mikulska, która przy Amsterdamskim trzymała się bardzo cicho. Mieszkała piętro niżej, w skromnym bloku (podobnie mieszkał Karczewski). Mikulska jako sąsiadka przychodziła często do Amsterdamskiego z pretensją, że synek profesora uderza piłeczką o podłogę, co uniemożliwia jej wypoczynek. Trzeba było trafiać, że później jej szefem został właśnie Amsterdamski. Mikulska brała udział w przygotowaniu oficjalnych opinii ministra Karczewskiego na posiedzenia rządu. Moja krytyka na posiedzeniu Kolegium Ministerialnego polegała na tym, że zwróciłem uwagę, że Mikulska wysłała notatki służbowe do innych departamentów w trybie rozkazującym: „wykonać do dnia tego, to i to”. Minister Karczewski zapewne uznał, że ujawniam jego brak samodzielności. Po skierowanej do mnie reprimendzie Karczewskiego, zostałem uznany przez pozostałych dyrektorów, także tych, z którymi się przyjaźniłem, za osobę „na wylocie”. Zauważyłem, że nie chcą koło mnie siadać na posiedzeniu kolegium. Okazję wykorzystał też Jan Krzysztof Frąckowiak, który zarzucił mi, że mój departament – a właściwie ja – niewiele robimy. Napisałem na czterech stronach, co do tej pory zrobiłem i wtedy mnie przeprosił. Nie wiedział, że inicjowałem modernizację układu *Informatora Nauki Polskiej* oraz wydanie zbioru aktów prawnych dotyczących nauki i szkolnictwa wyższego, że doprowadziłem do usamodzielnienia Rady Towarzystw Naukowych, że napisałem książkę *Siła przeciw rozumowi* o Polskiej Akademii Umiejętności, że współpracowałem z Radą Główną Jednostek Badawczo-Rozwojowych itd.

Odejście z pełnego etatu ułatwiła mi decyzja o pozostawieniu mnie na połowie etatu doradcy ministra (do 31 I 1997). Pojawiałem się realnie przez dwa dni w tygodniu, uczestnicząc w spotkaniach Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego czy przy innych okazjach. Nie szukałem kontaktu z nowym ministrem Aleksandrem Łuczakiem, chociaż znałem go z 1969 roku, gdy wykonywałem prace zlecone w kierowanym przez niego archiwum Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Do Torunia

Tęskniłem do pracy naukowej, co oczywiste. Na macierzysty uniwersytet trafiłem „bocznymi drzwiami”. Z Wydziału Prawa i Administracji UW nie pojawiła się nawet deklaracja naprawienia krzywdy, jaką było represyjne (1968) pozbawienie mnie szans na zatrudnienie. Do tego byłem postrzegany jako „obcy” ze względu na orientację socjologiczną i naukoznawczą. Pełny etat profesora nadzwyczajnego uzyskałem (od 1 X 1993) dzięki propozycji od Ireneusza Białeckiego, dyrektora Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego. Centrum było umocowane na Uniwersytecie Warszawskim, taką metamorfozę resortowego Instytutu Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego przeprowadziła Hanna Świada-Ziemia. Wydział Resocjalizacji i Nauk Stosowanych, do którego dość przypad-



Witold Karczewski

Fot. Archiwum

kowo wcielono centrum, był kierowany przez bliskiego mi poglądami Jacka Kurczewskiego. Na wydziale byłem tylko na etacie badawczym, gdyż moja wiedza socjologiczna była ówczesnie zbyt mała do prowadzenia zajęć ze studentami. Budziło to niechęć wśród pracowników dydaktycznych, bo musieli dzielić się z takimi jak ja – badaczami – pulą środków. Mimo to kontynuowałem pracę na Uniwersytecie Warszawskim, która w formie pół etatu trwała jeszcze przez rok (1 IX 1995 – 31 VIII 1996).

Praca na stanowisku dyrektora departamentu ułatwiła mi „dojścia” do znanych we władzach nad nauką „szarych emnencji”. Najbardziej życzliwy okazał się mający korzenie PPS-owskie Edward Hałoń. Jako wieloletni doradca władz PAN zgromadził wydawnictwa do użytku wewnętrznego PAN, z których dublety mi przekazał. Jeszcze cenniejsze było załatwienie wydania niedoszłej pracy habilitacyjnej. Ukazała się w Ossolineum jako *Polityka naukowa w Polsce w latach 1944-1953. Geneza systemu*, tom I i II, Wrocław 1992. Imperium zła musiało mieć jakieś koneksje w sferze katastrof klimatycznych – powódź „tysiąclecia” Odry na przełomie lipca i sierpnia 1997 roku zalała magazyny Ossolineum we Wrocławiu, niszcząc między innymi zapasy egzemplarzy mojej pracy o polityce naukowej.

Najdonioślejszy w skutkach okazał się kontakt z Włodzimierzem Winclawskim, organizatorem Instytutu Socjologii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Przeniosłem się z Warszawy do Torunia, gdzie zapewniono mi z najbliższymi mieszkanie oraz pełen etat, powiązany z pracą dydaktyczną. Z dniem 1 września 1995 roku, przekraczając półwiecze życia, uzyskałem stabilizację loci. Procedurę uzyskania tytułu profesora nauk humanistycznych uruchomił już UMK. Nadano mi ten tytuł po recenzji Andrzeja Feliksa Grabskiego, umocowanego partyjnie, ale krytycznego wobec stalinizmu, 22 października 1996 roku. Dyplom wręczał postkomunistyczny prezydent RP Aleksander Kwaśniewski.

Marcelina Smużewska

Baloniarstwo w Polsce

Naukowy show XVIII w.

„Banie” były konstruowane przez macierzystych i zagranicznych uczonych, tych znanych i mniej znanych. Efekty eksperymentów bywały różne. Zawsze jednak gromadziły spore grono gapiów, co czyniło z pokazów jedną z pierwszych masowych rozrywek.

Rzeczpospolita znalazła się w czołówce mody na baloniarstwo. Było w tym eksperymentach coś bliskiego polskiemu duchowi narodowemu: spektakularność, nieprzewidywalność, innowacyjność, a może demokratyczność widowiska? W środowisku krakowskiej Szkoły Głównej eksperymentowali z „banią powietrzną” m.in. Jan Śniadecki (1756-1830) i Jan Jaśkiewicz (1749-1809). Zwolennikiem balonów na wodór był Stanisław Okraszewski (1744-1824), nadworny chemik króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Pierwsza w Polsce próba wzlotu balonu miała miejsce 17 stycznia 1784 r. na dziedzińcu Collegium Physicum.

Wynalazek, który pierwszy raz pozwolił człowiekowi odebrać się od ziemi, oznaczał sukces myślenia naukowego i wpiisywał się w oświeceniowy ethos. Z drugiej strony skromne sukcesy pierwszych eksperymentów podniebnych i wątpliwości co do ich użyteczności spowodowały, że baloniarstwo na długo pozostało w ramach show-biznesu, a nie nauki.

Montgolfieri i szarliery. Skąd się wzięły pierwsze balony?

Bracia Montgolfier – Joseph (1740-1810) i Jacques Étienne (1745-1799) – przez przypadek odkryli w swojej papierni właściwości ogrzanego powietrza w odniesieniu do papieru lniwego. W grudniu 1782 roku po raz pierwszy wypuścili ze swojego ogrodu papierowo-szmaciany balon o objętości 18 m³, który wzniósł się na wysokość 250 m. O tym fakcie poinformowali Francuską Akademię Nauk. Eksperyment braci Montgolfier zapoczątkował modę na baloniarstwo. Loty balonowe trafiały do wyobraźni ekscentrycznych elit, ale też dawały szansę przedstawicielom trzeciego stanu na zaistnienie w sferze publicznej. Balony swoim niezwykłym widokiem fascynowały zarówno ludzi prostych, jak i koronowane głowy. 4 czerwca 1783 r. na łące koło Annonay odbył się pierwszy publiczny pokaz montgolfieri, czyli balonu na podgrzewane powietrze. Wynalazek o nazwie Ad Astra wzniósł się na wysokość 1600-2000 m. Lot trwał nieco ponad 9 minut, a balon przebył 2,5 km.

Inny Francuz, Jacques Alexandre Charles (1746-1823), w tym samym czasie prowadził próby z jedwabnym balonem, który napełniał nie ciepłym powietrzem, a wodorem. Pierwsza publiczna demonstracja miała miejsce w Paryżu 24 sierpnia

1783 roku. Charles jako pierwszy wzniósł się osobiście w wynalezionym przez siebie balonie 1 grudnia 1783 roku. Stało się to kilkanaście dni po pierwszym załogowym locie montgolfieri. Balon skonstruowany przez Jacquesa A. Charlesa nazywano na ziemiach polskich szarliera.

Pierwszą koronowaną głową, jaka wzięła udział w pokazie baloniarskim, był Ludwik XVI. 19 września 1783 roku w Wersalu wysłano w powietrze owcę, kaczkę i koguta. Lot trwał ok. 8 min, a balon wzniósł się na ok. 500 m. Celem lotu było pokazanie, że wysokość nie szkodzi organizmom żywym. W ten sposób bracia Montgolfier chcieli uzyskać pozwolenie na loty załogowe z ludźmi, co – jak wiadomo – się stało. Według „Gazety Warszawskiej” z 17 października 1783 r. pierwszy lot załogowy odbył się we Francji 15 października.

Pierwsze loty w Polsce

Początkowo loty w Polsce były także bezzałogowe. 12 lutego 1784 r. królewski chemik Stanisław Okraszewski napełnił „banię” (czyli balon) wodorem (nazywanym wówczas palnym powietrzem) i wypuścił ją w obecności Stanisława Augusta Poniatowskiego. O odnalezieniu balonu pisze „Gazeta Warszawska” z 20 marca 1784: „Postrzegł go wieśniak (Woyciech Lasota) ze wsi Grodziska do Starostwa Warszawskiego należącej, do lasu jadący, na łące wodą oblaney, leżącego między krzakami, y rozumiał, że była to iakaś ze skóry odarta zwierzyna. Przybliżywszy się potym, gdy uyrzał zawieszony wstążki, obawiać się poczoł, aby nie były iakie szkodliwe gusła lub czary; ta zaś bojaźń bardziej się powiększyła, że ciągnąc za wiszące wstążeczki nic przy nich nie znalazł tylko zmoczony pęcherz. Odważył się jednak wziąć go do domu dla naradzenia się o nim caley gromady”. Przy balonie znaleziono kartkę, na której było napisane, że trzeba go zwrócić do Warszawy. Król wynagrodził poddanego za odwiezienie zguby i wszyscy byli zadowoleni.

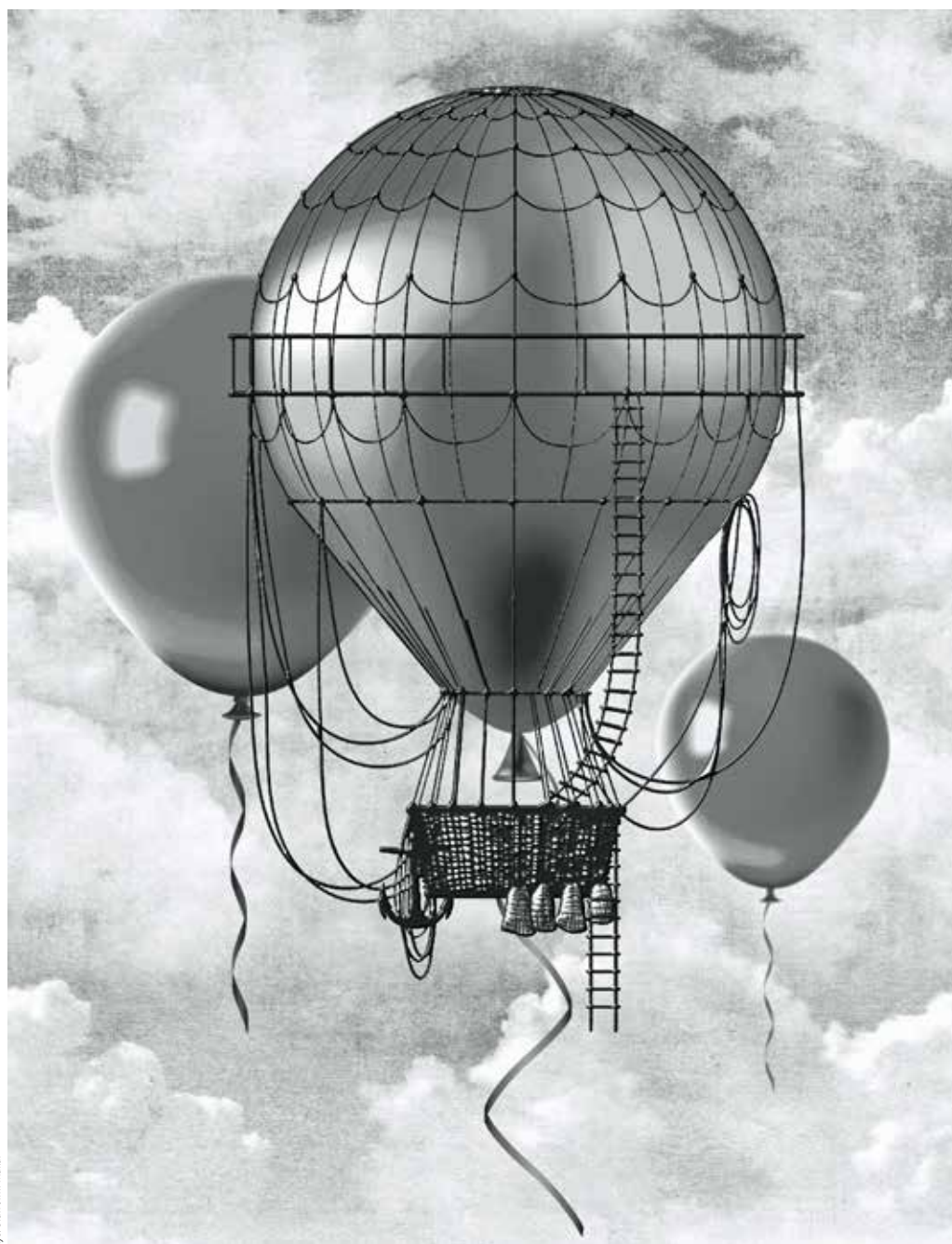
W Puławach wiosną 1784 r. odbył się pierwszy lot „pasażerski”. Poszybował w powietrze kot Filuś, który eksperyment swój przypłacił życiem. Zdarzenie opisał w poemacie *Balon Kajetan Koźmian* (1771-1856), używając sformułowania „rozdarł się Filuś na suchym jesionie”, co innymi słowami oznaczało zderzenie z drzewem. Koci aeronauta był ulubieńcem księżniczki Marii Czartoryskiej (1768-1854). Arystokratki były zachwycone

francuską modą na baloniarstwo i postanowiły założyć własne Towarzystwo Balonowe. „Banię” pomógł zbudować francuski uczone L’Huillier (1750-1840), który akurat w tym czasie przebywał w Puławach. Dzięki Towarzystwu arystokratki miło spędziły zimę 1784 r., planując i organizując pokaz „aerostatycznej bani”. Jednak smutne zakończenie lotu – śmierć wspomnianego Filusia – zniechęciło je do dalszych eksperymentów z balonami.

W kwietniu 1784 r. w Krakowie odbył się eksperyment profesorów Jana Śniadeckiego, Jana Jaśkiewicza, Jana Szastera (1741-1793) i Franciszka Scheidta (1759-1807). „Dnia 1. Kwietnia czas pokazał się cichy i pogodny: po przygotowaniu wszystkiego, i zaciągnięciu warty, dany był pierwszy odgłos przez trzy strzelenia z moździerzy, po którym liczba wielka Spektatorów na dziedzińcu i pole przyległe zgromadziła się. O godzinie 10 z rana po danym drugim odgłosie, Banię po krążkach do góry wyciągniętą, zaczęto wypełniać. (...) Przez 6 blisko minut tym ogniem napełniając Banię, gdy imż zrywała się z rąk trzymających ją, odsunawszy piec, fairka z roznieconym na boku

ogniem, była w otworze za cztery haki na drótkach zawieszona (...)” (*Opisanie doświadczenia czynionego z banią powietrzną w Krakowie dnia 1. kwietnia roku 1784, puszczoną z ogrodu Botanicznego na Wesołej, za staraniem i nakładem Jmć PP. Jana Jaśkiewicza Doktora Nadwornego J.K. Mci, Histori naturalnej, Chemii, Botaniki Professora, Collegium Fizycznego Prezesa, Jana Śniadeckiego, Matematyki wyższej i Astronomji Professora, Szkoły Głównej Sekretarza, Jana Szastera, Medycyny Doktora, Farmacyi i Materyi Medyki Professora, Franciszka Scheidta, Professora Fizyki w Szkołach Narodowych, Kraków 1794*). Lot trwał nieco ponad pół godziny. „Bania” spadła w mieście, niedaleko Bramy Floriańskiej. Druga próba, dokonana pod Wawelem cztery miesiące później, była nieudana. Zapoczątkowało to falę krytyki względem przedsięwzięć baloniarских. Uczni, choć niechętnie, zmuszeni byli się wycofać z dalszego „puszczenia balonów”.

Jednak zanim się całkiem z nich wycofano, organizowano kolejne eksperymenty. 10 maja 1789 r. z ogrodów Foksal wystar-



Rys. Sławomir Makal

tował balon wodorowy. Był on pilotowany przez Jean-Pierra Blancharda (1753-1809) i miał pasażerkę – Joannę Cymerman. Lot trwał 45 minut i zakończył się w Białoleńcu. Został on opłacony przez przedstawicieli świata biznesu – bankiera Fryderyka Kabryta i królewskiego kamerdynera Franciszka Ryxa. Przygotowania do pokazu opisała „Gazeta Warszawska” w numerach 34-38 z 1789 r. „Sławny z Powietrznego żeglowania J.P. Blanchard, rodem Francuz z miasta Calais, Pensjonowany od króla Jmci Francuskiego, wielu Akademii Towarzysz, uczynił Stolicy tutejszy Dziwny Widok, odprawując swą (iuz to trzydziestą czwartą) Powietrzną Podróż. Po ogłoszeniu rano biciem z harmat nastąpić mającego tego Widowiska, po tym o Kwadransie po pierwszej z południa, w Ogrodzie tutejszym na Nowym Świecie, który Foxhalem zowią, pożegnawszy przytomnego tamże w przygotowanej Nayiaśniejszego Naszego Pana, oraz liczne Państwo, y wszystkich Spektatorów, wsiadł do swej łódki, w Kompanii z tąż samą Francuską Damą, która z nim podobne po powietrzu żeglowanie dawniej iuz w Metz odprawowała, y teraz się w Warszawie znajdowała. Podnieśli się w górę przy wielkich Aplauzach, naprzód z wolna (bo iak nayspogodniejszy i nayspokojniejszy od wiatrów był czas), a potem coraz wyżej, y wzbili się w górę od ziemi (iak z Obserwatorium Królewskiego ostrzegano i kalkulowano) aż do łócki 3975”.

Dnia 14 maja 1790 r. z ul. Senatorskiej w Warszawie wystartował kolejny balon z Jeanem-Pierrem Blanchardem i Janem Potockim (1761-1815) na pokładzie. W koszu, obok dwóch panów, był także turecki służący Ibrahim i biały pudełek. Wyczyn zachwyił ludność Warszawy i dworzan. W efekcie powstała oda pt. *Balon*, której autorstwo przypisywane jest Adamowi Naruszewiczowi (1733-1796):

„(...) Niezwykłych ludzi zuchwała para,
Zwalczywszy natury prawa,
Wznawia tor kłęską sławny Ikara
I na podniebieniu stawa.

(...) Król, wódz, senator, kmięć pracowity,
Czy rządzi, czy ryje ziemię,
W błahych się zlepkach czołga ukryty
Jak drobne robaczków plemię.

(...) Wszystko zwyciężysz, łódzko szlachetna,
Na ciosy przeciwne twarda;
Statek twój sława uwieczni świetna
Chlubniej niż podróż Blancharda”.

Opisane powyżej próby nie były jedynymi. Balony puszczano w majątkach prywatnych i na terenach miejskich. „Banie” były konstruowane przez macierzystych i zagranicznych uczonych, tych znanych i mniej znanych. Efekty eksperymentów bywały różne. Zawsze jednak gromadziły spore grono gapiów, co czyniło z pokazów jedną z pierwszych masowych rozrywek.

Postacie, które zrobiły karierę na baloniarstwie

Jean Pierre Blanchard był kimś w rodzaju celebryty od balonów. Odwiedził większość krajów Europy i nawet Stany Zjednoczone, promując loty balonowe i siebie. W styczniu 1785 r. przeleciał z Dover do Calais z dwójką pasażerów. Lot zajął mu 2,5 godziny. Stał się bohaterem swoich czasów. Motyw lotniczy i baloniarski szybko przeniknął do mody. Kapelusze, wachlarze, porcelanę ozdabiano w baloniarskie motywy, a włosy upinano au demi-ballon. Zaczęły pojawiać się pierwsze podręczniki, np. *The History and Practice of Aerostation* Tiberio Cavallo z 1795 r., *Airpaedia* Thomasa Baldwina, czy *Robota maszyny powietrznej pana Mongolfier* Józefa Osińskiego z 1786 roku. Baloniar-

ska moda ogarnęła całą Europę. Loty organizowano od Lwowa do Neapolu, od Glasgow po Wrocław. O balonach zaczęto też myśleć dosyć szybko w sensie wojskowym. Zwracał na to uwagę chociażby Benjamin Franklin.

Wspomniany Blanchard nie miał dobrego pochodzenia jako syn rzemieślnika. Był także wynalazcą (wielocyped, pułapka na szczyry). Zawsze dbał, żeby sprawozdanie z jego wyczynów ukazało się w prasie. Zginął, wypadając po zawale serca z gondoli. Podobnie było z Jean-François Pilatre de Rozierem (1754-1785). Pierwszy człowiek, który wznosił się w przestworza, był synem karczmarza i aplikantem aptekarskim. Poszukiwał także nowych urządzeń. Wymyślił m.in. maskę przeciwgazową. Zginął (nie inaczej) w trakcie lotu balonowego. Spadł po 27 minutach podczas próby lotu z Anglii do Francji. Zatem los dla obu pionierów baloniarstwa okazał się okrutny, choć za życia mieli szansę zaznać sławy i dobrobytu zeń płynącego.

Większość baloniarskich inicjatyw opłacana była z prywatnych funduszy i miała bardziej charakter spektaklu niż eksperymentu naukowego. Krytycy zwracali uwagę na to, że balony nie mają praktycznego zastosowania. Wznoszą się pionowo, a potem o ich kursie decyduje kierunek wiatru. Nie da się nimi sterować. Francuzi dominowali w eksperymentach baloniarskich, bo zyskały one państwową przychylność i były subsydiowane. Nie wszędzie tak było. Moda na loty balonowe to także przykład przenikania się kulturowych preferencji. Balony trafiały w wyobraźnię Francuzów czy Polaków, mniej zachwycały praktycznych Anglików. Obserwowanie lotów balonowych miało charakter demokratyczny. Zarówno król jak i kmięć jednoczą się w jednej postawie – zbiorowym patrzeniu w górę.

Dlaczego zrezygnowano z rozwijania baloniarstwa w Polsce?

Jeszcze w latach 80. XVIII w. baloniarstwo zostało potępione przez Komisję Edukacji Narodowej. Apelowano, by naukowcy „najbardziej starali się stosować do pierwszych potrzeb i pożytków istotnych naszego Kraju, zostawując bogatszym i w pierwsze potrzeby oficie opatrzonym narodom wydoskonalenie tych doświadczeń, które prawie samej ciekawości dotąd służyć się zdające, znaczniejszych kosztów wymagają” (*Protokół z posiedzenia Sesi Ekonomicznej KEN z 30 marca 1785 r.*). Uważano więc baloniarstwo za niepraktyczne i nieistotne dla potrzeb porozbiorowej nauki polskiej.

Polska arystokracja lubiła wszystko, co francuskie, a Francuzi pod koniec XVIII wieku zachłysłni się baloniarstwem. Na ziemiach polskich to przede wszystkim elity zajęły się organizowaniem pierwszych balonowych pokazów. Okrojone i zależne od Rosji Królestwo Polskie nie mogło sobie pozwolić na organizowanie tak ekscentrycznych pokazów na szerszą skalę, choć król Stanisław August wspierał baloniarstwo. Nie było takich możliwości ani woli w pozostałych dwóch zaborach. Po pierwszym okresie entuzjazmu niedoskonałość technologii i wątpliwa jej użyteczność zniechęciły jednak polską arystokrację do „puszczania balonów”. Wtedy stery przejął trzeci stan. To zamożni kupcy i bankierzy zaczęli organizować pokazy i sprowadzali w tym celu różnych zagranicznych aeronautów. Wystarczył jednak jeden czy drugi nieudany pokaz i mecenas się wycofywał z dalszego wspierania pokazów. Przeniesienie inicjatywy z sektora publicznego w pole zainteresowania elit, a później mieszczan, spowodowało, że baloniarstwo przestało mieć cechy eksperymentu naukowego, a stało się komercyjnym show. Polska do zainteresowań baloniarskich powróciła dopiero w okresie II RP, kiedy utworzono bataliony aeronautyczne, czyli potocznie mówiąc – wojska balonowe. Odziały były zlokalizowane w Jabłonnej pod Warszawą, w Poznaniu i Toruniu.

Koło naukowe prawie jak ratunkowe

Słowo „nauka” ma kilka znaczeń. Oznacza z jednej strony badania i analizę ich wyników, a także konkretną dziedzinę wiedzy lub teorię (spójną i współzależną grupę elementów wiedzy) opracowaną przez jakąś osobę (np. nauka Kopernikańska), a nawet pewną doktrynę (niekoniecznie naukową, bo również religijną, moralną, artystyczną), która zawiera wskazania praktyczne. Z drugiej strony „nauką” są nazywane procesy nauczania: uczenia kogoś i uczenia siebie, czyli edukacja, pedagogika.

Te dwie grupy znaczeń bywają często mylone, co prowadzi nie tylko do błahych nieporozumień, ale w szczególnie niekorzystnej sytuacji nawet do tragedii, zwłaszcza gdy od tego, co robimy, zależy czyjeś życie, na przykład kiedy pod pojęciem „nauka” (lekarska) są podstawiane elementy i cechy znachorstwa, to jest gdy do nauki próbuje się wmieszać informacje naukowo nieuprawnione a szkodliwe społecznie, ekonomicznie, moralnie, biologicznie itd. Naukowiec bywa mylony z dydaktykiem i odwrotnie, i prawie nikt na to nie reaguje, tak jakby ten błąd był mało istotny. A nie jest: wszyscy znamy świetnych naukowców, którzy są beznadziejnymi edukatorami, i kapitalnych wykładowców, nauczycieli, którzy na pracy naukowej zupełnie się nie znają (mimo że powinni).

Ale jest koło ratunkowe. Studenci od początku kontaktów z uczelnią powinni w mig pojmować, o co chodzi, inaczej na studiach i potem w zawodzie będą wiecznie błędzić. Trzeba im w tym pomóc, mimo że status uczelni może tego nie mieć w oficjalnym programie i statucie. Jest to ważne szczególnie tam, gdzie istnieje nieuniknione rozmywanie się granic między dydaktyką a działalnością naukową i gdzie pojęcia praktyczne rozmiągają się z teorią. Zainteresowani najczęściej błędzą tam, gdzie wyniki badań bardzo szybko trafiają do prac codziennych i nawet są definiowane dzięki zastosowaniu w praktyce.

Często naprawdę trudno wydzielić, co jest teorią, a co już praktyką, czyli, jak o tym pisał semiotyk Charles W. Morris, nie sposób ustalić pragmatyki, tj. tego jaki jest odstęp między teorią (znakiem) a interpretacją (w wykonaniu odbiorców treści wiedzy). Tak się dzieje, co zrozumiałe, między innymi na uczelniach inżynierskich, rolniczych, sportowych, ale przede wszystkim medycznych (medycyna, weterynaria). Tam aż się prosi, aby dydaktycy wyraźnie podnosili, co jest czym wobec nauki i jakie ma cechy naukowe, bo od tego zależy poprawność konstruowania zarówno badania naukowego, jak i postępowania w medycynie codziennej. Jeśli na studiach nie odróżnia się teorii od praktyki na zasadzie „słusznego odruchu”, potrzeby intelektualnej czy też ze względu na przyszłość zawodową ucznia (studenta albo także kandydata na uczelnianego kolegę), to uczelnia powinna szukać rozwiązań, które pozwolą

sferze nauki i praktyki rozgraniczać i w odpowiedniej postaci utrwalać w umysłach.

Uwagę tę kieruję do nowo powstających wydziałów lekarskich przy uczelniach niemających tradycji medycznych. Tam dobór inicjatorów i opiekunów studenckich kół naukowych powinien być pod szczególną kontrolą.

Ogólnie chodzi m.in. o to, abyśmy nie produkowali niebezpiecznych lekarzy, czyli znachorów z dyplomem; inżynierów o dwóch lewych rękach, trzymających się starych tabel ze standardami, skłonnych do wiary w metody typu „złota rączka”; niepoprawnych dyplomowanych zwolenników użyżniania żarowego, czyli wypalania traw, i tak dalej. Student już na pierwszym roku powinien wiedzieć, czym jest nauka (dziedzina badawcza), skąd bierze się wiedza, jak powstaje słuszna nowość i co słusznie staje się nieużytecznym starociem, a także jakie warunki musi spełniać informacja, aby mogła być uznana za wiedzę, na której może się oprzeć praktyka.

Jest więc, jak wspominałem, na to sposób istniejący od wieków pod różnymi postaciami, ale o ugruntowanej w ciągu ostatniego stulecia skuteczności i nazwie „koło naukowe” (ang. student research group). Historycy nauki uważają, że studenckie koła naukowe pod różną postacią powstawały najpierw na wydziałach medycznych i filozofii, a kiedy potwierdziła się ich wiarygodność edukacyjna i wychowawcza, także na innych kierunkach. Najczęściej chodzi o „naukę nauki i bycia naukowcem”. To jest szczególnie pociągające. Kto miał z tym do czynienia, na samo brzmienie wyrażenia „koło naukowe” odczuwa przyjemny dreszcz. Po pierwsze wiąże się z przygodą. Mnóstwo świetnych karier naukowych, a następnie biznesowych wywiodło się właśnie z ruchu studenckiego. Młodzi nie wiedzą, co to są bariery, dlatego je pokonują.

Studencki ruch naukowy ma tyle wersji działalności i podejścia do sedna sprawy, ile jest kół i ich przewodników. Choćby na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym czy Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza jest ich po 200. Wiele zależy od zapalczowości opiekunów, to oni nadają ton i styl działania, obmyślają tematy spotkań i działań odkrywco-wynalazczych.

W moim życiu ogromną rolę odegrał udział w działalności Chirurgicznego Koła Naukowego przy I Klinice Chirurgicznej Akademii Medycznej w Warszawie kierowanej przez profesora Jana Nielubowicza. Dzięki temu, że należałem do Koła, mniej czy bardziej czynnie i raczej z tylnego siedzenia, ale zawsze z widokiem na wszystko, brałem udział w pierwszym skutecznym polskim przeszczepieniu nerki, które miało miejsce 26 stycznia 1966 roku. Nie spaliśmy wtedy przez ponad 60 godzin, a odsypialiśmy przez następnych 24. I to szaleństwo trwa do dzisiaj.

e-mail: lpj@lpj.pl

O szlachetnej sztuce rektorstwa (i nie tylko)



Niech nikogo nie odstraszy barokowy tytuł książki (jako badacz literatury dawnej nie traktuję tego wszak jako uwagi krytycznej), choć i tak jej treść jest znacznie bogatsza niż obiecują rozbudowany tytuł i podtytuł. I nie jest to jedynie okolicznościowa publikacja jubileuszowa wydana na „srebrne gody” KRASP. Omawiana książka nie relacjonuje wyczerpująco działalności wszystkich organów KRASP, nie jest linearnym sprawozdaniem z ostatniego dwudziestolecia działań KRASP i nie zawiera pełnego kalendarium wydarzeń. Nawet uchwały

i stanowiska programowe Prezydium i Zgromadzenia Plenarnego KRASP z ostatnich lat zamieszczono w subiektywnym, autorskim wyborze. Już na jubileusz dziesięciolecia KRASP obok dokumentacyjnej publikacji opublikowano żywo dyskutowaną i twórczo wykorzystywaną monografię J. Woźnickiego pt. *Uczelnie akademickie jako instytucje życia publicznego* (Warszawa 2007). Najnowsza książka, odmienna od poprzedniczek, podzielona jest na trzy zasadnicze części: *Kontekst systemowy i istota rektorstwa uczelni*, *KRASP z perspektywy 25 lat działalności* oraz część poświęcona Fundacji Rektorów Polskich (w dwudziestolecie jej powstania), która jest instytucjonalnym partnerem KRASP, a także dokonaniom think tanku FRP – Instytutu Społeczeństwa Wiedzy. Cenię sobie niezwykle fragmenty dotyczące idei uniwersytetu i jego tożsamości, a zwłaszcza fragmenty dotyczące przywództwa i sztuki rektorstwa (s. 57-74) czy świetne autorskie podsumowanie rozważań na temat idei uniwersytetu: „I. Uniwersytet średniowieczny okazał się wielką innowacją, która wpływała i wpływa na świat od prawie 1000 lat. II. Uniwersytet przetrwał i będzie trwał, ponieważ: jego uniwersalna misja poszerza się i zyskuje na znaczeniu; stał się on i pozostaje źródłem innowacji; zachowuje swoją tradycję, a w tym tradycyjne wartości; od wieków zmienia się, jakkolwiek czyni to pod presją i ewolucyjnie (s. 30)”. Celnie J. Woźnicki określa, też „że idea Uniwersytetu przetrwała, ponieważ uniwersytet stał się i nie przestał być w pewnym sensie konserwatywną innowacją” (s. 31). To zresztą również motto książki.

Całość publikacji kończą dodatki (m.in. sylwetki przewodniczących, kodeks *Dobre praktyki w szkołach wyższych*), w tym dwie rozmowy z prof. Woźnickim, które ukazały się w „Forum Akademickim” w 1999 oraz w 2020, a które czytane dzisiaj stanowią świetne podsumowanie i udaną klamrę kompozycyjną, pokazującą ewolucję KRASP. Jednocześnie książka ma charakter cennego dokumentu osobistego, a taki materiał jest niezwykle ceniony przez współczesnych czytelników i badaczy. Autor napisał ją na podstawie wieloletnich doświadczeń osobistych i obserwacji uczestniczącej (aktywny uczestnik, kreator i świadek opisywanych zdarzeń), starannie i zgodnie z najlepszymi praktykami i z głębokim poszanowaniem źródła, co warto odnotować, ponieważ nie jest ani historykiem, ani filologiem. W takiej perspektywie dodatkowym walorem jest to, że nie zrezygnował jednak z subiektywizmu i emocjonalnego podejścia – jak sam pisze, książka „została też napisana z potrzeby serca”.

Mam okazję z różnych pozycji i w różnych rolach społecznych przez całe lata obserwować powstawanie, rozwój i działania KRASP. Aż chciałoby się powiedzieć/zaśpiewać: dwadzieścia pięć lat minęło jak jeden dzień.

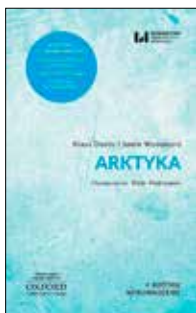
Padają różne, przywoływane również w książce, urokliwe i urocze określenia w stosunku do prof. Woźnickiego: jeden z ojców założycieli KRASP, kapłan świętego ognia, stróż wartości czy piewca dobrych praktyk i obyczajów. Ze wszystkimi należy się zgodzić, nie tylko z recenzencją obowiązku.

Dariusz Rott

Jerzy WOŹNICKI, *Misja, społeczna rola i kultura instytucjonalna Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Sztuka rektorstwa, kontekst systemowy i dokonania KRASP.*

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022.

Deszcz, który kiedyś był śniegiem



Na hasło *Arktyka* szybko pojawiają się skojarzenia typu zimno, mróz, lód czy niedźwiedź polarny. Ktoś powie, że to takie banalne. Ale jeśli spojrzymy, co dzieje się obecnie na tym obszarze Ziemi, może się okazać, że za chwilę zatekniemy do opatrzonych obrazków. Z powodu zmian klimatycznych, które rejon polarny dotykają w szczególności, ocieplenie zachodzi tutaj bowiem prawie dwukrotnie szybciej niż wynosi globalna średnia, w zawrotnym tempie znika unikatowy świat.

Zjawisko takie, zwane arktycznym wzmocnieniem, wynika z wielu sprzężeń zwrotnych, piszą Klaus Dodds i Jamie Woodward w książce *Arktyka*. W tej niewielkiej z pozoru pozycji udało się autorom zmieścić więcej równie interesujących informacji i ciekawych spostrzeżeń. Jako że obaj na co dzień reprezentują różne dziedziny wiedzy, pierwszy jest wykładowcą geopolityki, a drugi profesorem geografii fizycznej, poszczególne rozdziały obfitują w wiadomości dotyczące zarówno środowiska naturalnego, ekosystemu, ludności, jak i złożoności politycznej. W niezwykle starannie przygotowanym kompendium znalazło się wszystko, co jest potrzebne, by spróbować zrozumieć wielowymiarowość Arktyki i dostrzec, jak wielkie ma ona znaczenie w kontekście istnienia całej ludzkości. To bowiem, co się w niej stanie dziś, jutro wpłynie na innych. Konsekwencjami rozmarzania wiecznej zmarzliny mogą już teraz zacząć się martwić obywatele krajów rozwiniętych. Jeśli bowiem stopnieje lód na całej Grenlandii i odpłynie do oceanu, podnosząc w ten sposób jego poziom o ponad siedem metrów, to zatopione zostaną wielkie metropolie, takie, jak Bangkok, Londyn, Nowy Jork i Szanghaj. Dla lokalnych społeczności dramat stanowi obserwowany wzrost częstości opadów zimowych w formie deszczu. On sprawia, że dochodzi do masowego wymierania dużych roślinożerców. Po prostu zwierzęta pozbawione dostępu do pożywienia z powodu oblodzenia powierzchni umierają na skutek śmierci głodowej. Ci wszyscy, których przetrwanie opiera się na hodowli, zostają nagle postawieni w zupełnie niespodziewanej i ekstremalnie trudnej sytuacji, zmuszającej ich do podejmowania ostatecznych decyzji.

Roztaczając przerażająco bliską wizję destrukcji, autorzy nie straszą i nie epatują tanią sensacją. Przeciwnie, podają wszystko w wyważonym tonie, przytaczając szereg danych potwierdzających prezentowane tezy. Na każdym kroku widać u nich dbałość o to, by bez zbędnych zawilosci pokazywać niezwykle złożoną tematykę, którą się zajmują. Używają przy tym języka zrozumiałego i przystępnego, tak by nikomu nie ograniczać możliwości recepcji podawanych treści. Są też zupełnie neutralni w swoich sądach. Jest to szczególnie ważne, kiedy przechodzą na grunt polityki. Trzeba pamiętać, że *Arktyka* to region, w którym sprzegają się interesy wielu mocarstw. Tutaj jak w soczewce odbijają się problemy znane w historii od wieków. Walka o władzę i rywalizacja o prymat pierwszeństwa na danym terenie to dwa elementy stanowiące filary gry, jaką toczą światowe potęgi. Efekty tych zmagania przynoszą krainie lodów bezlitosną eksploatację unikatowych złóż różnych pierwiastków rzadkich i bezcennych zasobów naturalnych. Właśnie na to zwracają uwagę północne społeczności niezwykle zaniepokojone faktem eksplorowania ich ziemi w sposób rujnujący. Strategiczne położenie tej części naszej planety wymaga, podkreślają autorzy, by zarządzanie tak bardzo wrażliwym obszarem odbywało się na zasadach współpracy. Chodzi o to, by nie dopuścić do powstania ewentualnego konfliktu, który niestety nie wydaje się zupełnie nierealnym scenariuszem. „Przez ostatnie trzy dekady *Arktyka* była strefą pokoju, toczy się jednak coraz więcej dyskusji na temat możliwych napięć militarnych w tym rejonie świata”.

Aneta Zawadzka

Klaus DODDS, Jamie WOODWARD, *Arktyka*, tłum. Piotr Piotrowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2022, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Chodzi i słucha



Zaszłości to gatunek wypowiedzi, notatki z miejsc, do których się zaszło. Zapisy, podglądy, zasłyszania. Narrator zachodzi do sklepu, kawiarni, księgarni, wpada na przeróżne strony w internecie, czyta książki, odbiera uniwersytecką pocztę... Nie mamy potrzeby utrwalenia zdarzeń, które zaszły w tych miejscach, przyswojenych tam tekstów. Nie zapamiętujemy codzienności. Adam Poprawa ma i zapamiętuje. Rozgląda się, słucha i czyta. Nie porzuca niczego, co zaszło, nie zdradza, zabiera ze sobą.

Opowiadanie może potem żonie przy kolacji, opowiada jej, gdy spotykają się, by coś przekąsić przed koncertem, spektaklem, seansem, wieczorem literackim. Komentują, śmieją się, kiwają głowami, rozwijają, on zapisuje, może nagrywa. Układa chronologicznie, opatruje datą – miesiąc i rok. Czy zmienia, redaguje, dopisuje, usuwa? – nie wiem. Czy pokręca, konfabuluje, nadaje sznyt? Wydaje się, że nie – stawia na autentyczność.

Zaszłości są krótkimi relacjami z tego, co zaszło minionego dnia. Poprawa szanuje każdą chwilę. Tak powstaje dziennik oka i ucha. Nie nudzi się w tramwaju, w kolejce do szatni po koncercie, tylko słucha, co jedna mówi do drugiej, jeden do drugiego (Kim jest jedna, kim jeden, jaki jest ich status ontologiczny – o tym powstaną dysertacje). Jest polonistą, poetą i badaczem poezji, czułym na język, niezręczności, używanie słów, których się nie rozumie. Na wszelkie „opracowanie reguł dekretacji w ramach integracji”.

Stają bohaterką książki jest Izia, towarzyszka wielu zajęć (razem tu i ówdzie zachodzą). Razem jadają w Konspirze, obserwują Dorotę Szwarzman przysypiającą na koncercie, oglądają wystawę Papią Chmiela, rozmawiają o filmach. Ale Izia też się daje łapać za słowa, też bywa notowana („mało mrawe słońce”, „to było trochę temu”).

Portret społeczności akademickiej nie rysuje się sympatycznie. Dziekan, co mówi, że „asystent to jest zero przeliczeniowe, a adiunkt jeden”, rektor porównujący Wałęsę do Kmicica, młodzi literaturoznawcy, gotowi poświęcić tematowi badań „nawet dwa lata życia”. Poprawa często się śmieje z tego, co mówią ludzie, a czasem jest pełen podziwu. Osobny portret otrzymują studenci: przekonani, że wszystko jest w pedeefach, piszący na kolanie, „żeby nie było podejrzeń, że nie moje”, pytający o możliwość „ekstremistycznego zaliczenia”, zapewniający, że „felieton Prusa był w porządku”, narzekający na brak wsparcia moralnego od Kafki.

Poprawa czyta uniwersytet, wrocławską ulicę, przesterzeń publiczną jako pola potknięć. Chodzi, podsłuchuje, łapie za słowa, bawi się nimi („nie szło odejść”). Tropi śmieszne powiedzonka, głupie porównania, lapsusy. Na promocję habilitacyjną wbija się w pożyczoną togę. Komentuje rozwrzeszczane manify z jesieni 2020 roku. Tropi nonsensy w książkach i czasopiśmie. Zawzięcie wertuje „Wyborczą” (z uporem godnym lepszej sprawy), nieocnione są jego wypisy z Michnika, gdy ten używa Barańczaka, Conrada czy Szekspira do mętnych akcji. Komentuje fakty kulturowe, dyskutuje z pisarzami, kpi z politycznej poprawności.

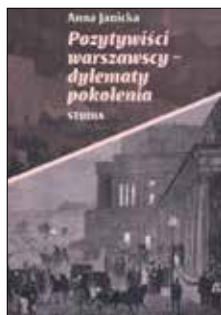
Czy tworzy to jakąś całość? Co nadaje książce spójność? Na pewno Wrocław. Stałe drogi narratora, ulice, mosty, tramwaje. On w ten sposób opanował miasto. Całe jest jego. Dalej: sam bohater i jego tryb życia – wychodzenie na zajęcia, czytanie, poszukiwanie książek, płyt, obiady, koncerty. Jak wiele się dowiadujemy o podmiocie, co go kręci, co podnieca. Krąg zainteresowań: Proust i Prus, Beatles i Bach, przekłady arcydzieł i Le Carré, Białośzewski i komiksy Chmielewskiego. Wreszcie styl. Autor lubi pomijać czasowniki, czyści język z balastu, używa przeskoków myślowych, wiele pozostawia domyślności czytelnika. Jego teksty wymagają dużej uwagi, a najpierw wejścia/zajścia w charakterystyczną poetykę.

Zaszłości są kontynuacją wydanej w 2014 r., równie świetnej *Kobyłki apokalipsy*.

Grzegorz Filip

Adam POPRAWA, *Zaszłości*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, seria: Polska Proza Współczesna.

Odzyskiwanie pozytywizmu



Gdyby posłużyć się pewną symplifikacją i podzielić nasze współczesne literaturoznawstwo na nurt minimalistyczny i maksymalistyczny, wtedy pracę Anny Janickiej *Pozytywiści warszawscy – dylematy pokolenia* należałoby zakwalifikować do tego drugiego. Z różnych zresztą względów: nie jest to przyglądanie się przez historycznoliteracką lupę jakiemuś wyselekcjonowanemu, wąskiemu tematowi, dalej, nie ma oddania się w niewolę takiej lub innej metodologii, która niejako a priori determinowałaby zakres i wyniki badań. Trzeba w tym miejscu

przytoczyć jednocześnie przestrożę i zachętę autorki: „Pozytywizm warto badać przede wszystkim dla niego samego, a nie dla dzisiejszych sporów, w których mógłby służyć co najwyżej za jednowymiarowe narzędzie w walce z przeciwnikiem. Klisze ideologiczne zawsze prowadzą do tego, że odkrywamy w przeszłości to, co chcemy odkryć: »okrągłe«, jednorodne idee, hasła, poglądy. Poznawanie pozytywistów musi zaczynać się od tekstów, ich drobiazgowej lektury, prowadzącej do ujawnienia całego skomplikowania myśli i postaw”.

Na czym więc polega w przypadku tej pracy ów maksymalizm literaturoznawczy? Po pierwsze, diagnoza istniejącego stanu rzeczy: o polskim pozytywizmie tak naprawdę wiemy niewiele, bo tkwimy w stereotypie, że jest to nurt „wyjątkowo monofoniczny, monologiczny i – co z tego wynika – jego wpływ na przyszłość pozostaje także jednowymiarowy”. Po drugie, zalecana kuracja: należy odrzucić krzywdzący stereotyp i „odzyskać pozytywizm”. Tutaj nie ma innej drogi, jak ponowna lektura roczników „Przeglądu Tygodniowego” i podobnych mu pism, a także książek przedstawicieli pozytywizmu warszawskiego. Czytajmy bardziej pozytywistów niż tych, którzy o nich pisali. Omawiana praca mieści się w rewindykacyjnym nurcie literaturoznawstwa. W końcowym rozdziale, zatytułowanym w znamienity sposób *Otwarcia*, czytamy: „Odzyskiwanie pozytywizmu, które przyszło po wielu latach uwiecznienia epoki w krzywdzącym ją stereotypie, zdecydowanie nabrało rozpędu pod koniec lat 80. XX wieku, nasiliło się w latach 90. i trwa w XXI wieku, nie daje już – na szczęście – szans na myślenie o tej formacji kulturowej jako drugorzędnej ideowo i artystycznie wobec polskiego romantyzmu czy modernizmu”.

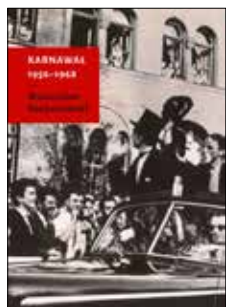
Książka składa się w zdecydowanej większości z tekstów, które już wcześniej były publikowane w monografiach zbiorowych bądź czasopiśmie. Teraz zostały poprawione i rozszerzone. Pogrupowano je w cztery części. Pierwsza dotyczy „Przeglądu Tygodniowego”, druga mówi o dylematach światopoglądowych epoki (np. rola nauki, kwestia postępu i konserwatywności, problematyka religii), trzecia porusza dyskursy emancypacyjne, czwarta stanowi dopełnienie wcześniejszych. Autorka na kilku przykładach rozpatruje tu różnice i zależności na styku: romantyzm – pozytywizm – modernizm. Szczególnie interesująca jest analiza tego, co o powstaniu styczniowym pisali Stefan Żeromski i Juliusz Kleiner. Z kart książki białostockiej uczoney wyłania się obraz naszego pozytywizmu jako epoki niedogmatycznej, rozdieranej licznymi zwątpieniami i aporiami, stale wibrującej sporami i kłótniami. W ostatecznym efekcie bynajmniej nie nudnej.

Anna Janicka jest wybitną znawczynią literatury polskiej drugiej połowy XIX wieku, modernizmu i twórczości Gabrieli Zapolskiej. Ja chciałbym jednak przypomnieć, co napisała na marginesie lektury *Hostelu Nomadów* Artura Nowaczewskiego. Otóż określiła to pisarstwo jako poszukiwanie dobra, miłości, czułości i sprzeciw wobec post-postmodernistycznej apologii Wielkiego Nic. Ani romantyzm, ani pozytywizm, ani nawet modernizm (vide: nawrócenie na katolicyzm Stanisława Przybyszewskiego), nie były cyniczne i nihilistyczne. Dużo je dzieli, ale kto wie, czy nie więcej łączy. Może więc rację miał Janusz Maciejewski, gdy postulował posługiwanie się terminem dziewiętnastowiecznej formacji kulturowej?

Tomasz Klusek

Anna JANICKA, *Pozytywiści warszawscy – dylematy pokolenia. Studia*, Instytut Badań Literackich PAN Wydawnictwo, Warszawa 2022.

Nie taki szary PRL



„Nie widzę powodu” – anegdotycznym cytatem z Witkacego Mieczysław Kochanowski w książce *Karnawał 1956-1968* rozpoczyna opowieść o wówczas amatorskiej, dziś określanej mianem kultowej, inicjatywie studentów Politechniki Gdańskiej – Teatrzyku Bim-Bom, o Gdańsku, kulturze i sztuce. Ja również nie widzę powodu, by o tej książce wyrazić choćby jedno niepochlebne słowo. Autor podkreśla, że nie jest jej bohaterem, a jedynie świadkiem i uczestnikiem wydarzeń. I faktycznie bohaterami są tu: teatr, literatura, kino, muzyka, telewizja, malarstwo, festiwale, Gdańsk, Kraków, Moskwa, Paryż, Wiedeń, Europa i... ludzie, z którymi autora w tym czasie zetknął los. Wyczytamy obraz Gdańska widziany okiem młodego i nowego Gdańszczanina. Miasto to, jak i niemal całe społeczeństwo ówczesnego Gdańska, można postawić na równi, bo i miasto doszczętnie zniszczone, i mieszkańcy poturbowani „przesadzeni” z odległych zakątków powojennej Polski ze swoimi zwyczajami, kulturą, językiem, wspólnie wzrastają po zniszczeniach wojny, na nowo budując swoją tożsamość.

Trzeba podkreślić, że przy spisywaniu wspomnień zawsze zatracza się nieostra granica obiektywizmu. Autor opisuje swój świat, balansując na granicy rzeczywistych wydarzeń i tego, co o nich pamięta. Inną już opowieść snuliby Tadeusz Wojtych, Janusz Hajdun, Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela, Jerzy Afanasjew, Jacek Fedorowicz i inni związani z Bim-Bomem.

A skoro przedmiotem rozważań autora jest teatr, to dodam, że opowieść ta może wywołać wrażenie, jakby działa się w pewnym teatrze. Autor sprawia, że wyobrażamy sobie scenę – główny reflektor skierowany jest na bohatera książki – Bim-Bom, amatorski teatrzyk studentów uczelni technicznej, jego współtwórców, sukcesy i porażki, których też nie zabrakło w niespełna sześćdziesięcioletniej karierze. Słowo „amatorski” nie ma tutaj pejoratywnego wydźwięku. Ta amatorskość była zaletą, stanowiącą o fenomenie Teatrzyku Bim-Bom. Amatorski, a jednak uczestniczył w krajowych i zagranicznych festiwalach i przeglądach, zdobywał sympatię ówczesnego widza. Bohaterowie opowieści, dziś kultowe nazwiska i inicjatywy: Wajda, Munk, Cybulski, Osiecka, Młynarski, Przybora, Kabaret Starszych Panów, Teatr Telewizji, Piwnica Pod Baranami etc., pojawiają się na scenie, znikają, wracają, ktoś o nich mówi, a potem tylko wspomina jako o tych, którzy odeszli. Kolejne rozdziały to starannie dobrane didaskalia. Autor barwną i porywającą narracją – fakt, miejscami ocierającą się o ckliwość, przesadnie sentymental, a miejscami o chłodną relację wydarzeń – wywołuje wrażenie jakby przed nami, wtulonymi w wygodny fotel widzami, przesuwały się kolejne obrazy, a czuły głos narratora z offu snuje tę porywającą historię. Aż w końcu reflektor gaśnie... „Teatr jest własnością tych, którzy go stworzyli i przestaje istnieć, kiedy ich nie stanie. I nie ma co odwlekać końca”. Zespół Perfect wyśpiewa podobną myśl parę dekad później: „Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść, niepokonanym”. Po programach: *Ahaaa, Radość poważna, Toast, Coś by trzeba*, nie mogły powstać kolejne – ten rocznik studentów, którym o coś chodziło, zakończył edukację, oddał się karierze zawodowej, „rozjechał się” po świecie, nie było ani odważnych, którzy utrzymaliby poziom i specyfikę Bim-Bomu, ani chętnych do kontynuowania jego artystycznej spuścizny.

Jako gdańszczanka z zaledwie półrocznym stażem, do serca wzięłam słowa autora, bo „co innego wiedzieć o czymś, być blisko czegoś, a co innego doświadczyć tego na sobie, przeżyć to osobiście”. Opowieść Kochanowskiego to wyborna podróż przez dwanaście lat polskiej kultury i sztuki, dwanaście lat *Karnawału* i przez sześć lat fenomenalnej kariery studentkiego teatrzyku. Podróż urozmaicona fotografiami z archiwum rodzinnego Andrzeja Cybulskiego jasno dowodzi, że nie taki szary PRL, jak go malują.

Zofia Jakóbczak

Mieczysław KOCHANOWSKI, *Karnawał 1956-1968*,
Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2023.

Więcej niż postmodernizm



Jedną z cech humanistyki, które cenię, jest możliwość uczynienia swojego wkładu w daną dziedzinę wiedzy lub interdyscyplinarny obszar poszukiwań bardziej osobistym. Można zgłębiać i wyjaśniać innym to, co przemówiło do nas z bardzo prywatnych powodów, choć im bardziej są one prywatne i im praca bardziej naukowa (a mniej eseistyczna), tym lepiej szczegółowe motywacje zachować dla siebie (zasada decorum znajduje zastosowanie także w nauce, nie tylko w sztuce). Marcin Kępiński nie ukrywa, że Darren Aronofsky jest

twórcą ważnym dla niego ze względu na osobistą wrażliwość, która przyciąga łódzkiego badacza do filmów amerykańskiego reżysera i to właśnie jest siłą jego książki, gdyż motywuje go do patrzenia na dorobek twórcy *Czarnego labędzia* w sposób wychodzący poza dominujący sposób odbioru nowszych dzieł tego reżysera.

Kępiński nie omawia kultowych już dziś w wielu kręgach dwóch pierwszych filmów Aronofsky'ego, czyli *Pi* i *Requiem dla snu*, ani najlepiej ocenianego spośród jego późniejszego dorobku *Czarnego labędzia*, ale skupia się na *Źródle* (2006), *Zapaśniku* (2008), *Noem: Wybranym przez Boga* (2014) i *mother!* (2017). Z wyjątkiem *Zapaśnika* filmy te zostały w znacznej mierze sceptycznie przyjęte przez krytykę, która pisała o chaotycznym synkretyzmie wątków z różnych kultur i religii oraz patosie kontrastującym ze sztamowością odpowiedzi udzielanych w fabułach na wielkie pytania (o sens życia, istotę moralności, znaczenie miłości itp.). Z kolei recepcję *Zapaśnika* zdominował (w pełni uzasadniony) zachwyt nad powrotem (niestety jednorazowym) do pierwszej aktorskiej ligi Mickey'ego Rourke'a, natomiast fabuła odbierana była jako tradycyjnie hollywoodzka. Kępiński umiejętnie argumentuje, dlaczego jego zdaniem zarzuty te niekoniecznie są trafne.

Najciekawiej argumentacja ta wygląda w przypadku *Noego*. Autor wskazuje, jak elementy wzięte z różnych tradycji religijnych współgrają ze sobą w tym filmie. Udowadnia, dlaczego Aronofsky nigdy nie zamierzał nakręcić filmu biblijnego skierowanego do chrześcijańskiej publiczności i demonstruje, jak jego zdaniem w (nie)obecności Boga w fabule odbija się tożsamość reżysera, który określa się mianem niewierzącego żyda/Żyda (po angielsku rozróżnienie na żyda jako wyznawcy judaizmu i Żyda jako osoby o określonym etnosie nie funkcjonuje na poziomie zapisu – słowo *Jew* zawsze jest pisane wielką literą, tak jak np. *Catholic*). Kępiński oparł się pokusie, niezadkniej w pracach filmoznawczych, nadmiernej erudycji i w świetle jego wywodów niektóre cytowane recenzje opublikowane po premierze filmów wydają się zaskakująco płytkie. Odwołuje się natomiast do amerykańskich publikacji o tym filmie, których autorom udało się wyjść poza stricte religijny lub czysto estetyczny odbiór filmu. Jak się wydaje, „krytycy i recenzenci warszawscy”, o których pisał Mickiewicz w 1828 roku, od prawie dwustu lat powielają te same błędy.

Z kolei pisząc o *mother!*, Kępiński ani razu nie wspomina o klasyfikacji gatunkowej tego filmu, którą większość krytyków przyjęła jako oczywistą. Nie pisze, że to horror, bo takie przypisanie na wstępie błędnie ukierunkowuje odbiór. Tymczasem *mother!* to przypowieść pełna nie tak może oczywistych jak w *Źródle* symboli. Piszącogo te słowa nie przekonało to o wielkiej wartości tego filmu, ale odrzucić lub skrytykować możemy tylko dzieło, które rozumiemy. Autor nie nadpisuje na dziełach Aronofsky'ego własnych znaczeń, ale wyjaśnia istniejące. Być może nowojorski reżyser nie skomunikował się z większością widzów, ale próby rozeznania się w przyczynach tego nieporozumienia także są frapujące. Kępiński potrafi uświadomić, że szermowanie ogólnikami w rodzaju „kicz” czy „postmodernizmu” nie pozwoli ani zrozumieć, ani wyjaśnić powodów niezrozumienia.

Marek Misiak

Marcin KĘPIŃSKI, *Transcendentne kino Darrena Aronofsky'ego*,
Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023.



Leszek Szaruga

Znów o czytaniu

Myślałem, że mnie to ominie, ale nie, okazało się, że covid wciąż jest aktywny i zdaje się, że podobnie jak grypa – i z podobnymi skutkami – będzie nam towarzyszył przez czas dłuższy, co prawda już nie tak zabójczo skuteczny, niemniej dość uciążliwy i wykluczający z dotychczasowej aktywności, wymuszając izolację o tyle uzasadnioną, że ma ona chronić innych przed wirusem, który dopadł chorego. Tak właśnie mi się przydarzyło i w zasadzie nie jest to obecnie sytuacja wyjątkowa, stanowi doświadczenie dość powszechne, ale niesie też ze sobą pewne pożytki, do których bez wątplenia należy pozyskanie czasu na nadrobienie zaległości lekturowych, z czego skwapliwie skorzystałem, od dłuższego czasu bowiem narastała górka książek kupowanych z zamiarem ich przestudiowania, lecz w biegu spraw bieżących wciąż odkładanych na bliżej nieokreślone „potem”. Covid owo „potem” doprecyzował.

Do odrobienia miałem między innymi kilka tomów korespondencji Jerzego Giedroycia publikowanej sukcesywnie w międzywydawniczej serii Archiwum „Kultury”, a jak wiadomo, był Redaktor animatorem zjawiska określonego przez Andrzeja St. Kowalczyka mianem „republiki epistolarnej”, przestrzeni, którą w tej chwili, a sądzę, że jeszcze przez dziesiątki lat, będą rekonstruować zastępy historyków, politologów czy polonistów, zachwycając się tym, iż w miarę zagłębiania się w nią wciąż odkrywają będą niedostrzegane dotąd jej zakamarki, a nawet tajne pomieszczenia i że materiału do badań miast ubywać, wciąż przybywa, gdyż otwierają się nowe, nieznanne wcześniej i nieprzewidywalne obszary, a też nie na końcu zdumiewając się specyfiką humoru cechującego twórcę tego unikalnego w skali naszego życia politycznego i literackiego fenomenu.

Szczególną uwagę zwróciłem na wymianę listów Giedroycia z Zygmuntem Hauptem, pisarzem wciąż w moim odczuciu nie dość docenionym – wyjąwszy może respekt, jakim darzy autora *Pierścienia z papieru* krąg fanów skupiony wokół Wydawnictwa Czarne – a zasługującym, zarówno za sprawą podnoszonej problematyki, jak i walorów języka opowieści, na najwyższy respekt, czego piękne dowody odnaleźć można w opiniach wyrażanych w stanowiącej aneks do tego zbioru listów korespondencji Haupta z Marią i Józefem Czapskimi, czytelnikami, których wrażliwość nakazuje policzyć ich pomiędzy odbiorców „z najwyższej półki”. A i sam Giedroyc, raczej nieskory do wyrażania zachwytów, nie kryje swego ukontentowania nadzysłanymi z USA utworami pisarza, starając się, w miarę możli-

wości, publikować je niemal natychmiast po otrzymaniu i jednocześnie zachęcając do komponowania książki, choć zdawał sobie przecież sprawę z faktu, że dochodów z tego oficyna mieć raczej nie będzie.

Pisze więc Haupt, dziękując za troskę: „Jest Pan bardzo dobry i cierpliwy, tłumacząc mi o trudnościach wydawniczych książkowych. Sam doskonale wyczuwam sytuację i nie mam cienia pretensji”. Na co Giedroyc, z typowym dlań sarkazmem: „Co do czytelnictwa na emigracji – czy w ogóle polskiego – to często marzę, by się z tego narodu wyprowadzić. Niestety jestem na taką operację za stary, więc trzeba się pogodzić z myślą, że jest się pogrobowcem, i próbować drążyć ten »czerep rubaszny«”. (Swoją drogą byłbym niesłychanie ciekaw uzonej rozprawki rozszyfrowującej zakodowany w tym nawiązaniu do Słowackiego sens wypowiedzi Redaktora w połączeniu z samookreśleniem siebie jako pogrobowca – jedno zdaje się nie ulegać kwestii, to mianowicie, że owo „drażnienie tego »czerepu rubasznego«” szyfruje istotę zamierzenia, czyli, jak to się dziś mówi, „projektu”, jakim jest „Kultura”). Swoją drogą jednym z kluczy do sukcesu Giedroycia jest niewątpliwie kombinacja łącząca zaangażowanie i dystans doprawiona szczyptą nieco wisielczego, czernią zabarwionego poczucia humoru.

Sprawa czytelnictwa zresztą po dzień dzisiejszy jest powracającym co roku jak bumerang tematem publicystów a i badaczy zajmujących się spadającą wciąż, a w każdym razie nie dość zadowalającą ilością odbiorców tekstów drukowanych. Statystyki wydają się alarmujące i bez wątpienia jest się nad czym zastanawiać, zważywszy, że wśród studentów kierunków humanistycznych, a nawet tylko polonistyki, trudno odnaleźć tych, którzy na bieżąco śledzą to, co się na rynku wydawniczym ukazuje, nie mówiąc już o ich orientacji w ruchu czasopism literackich, zarówno papierowych, jak internetowych. Być może po prostu literatura stała się zjawiskiem niszowym bardziej niż była nim dotychczas – trudno to ocenić z krótkiego dystansu, niemniej już dawno przestał być obciążeniem brak orientacji w tym, co się aktualnie dzieje, a już o jakimś zaangażowaniu w dyskusje literackie czy artystyczne nie ma co marzyć. Podkreślam przy tym, że chodzi mi o elitę, czyli studentów, których teoretycznie te zagadnienia powinny interesować. Jeśli już jednak interesują, to raczej wycinkowo, bez orientacji w szerszym kontekście zjawisk. Może to jakiś znak czasu? Zapewne tak, ale aż strach się zastanawiać, jaki to czas i co ów znak sygnalizuje.





AKADEMICKIE



MISTRZOSTWA



Prawa autorskie: Radosław Jurga, Karol Jaskółka, Paweł Jaskółka, Krzysztof Karpiński, Przemysław Szyszka, Tomasz Serwiak, archiwum AZS



POLSKI

